

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

D

Tow. Przem. i Nauk w Przemysłu.

4129

D

VII-7-30

3/2

~~N^o 334~~

Do tem 8,

IGNACY CHODZKO.

Pustelnik w Proniunach.

POWIEŚĆ

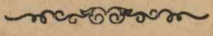
W DWÓCH CZĘŚCIACH.

~~BIBLIOTEKA~~

~~URZĘDNI. TOW. WZAJ. UB. W KRAKOWIE~~

~~SEKOYA IV.~~

334



GRÓDEK.

NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO.

1898.

WT

A-18659



1000174202

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

dyktant. 13a

K1160/56/5919

Część pierwsza.

I.

Obierz jakąkolwiek jałową i pustą okolicę, którejby natura wszelkich odmówiła ozdób, przez którą z tęsknotą i nudą wlekący się podróżny, próżno ocieężałą żrenicą upatruje przedmiotu, mogącego zająć go i rozzerwać, po której wiatr nawet, podnosząc tumany piasku, nie ma gdzie ich osadzić i karłowate tylko a zeschłe drzewka lub zwiędłą zasypuje trawkę. Chceszże smutną i ponurą barwę tej okolicy zmienić? wesołej z niej uczynić nie potrafisz, ale chceszże ją zrobić interesującą? postaw wśród niej domek boży, kapliczkę. Wnet, jak religijną myślą, czeze, płonne i obojętne życie, tak religijnym przybytkiem jałową pustynię ożywisz, i smętnym ją, ale miłym urokiem całą oblejesz. Wnet obok niej stanie wiejski krzyżyk nad wiejską mogiłą i osłoni ją brzołka zwisłemi ku ziemi gałązkami, z trudem w suchy piasek zasadzona, ale łzami żalu całej może ubogiej rodziny ożywiana. Wnet od kapliczki rozpierzchną się na wszystkie strony ścieżki wydeptane kaleką stopą żebraków, a wkrótce i wążka kołowinka zawróci się od gościńca, ślad, po którym jak magnesem przyciągany będzie najprzód ludek prosty ku ubożuchnemu ołtarzowi, nim potem pańska złocona karetą, z pokorną

*

modlitwą i bogatemi dary przedeń zajedzie... Och! bo i narodzonemu na świat Zbawicielowi, wprzód pastuszkowie złożyli pokłony, a potem królowie złoto.

Bóg też często opromienia łaską swą takie nizkie i skromne swe domki. Wkrótce rozstawiają się cudowne tam ulgi w chorobach, uzdrowienia w kalecztwach, folgi i pociechy w smutkach i zmartwieniach, zatem postanawiają się dnie uroczyste, w których mnoga i z dalekich stron płynąca ludność napelnia i ożywia tę niedawną pustynię, a wjeżdżający teraz do niej podróżny, rano czy wieczorem, srebrnym dźwiękiem sygnaturki powitany, powstrzyma konie, gdzie je wprzód naglił do biegu, z miłą rozkoszą w duszy poranną lub wieczorną odmówiwszy modlitewkę, z pokrzepioną nadzieją do swego celu podąży.

Pan Chojecki.

Taką jest okolica Proniun, rozlega się ona przy gościńcu, tak zwanym czarnym, do Wilna wiodącym. Las to był niegdyś, ale z czasem wycięty, nie odrósł na piaszczystej i nieurodzajnej ziemi. Dziś, na wzgórzach, czarnym i suchym mchem powleczonych, gdzie nigdzie krzak jałowcu lub sosenka krzywa i kaleka, lub pień stary i spruchniały, dają się domyślać przeszłości, a smuciłyby i zachmurzały terażniejszość, lecz na jednym z wyższych pagórków stoi kapliczka. Stare jej i wątle ściany, podmurowała i wsparła pobożnych sąsiadów ręka i nowym ją okryła dachem, pod którym wewnątrz, objawione w wizerunku Chrystusa, szczególniejsze dobrodziejstwa i łaski, gromadzą prawie

każdodziennie tłumy wiernych, a skromnemi ich ofiarami utrzymuje się nabożeństwo i ubogie stroją się ołtarze.

W jednym dniu takim, przejeżdżającego mnie tamtędy do Wilna, zatrzymał niespodziewany tuż obok drogi widok nagromadzonych przed kaplicą pojazdów i kłęzącego w około ludu, nie mogącego zmieścić się w środku, ujrzałem więc nabożeństwo w tych samych ścianach, które nieraz i oddawna widywałem i pomiąłem, jako stojące pustkami, na zabobonne chyba tylko obrzędy dziadów służyć mogącemi.

Weisnąłem się więc do kaplicy, Msza właśnie wychodziła; przed kapłanem szli służyć do niej, starzec trzęsący bez przerwy osiwiąłą głową i mały chłopczyk, z twarzą piękną, dziecinną.

Prawnuk z pradziadem, szepnął ktoś blisko. A więc dwa końce wieku ludzkiego łączyły się u stopni ołtarza... Widok ten, jak uważać mogłem po rzucanych spojrzeniach, zajmował obecnych... może zagrzewał ich modły, może myślą z młodzieńczej na zgrzybiałą przechodząc głowę, własną przeszłość i własne przebiegali nadzieje, jedną i drugą, tem czulej i rzewniej ofiarując temu, który przeszłość człowieka litościwie sądzi, przyszłość cnotliwie żadaną błogosławi.

Mnie także widok ten wzruszył; niewiedziałem na którego z nich miejscu być bym wolał, zazdrościłem obudwom; prawnukowi dni dziecinnych. Oh! któżby do nich wrócić nie chciał! a gdy to niepodobna... pradziadowi, że prawnuka uczyć jeszcze może chwały

boskiej, i osobiście go, że tak powiem, za rękę rekomendować i polecić Bogu.

W czasie Mszy, starzec po kilka razy wstawał z klęczków, ucierał świece, porządkował składane na ołtarzach bochenki chleba, ustawiał bractwo, słowem gospodarzył w kościółku, a chłopczyk sam jeden rzeźwo, głośno i rezolutnie odpowiadał księdzu i usługiwał do Mszy. Gdy się ona ukończyła i kapłan przeżegnawszy lud, odszedł do malutkiej zakrystyjki, staruszek ukląkł na stopniach ołtarza, i drżącym ale silnym głosem „Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!“ zaśpiewał, wszyscy z podwójną zda się gorliwością za tą jego intonacją całą suplikację odśpiewali, a starzec ukończywszy ona, pociągnął za sznurek, firanki się przed figurą Chrystusa zasunęły, a on świece pogasił.

Po nabożeństwie, wielu z dostojniejszego zgromadzenia, kobiety zwłaszcza, uprzejmie otoczyły starca, witały go, dziękowały za porządne utrzymanie kaplicy i składały różne ofiary i ozdoby na jego ręce: to firanki, to pięknie szyte poduszki, to kwiaty misternej roboty, a staruszek przyjmując wszystko, kiwał głową bezustannie tak, że dolegliwość jego zdawała się być razem i podzięką i utwierdzeniem dających w dobrych ku chwale boskiej intencjach. Odniósł on to wszystko do zakrystji i pochował w szufladkach, a chleb ofiarny bochenkami między licznych żebraków rozdzielił.

Ja oczekiwałem aż się wszyscy rozeszli i natenczas ciekawą ze staruszką zabrałem znajomość.

*

*

*

— Jegomość dobrodziej, rzekłem, jesteś tu widzę gospodarzem.

— Pan Jezus tu mości dobrodzieju gospodarzem odpowiedział on, a Matka jego Najświętsza gospodynią, ja stary i niegodny ich sługa zamiętam tylko ich prog.

Pamiętałem ja, że niegdyś w Proniunach, nieodlegle od kościółka mieszkał pustelnik, lecz że oddawna już go nie było, wpadłem więc na domysł, że razem ze dzwignieniem i opatrzeniem kapliczki, znalazł się i pustelnik.

— Zapewne, rzekłem zatem, jesteś ojczy (bo mu się to nazwanie właściwie należało) pustelnikiem na miejscu dawniej tu przebywającego? ale się wnet spostrzegłem, bo prawnuk biegający w około domysł mój niweczył. Jakoż rzekł on:

— Nie, mości dobrodzieju; już i śladu pustelni tu niema, a na świecie mało ochoczych do pustelniczego życia, ja mam żonę starą, dzieci, wnuków i prawnuków; trochę więc byłoby i ludno i głodno w naszej pustelni, gdyby z taką gromadką spuścić się na miłosierdzie ludzkie przyszło. Jestem mości dobrodzieju szlachcic blisko tu mieszkający, na własnym kawałku ziemi, Antoni Chojecki, do usług pańskich, a postanowiłem być zakrystjanem tego domu Bożego, którego mój dziad rodzeniuteńki był fundatorem.

Dziad fundatorem a wnuk zakrystjanem w tym samym kościółku, pomyśliłem i zdziwiony zapytałem:

— Przez jakie to zdarzenie ta zmiana w losie naszym zająć mogła?

— Oho mości dobrodzieju! to nie w tej zakrystyce

rozpowiedzieć. Pan musisz być podróżnym i dalekim, gdy nie znasz starego trzęsigłowę Chojeckiego, który trzecie pokolenie sąsiadów swoich pohodował, i trzech pustelników przebył w Proniunach.

— Jako? alboż tu ich trzech było? zapytałem.

— Trzech mości dobrodzieju i dziad mój zafundowawszy tę kapliczkę, zbudował razem i domek dla jakiegokolwiek starca lub kaleki, któryby ją codziennie pilnował, ale nim się taki znalazł, tymczasem zdarzył się gość, który z innem powołaniem, a z lepszą nad kapliczką pilnością, zajął w tym domku gospodę. Był to pierwszy pustelnik, którego ja ledwo pamiętam, bom był dzieckiem, gdy on umarł i pochował go ojciec mój, podług jego woli, pod progiem kaplicy, bo przez pokorę świętą chciał on aby go i po śmierci deptano. Ale mości dobrodzieju, kłaniam uniżenie, bo i panu może być pilno, i ja moją robotę tu skończyłem... a barszcz albowiem...

Pilno mi było, to prawda, ale jeszcze pilniej się zachciało dłużej z roztroprnym i rozmownym starcem gadaniny, którą interesowną być przewidywałem.

— Wiesz co, kochany panie Chojecki? rzekłem zatem dostając zegarka, godzina dopiero jedynasta, barszcz nie uciecze, a proszę jegomością dobrodzieja na podróżną przekąskę.

— Z kimże mam honor? zapytał stary prostując się poważnie, i wpatrując się we mnie pilnie.

Lecz gdym moje powiedział nazwisko, uścisnął mię, i rozliczać zaczął, jakby z drzewa genealogicznego, moich antenatów Oszmiańczuków, i w prostej linii i w

ubocznych, z taką wiadomością i prawdą, jakby sam do naszej rodziny należał, znajomość więc nasza stała się w jednej chwili lepszą i ściślejszą.

Zgodził się zatem na mą propozycję staruszek, i wyszliśmy z kaplicy, którą zamykając, czytając jegomość, rzekł mi, i wskazał na płytę kamienną pod progiem.

Wysylabizowałem zaledwo znaczne, niezręczną kiedyś ręką wykute litery:

„Tu leży Daniel, prosi o Anielskie pozdrowienie.“

— Cóż to? nie ma nazwiska, ni daty śmierci, zapytałem zdziwiony.

— To nic, rzekł Chojecki, to nic, jegomość zmów dla tego modlitewkę, o którą on prosi, a tam już aniołowie święci rozbiorą do którego Daniela to należy.

Data śmierci, mości dobrodzieju na nic tam umarłemu niepotrzebna, wszak Pan Bóg wie, kiedy człowieka do chwały swojej przyjmuje, prócz tego, nazwiska tu kłaść nie można było, bo on go nie miał.

— A toż jak? rzekłem i patrzałem w oczy starcowi.

— Cóż, to dziwne? a jednak prawdziwe, mówił on, i zdziwisz się jegomość jeszcze bardziej gdy powiem, że to był ze szlachcica pan, a z pana pustelnik i bez nazwiska.

— Więc jego historję wiesz, panie Chojecki?

— A wiem piąte przez dziesiąte, bo mój ojciec po jego śmierci rozповідаł o nim.

— Mógłbyś mi to opowiedzieć?

— Czemu nie! ale na to trzeba czasu, mógłbym nawet jegomości otworzyć cały kałamarzyk papierów i mantyków po nim pozostałych, kiedy ich szczury nie

pogryzły, wala się to gdzieś u mnie w spichrzu, razem z mojemi fascykułami, musi tam być cała jego historia. Drugiego, mości dobrodzieju pustelnika, jakoby znałem dobrze, bo on tu był za moich młodych czasów; ale przemieszkiwał tylko lat trzy, wypełniając zadane mu votum pokutne, jak się o tem później od niego dowiedziałem, a był to także pan z panów, nazywał się Załuski, ale przez ten czas, który tu przepędził, był pustelnikiem doprawdy, pustelnikiem prawdziwym! Młody tu się zjawił, i dziwiłem się powołaniu jego w tym wieku, nie widząc przyczyny, ale jaki to był świętobliwy! jaki nabożny! jaki miłosierny! Wszystek grosz, który się w skarbonce jego pustelniczej znalazł z elemożyny, rozdawał ubogim; nawet chlebem składanym mu, dzielił się z niemi tak, że często i on sam i wierny stróż jego a towarzysz, wyżeł Walet, obadwa głodem marli, i już to był znak, że w pustelni nie było chleba, gdy dnia którego przybył do nas Walet i łasił się prosząc pożywienia, a zatem moja imość niosła bułeczkę, i kładła tam podedrzwiami na zedelku, gdzie mu zwykle chleb i niejakię wiktuały składano. Wiedział on o tych poselstwach do nas swojego sługi i wdzięcznym nam był za to. Może za te bułeczki, mości dobrodzieju, i teraz nam się chleba nie urywa, choć chleboradów przybyło, a zresztą i on potem nie zapominał o nas; niech mu Bóg daje królestwo niebieskie, bo już dawno umarł... Był to mości dobrodzieju człowiek mądry przytem, ale tego nikt dociec nie mógł, zważając na jego prostotę i pokorę, my tylko, których częściej z łaski swojej odwiedzał, mogliśmy o tem zmiarkować. Często też znaj-

dowałem go wieczorami czytającego przy lampce pobożne książki, których ze Słobockiego klasztoru dostawał, lub coś tam sobie piszącego, zagrezmolone arkusze rzucał potem w piec. Ale kilkakrotnie żonie mojej, krzątającej się w około wielkanocnego święconego i starającej się papieru pod pierogi, dał kilka takich pomazanych arkuszy, a ona uchowała je jak relikwie na pamiątkę, jednakże kto wie czy te relikwie znalazłyby się, boć to już bardzo dawno było, mości dobrodzieju.

Z trzecimi, panem Jakóbbem Jurszą, żyliśmy brat za brat, więc jego żywot wszelakiego rodzaju i pustelniczy i światowy, bo jeden z drugim przemieszywał czasami, wiem lepiej, a chociaż pobożność jego była wcale inną od tamtych, niemniej jednak była szczerą i prawdziwą. Wiesz jegomość, jak chłop nieumiejący pacierza modlił się: „to tobie Boże, to mnie Boże“, mówił skacząc przez kłodę, a toć coś nakształt tego było i z panem Jurszą, po prostu ale gorliwie, był jednak piśmienny i kantyczek z rąk nie wypuszczał, znał wszystkie festa najdokładniej i do nabożeństwa napędzał bez żartów, a chociaż skończył bogobojnie i po chrześcijańsku, jednak i po śmierci junaczył się po trosze.

Tymczasem stanęliśmy u mojego wozu, lecz ja z tej krótkiej wzmianki o pustelnikach ułożyłem już sobie projekt; ciekawość mię wzięła do tych szpargałów, jak je nazywał Chojecki, a nuż się z nich wysnuje historia tych tajemniczych ludzi!

Gdy więc podróżna jedna i druga czareczka gdańskiego kimmelu, który stanowił główną treść moich

podróżnych zapasów, zrazem pieczeni zakąszona, zarumieniły lica staruszka, ja korzystając z jego humoru dobrego, rzekłem :

— Wiesz co panie Chojecki dobrodzieju, rad jestem bardzo ze znajomości z panem, znałeś mojego dziada i ojca, nie dziw więc, że wnuk pragnie ściślejszej z panem przyjaźni. Pozwól zatem, że się do państwa na obiad zaproszę, podróż moja nie tak pilna, abym kilku godzin nie mógł poświęcić tak miłemu, jakie z panem znajduję towarzystwu i jeżeli to nie zrobi obojgu ichmościom subjeckji...

Starzec się wyprostował, i poważną przybrawszy minę, jeżeli, rzekł, jegomość dobrodziej chcesz mi ten honor uczynić, z całego serca rad będę. Dziad mój i ojciec jeszcze miałby czem przyjąć tak godnego gościa, i w malowanych ścianach, ja zaś przyjmę jegomości dobrodzieja w ubożuchnej chacie i chudo-pacholskim chlebem, ależ przecie, Bogu dzięki, przy pracy głodu nie cierpim, i pan głodnym nie będziesz, kiedy ubogim kęsem nie wzgardzisz.

Uścisnąłem zacnego starca, i po jednej jeszcze czarce, puściliśmy się do blizkiego tuż za borem zaścianku.

Na wrotach domostwa tego należałoby napisać to dawne szlacheckiego mienia godło: „Ubogo, ale chędogo“, które i zewnątrz i wewnątrz stosownem by tu było.

Mały strumień tuż pod wrotami przecinał drogę, i sączył się dalej po łące, na której kilka krówek pasło się swobodnie między kopkami świeżego sianka, wiejącego miłą i orzeźwiającą woń wiejską na nas przyby-

wających. Sama zagroda mogłaby średnie zająć miejsce między dworkiem szlacheckim, a siedliskiem zamożnego chłopka, gospodarskie bowiem budowle, otaczające szczupły dziedzińczyk, nie różniły się od włościńskich, ale w domku mieszkalnym okienka większe, kominy wyprowadzone, ganeczek schludny z ławkami, i czystość wszędzie nadzwyczajna, wznosiły mieszkanie i mieszkańców nad pospolitość, i od razu mogły dać poznać, że los ściągnął tu kogoś z pałacu pod słomianą strzechę, ale uczucia szlachetnej osobistej godności i biedą zeń nie wycisnął. Wreszcie na środku dziedzińca krzyż z figurą Zbawiciela objawiał dostatecznie w kim było zaufanie gospodarzy, i kto ich pracy i cnotliwemu ubóstwu sporzył.

Zdziwiona i spłoszona gromadka dzieci, wnucząt i prawnucząt pana Chojeckiego, a bawiąca się pod krzyżem, uciekła do sieni i ztamtąd wyglądała lękliwie, gdyśmy z bryki wysiadali; ale wnet wyszła na ganek imość, staruszka, żona gospodarza, mało zapewne młodszą od męża, lecz nie trzęsąca głową, a licem, postawą, chędogiem ubraniem i nakoniec przystojnym i jakby dworskim dygiem, jeszcze bardziej ze swem pomieszkaniem sprzeczną.

— Kasiu, rzekł mąż, przywożę tobie gościa, a raczej gość mię przywozi, jest to pan Ch..... Opowiedział potem poznanie się nasze, i wnet konie moje pasły się z krówkami na łące, a ja zostałem między tymi poczciwymi ludźmi, z sercem i umysłem swobodnym, jakiegom nigdy w świetnym salonowem gronie nie miał.

— Czemże przyjmujemy tak szanownego pana? za-

pytała Chojecka męża, tonem bardziej troskliwość i grzeczność, niżeli kłopot oznaczającym.

— Dobrem sercem, moja duszo, dobrem sercem i naszym szlacheckim barszczem, odrzekł mąż, wprowadzając mię do czystej i światłej izby, sienią od gospodarskiej piekarni oddzielonej, i odwracając się jeszcze za odchodzącą żoną, moja imość! zawołał, czekamyż barszczu albowiem!... a ja rozkazałem przynieść z bryki resztę kimmelu.

Wnet wbiegły dwie dziewczynki i nakrywały do stołu.

— Toż są wnuczki, czy prawnuczki pańskie? zapytałem.

— Wnuczki, mości dobrodzieju, wnuczki, prawnuka mam tylko jednego chłopaka, którego widziałeś jego mość. Bóg nam dał trzy córki, a potem syna, córeczki pochwytano rychło, jakby co dobrego, z łaski najstarszej pradziadkiem zostałem. Syn zaś mości dobrodzieju albowiem! służy wojskowo i po szlachecku, to jest mężnie i wiernie, czubił się regularnie mości dobrodzieju. Pod Lipskiem, albowiem, pod Lipskiem był ranny, a teraz konsystencja jego w Warszawie, majorem już chwala Bogu, krzyż legii honorowej na piersiach, i w kieszeni nie pusto, z której i nas rodziców często sukursuje. Niech go Bóg błogosławi!

Tu misa stanęła na stole.

Odzywam się do wszystkich poczciwych miejskich smakoszów. Przypomnijcie sobie barszcz gospodarski z wędlinką!... którego żaden kuchmistrz ugotować nie potrafi, a z którym tylko u staroświeckiej litewskiej

gosposi spotkać się jeszcze zdarza. Jaka woń pokuszająca rozchodzi się od misy i gwałtem do niej ciągnie! Jak wybornym smakiem łechce podniebienie, a zdrową i posilną strawą nasycza! taki barszcz był w misie.

— Teraz po czareczce, może i imość dobrodzijka pozwoli? rzekłem do wchodzącej.

— Pokosztuj moje serce, rzekł Chojecki bo wódeczka podróżna jegomościa, albowiem!

Przyjęła więc odemnie i rzeczywiście pokosztowała tylko, a my z gospodarzem sporzej pokrzepiwszy podbudzony barszczem apetyt, zasiedliśmy we troje do stołu. Nakrycie cienkie i białe, naczynia wszystkie z doskonałej angielskiej cyny, a nawet dla mnie widać wydobyta, może jedyna dawnej zamożności pamiątka, łyżka srebrna z wyciętym na niej Lubiczem, znowu mię o szczęśliwszej przeszłości gospodarzy wspominała, o bogatszej, chcę mówić, bo czyli była szczęśliwszą, gdy każda jej chwila groziła i zbliżała ruinę, niżeli uboga lecz spokojna terażniejszość? pytać nie śmiałem. Grzeczność także u stołu pani Chojeckiej była dworską, zapraszanie do jedzenia nieuprzykrzoną przynuką, przepraszanie za skromność obiadu, który po barszczu na sielskiej jajecznicy się skończył, z szczerością a nie przesadą i wszystko mnie przekonywało, że w obyczajach i mieniu są tu ostatki, jeżeli nie pańskich to szlacheckich dostatków.

*

*

*

Niecierpliwy wiadomości o owych papierach po dwóch pustelnikach pozostałych, jak równie opowiadania

o trzecim panu Jurszy, zapytałem po obiedzie staruszki, czyli je ma gdziekolwiek zachowane?

— Nie mogę z pewnością powiedzieć panu, odpowiedziała, czy są one jeszcze albo nie, tak dawno to było, a odtąd nieraz manatki nasze po lasach i taborach roznosiliśmy, zwłaszcza żyjąc przy trakcie, i nie wszystko się nazad odniosło, poszukaj mężu w kałamarzyku, który w spichrzu się wala, jak tam nie ma to i nigdzie.

— A więc poszukajmy, rzekł Chojecki, prowadząc mnie do małego swego świronka, i po krótkiej chwili wynosząc ów kałamaryk, dawnych sprzętów rzadką dziś pamiątkę, i któremu podobne ze staroświeckimi puzderkami, ze starymi kantorkami pruchnieją dziś na poddaszach, albo gdzie niegdzie służą jeszcze starym sknercom na schowanek zaklętych i zapleśniałych, jak oni sami talarów.

— Jest kałamaryk ale zamknięty, dajże kluczyk moje serce, odezwał się Chojecki.

— A któż wie gdzie ten kluczyk?

— Więc trzeba odbić, rzekł on.

— Szkoda, rzekłem.

— Nie wielka, odpowiedział, i nie wielka praca, bo to ledwo się trzyma. Jakoż podłożywszy nóż odrzucił klapę i otworzył się kałamaryk. Pełnym był papierów mniej więcej zbutwiałych, to starym obyczajem związanych w fascykuły, to w plikach składanych, to w osobnych arkuszach i szpargałach.

— Oj dawność, dawno, miałem w ręku te mantyki, mówił Chojecki, rozpatruj że jegomość.

Wziąłem więc leżący na wierzchu sekstern:

„Panie Jezu, daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego“, napisano było na pierwszej karcie wielkim i dość kształtnym charakterem, z którego sam piszący zadowolony widać, podpisał mniejszemi literami „jak sztych!“ dalej pod formatyką pana dyrektora szło niezgrabne pismo ucznia.

— To ręka mego Adasia, rzekł starzec, biorąc sekstern, jak pan major przyjedzie do mnie, pokażę mu to na próbę, a kiedy nie padnie do nóg rodzicom, które jego dziecinne pamiątki tak chowają i miłują, to albowiem!... Ale niech go Bóg błogosławi! ot i mnie zachciało się, aby on aż osobiście nogi moje całował, kiedy każdy list jego tem się kończy: „nogi rodziców dobrodziejów całuję“, i te pocałunki dukatami jeszcze przyciska. Stary tak gawędząc, przewracał sekstern, patrzył nań czule, zdawało mi się, że go do ust przycisnąć chce... oczy mu łzą zabiegały... O jakże on kochał swojego syna!...

— Ot człek starzeje i uczy się, prawda to, prawda, mości dobrodzieju! mówił on dalej, patrząc na sekstern, gdy ja fascykuły przerzuciał, patrzaj jegomość: „Panie Jezu daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego“ a czegoż więcej potrzeba? Przez całe a długie życie moje naprzykrzam się Panu Bogu rozmaitemi prośbami, codzien co innego, stosownie do okoliczności a nie wiedziałem, że mam pod ręką modlitewkę, która w kilku słowach zawiera wszystko, o co Boga słusznie i warto prosić: „zdrowie, rozum i ochota do dobrego“. Proszę uniżenie! a toć do suplikacji dodaćby należało!

Moje serce, porzuć imoś uczyć wnuczków naszych rozmaitych tam swoich antyfonek, niechaj po świętym pacierzu zmówią codziennie tę modlitewkę i basta! byle Bóg tej ich prośby wysłuchał, to i na ziemi nie zginą i do nieba trafią. Czy nie pamiętasz imoś, jaki to Charybdes uczył Adasia pisać, i taką mu dał formatykę na ciało i duszę?

-- A kto ich tam spamięta, przerwała pani Chojecka mężowi, jego staruszkowatą gawędę, mieliśmy ich kilku, nimeśmy Adasia do Borun do szkół oddali.

Tymczasem ja nie tracąc ani słowa z tej przeciągłej jego pogadanki, rozróżniałem i odkładałem fascykuly i rzekłem:

-- Tu jest wiele papierów familijnych pańskich.

— A tak, rzekł on, rzucając na nie niedbałe spojrzenie, to dokumenta dawnej naszej fortuny, a kiedy nie ma fortuny, na cóż dokumenta? trzeba będzie je spalić.

— Bój się Boga, zawołałem, może kiedyś panu majorowi lub dzieciom jego przydadzą się.

Starzec machnął ręką.

— Wielka liczba papierów, rzekłem dalej, jest jakiejś familii Wołkanowskich i Sołohubów.

— Odkładaj to jegomość na stronę, bo właśnie to dla pana.

Dobrałem się tak aż do dna kałamarzyka, i na dnie jeszcze kilka szpargałów zapisanych znalazłem.

— Oto pismo naszego pokutnika Załuskiego, zawołała pani Chojecka, poznaję je od razu, choć już dawno nie widziałam.

— A więc mamy wszystko, czego szukaliśmy, rzekł Chojecki, a ja patrząc na stos papierów przedemną leżących, nie wiedziałem jak sobie poradzić, gdy zgadując zakłopotanie moje, przerwał mi zacny gospodarz:

— Jeżeli, rzekł on, gościna u nas nie przykrzy się jegomości dobrodziejowi, a interes nie nagli, to prosimy otwartem sercem dziś u nas zostać. Barszcz nasz szlachecki, uważałem że smakował jegomości, a na wieczrę da nam moja imość kurczęta albowiem, potem na świeżem sianku w odrynie zalokujemy się na noc, i będę jegomości dobrodziejowi opowiadać to to, to owo o pustelnikach, tymczasem do wieczora jegomość dobrodziej przewertuj te fascykuly, jeżeli chcesz, a czego w nich nie doczytasz, to ja może dopowiem; ot i złożyą się historie, których jegomość ciekawym być się zdajesz.

Pani Chojecka uprzejmymi słowy wsparła szczerą prośbę. Za grzech więc miałbym odmówić tej prostej a serdecznej gościnności, i odsunąć poczeiwą dłoń szlachecką, którą ku mnie starzec wyciągnął, ścisnąłem ją z wdzięcznością, i to było moją odpowiedzią.

Cały zatem czas aż do wieczora zszedł mi na rozpatrywaniu papierów, których treścią był proces, mający znowu być treścią mojej następnej powieści. Ułatwiły mi tę pracę, tak zwane technicznym ówczesnym wyrazem: „status caus“ to jest, spisane zwięzłe i porządnie przejścia sprawy tej, w różnych jej epokach i stopniach po rozmaitych sądownictwach, oraz główne wypadki życia prawujących się, z procesem związek mające, tęgie to widać prawnicze głowy układały ..

Nakoniec wieczorna pod spichrzem w chłodzie rozmowa z panem Chojeckim, przedłużona aż do świtania w odrynie na świeżem sianku, uzupełniła zapas wiadomości moich, tak o pustelniku bez nazwiska, jako też o przyczynie mistyczo-romantycznej pokuty Załuskiego i o anegdotycznym pustelnicwie pana Jurszy.

Wołkanowscy.

Szerokich włości dziedzic, znakomitego i starożytnego na Litwie rodu, był pan Antoni Sołohub, starosta jezierzyski i krasneński, miał on za sobą księżniczkę Radziwiłłównę, a związek ten blizki z tak potężnym książęcym domem, tem większą jednak przemożność Sołohubowi, tem go w większą podnosił powagę.

Owocem tego małżeństwa była jedyna córka ich, Marja, która z wdzięków i z wysokiego urodzenia i z bogactwa rodziców, do najświetniejszego zamążpójścia zdawała się być przeznaczoną, i takiego dla swej ukochanej jedynaczki Sołohubowie się spodziewali.

Główną rezydencją starosty były dobra Illia, przez Radziwiłłównę w posagu mu wniesione, natenczas w Oszmiańskim, teraz w Wilejskim powiecie leżące, w których tem chętniej zamieszkał, że był zawołanym myśliwym, a obszerne lasy ilskie przylegały tuż z jednej strony z głuchemi kilkanastomilowemi ostępami starostwa markowskiego, a z drugiej z puszczą starostwa krasneńskiego, i tam dalej nieprzerwanym prawie ciągiem pod i za Mińsk, aż do Radziwiłłowskich, dziś jeszcze znakomitych, Smolewickich i dalej Borysowskich

lasów, po których wszystkich swobodnie polował Sołohub.

Też same puszcze, jakież one były przed stu laty, gdy niszczący topór tak po nich nie gościł! Rozległe, nieprzebyte gęstwy, kraje niebotycznych maszt wyrosłych na litewskiej ziemi, a ginących gdzieś w głębiach oceanu na drugiej półkuli świata... Puszczy takich już dziś nie ma, zatem oniemiały trąby i rogi myśliwskie, które wśród nich brzmiały niegdyś codziennie, bo myśliwstwo było natenczas zwykłą rycerską i panów i szlachty zabawą.

Pan Sołohub żył także po pańsku: balował, polował i sejmikował, a utrzymując godnie, podług tamtoczesnych obyczajów dostojęństwo imienia swojego i przewagę w publicznych sprawach, nie myślał wcale o domowych, a tem mniej o córce, którą lubo kochał dusznie, lecz w owym wieku córka wzrastająca i pielęgnowana pod okiem matki nie nabawiała ojca nocy bezsennych, ani myśli niespokojnych o jej mądrej edukacji, lub o jej postanowieniu. Tembardziej panu Sołohubowi, który w żonie swojej miał dla córki wzór doskonały wszelkich cnot niewieścich, i obraz prawdziwej polskiej wysokiego urodzenia matrony, a był pewnym, że gdy czas przyjdzie i Marja dojrzeje, po jedynaczkę i bogatą dziedziczkę, w dom jego otwarty, swatowstwa i swaty popłyną zewsząd.

Marja też dojrzewała, i piękne dziecko w piękną rozwinęło się dziewczęcę, rychlej, aniżeli troskliwa uwaga rodzicielska dostrzegać szybkich postępów tej odmiany mogła. Jest to w naturze rodzicielskiej do dzieci, a

szczególniej matek do córek przywiązania, że pieśczo-ty z któremi tuła do łona główki miłej swej dziewczynki, równie są tkliwe, rzewne, miękkie i zdrobniałe, że tak powiem, chociaż dziewczynka ta dochodzi już czasu, gdy prócz rodzicielskich pieśczo-ty, powiewny ten kwiatek stalszego potrzebować zaczyna wsparcia, i niespokojnem uczuciem, jakby lekkim wiatrem, w tę i ową stronę kołysany, piękną swą wychylając główkę, szukać go i wyglądać się zdaje.

* * *

Raz pan Sołohub, w odległej od domu, myśliwskiej, bo aż wśród Borysowskich lasów wyprawie, stanął obozem w szlacheckiej okolicy, w tej puszczy osiadłej, i główną tam obrawszy kwaterę, ztamtąd zapuszczał się w knieje, i tam nazad codziennie wracał na noclegi, co tem szczęśliwej dlań się zdarzyło, że szlachta dostarczała wszelkich dla liczego myśliwstwa potrzeb, hojnie przezeń opłacanych, a pomnażała mu liczbę strzelców. Jeden z nich szczególnie, stary i siwy jak gołąb, ale jeszcze czerstwy, rzeźwy i ochoczy, od razu zaczął rej wodzić całemu myśliwstwu, sam z natury myśliwy, znał on najdokładniej tę, jeszcze i dziś ogromną puszcę, wśród której długi czas przeżył i przepolował, wiedział wszystkie jej knieje i głuche ostępy, i wedle upodobania i woli Sołohuba, na każdego zwierza prowadził.

Nieoszacowany Wołkanowski! (tak się bowiem starzec ten nazywał), wykrzykiwał starosta, i kończył

zawsze namawianiem go do służby sobie za łowczego, od czego on wiekiem się wymawiał.

Ale staruszek miał adjutanta, był nim syn jego, Piotrek, lat piętnaście mieć mogący, chłopak przystojnego lica, bystrych i pojętnych oczu, krzepkiej i widać było zahartowanej budowy ciała, bo nie odstępując nigdy tatulka i pracowite jego, a niekiedy i niebezpieczne dzielając wyprawy, wzmocnił siły nad lata i był prawdziwym wychowawcą natury, która powierzającym się jedynie jej pieczy, daje co najlepszego równie ludziom jak zwierzętom dać może, zdrowie.

Na pozór w pół dziki obszarpaniec, podrapany na twarzy, rękach i odzieży, bo bez pamięci darł się przez gęstwiny i krzaki za zwierzyną, którą bił bez żadnej uwagi, nawet na mecie i strzale samego starosty, porywając się zapamiętale do sztybla na pułkujących, sam nigdy nie pułkując, a zatem nie dając prawa do odwetu. Słowem, na pozór sowizdrzał nieuhamowany, a jednak gdy szło: gdzie? jak? i na jakiego zwierza zapolować? jak zaprowadzić strzelców? jak ich rozstawić? z kąd puścić gończe lub ogary? rada natenczas Piotrka była tak rozważnie, z taką znajomością myśliwskiego rzemiosła i miejsca wymiarkowaną, twarz nawet jego, postać i mowa takiej nabierały roztropności, że stary ojciec, posprzeczaszwszy się nieco, wrzekomo dla utrzymania swej powagi, prowadził jednak obławy po zdaniu syna, i nigdy ani sam się nie zawiódł, ani nadziei Sołohuba nie zmylił.

Pewnego dnia, na rannym myśliwskim odpoczynku, rzekł starosta: Wiesz co, mój kochany Wołkanowski,

gdy sam nie chcesz u mnie zająć funkcji łowczego, to daj mi tego szubrawca Piotrka.

— Jak to? na łowczego! zapytał stary zdziwionem okiem patrząc w twarz starosty.

— Tak, tak... odpowiedział jakając się, zmieszany nieco tym wzrokiem. Pojmuję zdziwienie twe, mój panie Samuelu, Piotrek jeszcze za młody, a zatem i żywy nadto, ale to się uchodzi, a był w dobrej twojej szkole.

— A wiesz, panie starosto dobrodzieju, czégo się on w tej szkole uczy? rzekł znowu stary, nie zmieniając postaci ni wzroku.

— Nie rozumiem cię, odpowiedział Sołohub, właśnie zdało mi się, że go na myśliwego z profesji układasz, aby z tego potem chleb jadł.

— Oj, ze wszystkim co innego, panie dobrodzieju! ze wszystkim co innego, tylko chcąc to wytłómaczyć panu, nie wiem od czego zacząć?... Czyliżes pan nigdy nie słyshał na Litwie o Wołkanowskich i ich bratobójczym procesie?

Sołohub wznosił czoło w górę, przyzywając dawne wspomnienia: tak, rzekł potem, tak słyshałem coś, słyshałem... jestżeś mości panie z tej samej familii?

— Jam wnuk zabitego, odpowiedział stary.

— Wnuk zabitego? dla Boga! kiedyż to się stało? zawołał Sołohub.

— Anno 1639, jutro właśnie 21 7-bra rok setny się zacznie od dnia wykonania tej zbrodni, i dla tego nam jutro w myślistwie pasz, bo zabrawszy z sobą Piotrka, ostatnią złotówkę poniosę na mszę żałobną za duszę męczennika.

— Wieleż sam masz lat? pytał znowu starosta.

— Siedmdziesiąt cztery, mości dobrodzieju.

— A syn tak młody?

— Młody, tak młody, bo gdy z pierwszego małżeństwa pan Bóg pociechy mnie nie dał, a potem i przyjaciele, z którym się nie mało latek przeżyło, zabrał do swojej chwały, nie poczuwając się jeszcze grzybem, choć już półszosta z górą krzyżyka liczyłem sobie, powdowiawszy lat kilka, rezolwowałem się znowu na kobierzec. A nuż? myślałem sobie, da mi Bóg potomka, który krwią pradziada swego okupioną fortunę wywindykuje!... I zda się wysłuchał Bóg prośb moich, urodził mi się ten chłopak... któż wie co go czeka? ale w zamysłach i nadziejach moich na dojeżdżacza sposobieć go nie myślę. I dla tego tak sobie w głowie układałem; na szkoły substancji brak, lecz przypomniawszy, że pod Jezuicką ferulą, nie siedząc intra asinorum, nie tyłkom sam kiedyś się uczył, ale i drugim repetowałem pensa, postanowiłem sam być preceptorem mojego Piotrka. I obacz pan dobrodziej, czy na próżno pracowałem? Bóg mu dał pamięć i spryt nadzwyczajny, to nie że sowizdrzał, ale kiedy siądzie nad książką, to ledwo połowę jemu wytłómaczę, resztę sam domyśli się i pojmie. Młoda to krew, mości dobrodzieju, prawda, często dla poroszy rzuci książkę pod stół i tydzień w lesie wysiedzi, ale natenczas jestem i ja z nim razem. A tam inna znowu nauka. Przy rozpalonym pniaku starym opowiedziałem mu i powtórzyłem nie raz, jak lekcję jaką, całą naszą nieszczęśliwą historję, nauczyłem go nawet długiego pro-

cesu naszego, i sposobu jakim go odnowić możnaby było, bo mnie na to sposobu nie stało i ręce opadły, gdy macając niemi po kieszeniach, ani szeląga znaleźć nie mogłem, dawności jednak ziemskiej nie zasypiam, i coraz to manifeścik do akt wrzucę. A nakoniec i myśliwstwo, mości dobrodzieju, nie idzie na darmo, niech młody, myślę sobie, z ostrożności i instynktu zwierza uczy się natury ludzkiej, jam się jej uczył z praktyki, mając do czynienia z rozmaitymi ludźmi. Oj, daliż mnie oni pensę, dali!... a więc synku, mówię jemu, patrzaj i uważaj: kiedy będziesz na świecie, to jak w kniei gęsto podszytej, ty tropisz i ciebie tropią. Ostrożnie nieboże, ostrożnie! bo wpadniesz w samołówki, w siecie, w wilcze doły i od razu zginiesz. Patrzaj jak zwierz roztropnie sobie radzi, jak choć go głód do przynęty ciągnie, instynkt go ostrzega, że to zdrada, jak lis od wiatru zachodzi, gdy strzelca czuje, jak kochany kum wilczysko dziesięć razy obejdzie jamę, choć go gąska wabi, a jak przeciwnie, ginie zawsze biedny zajęczek, że nie umie oprzeć się swojemu sercu i że dalekie pod gonem psów obłożywszy pola, wraca niebaczny do rodzinnej kniei, gdzie znający jego poczciwą naturę czeka nań strzelec...

— Nie spodziewałem się, przerwał Sołohub, pokręcając głową, takiej filozofii w myśliwstwie, chłopiec twój musi mieć rozum nad lata, przy takim nauczycielu.

— Oj, gdyby to jemu regularna nauka, mości dobrodzieju, mówił znowu Wołkanowski, ale przecież i przy tej jaką ma, nie zginie na świecie, gdy na nią

pamiętać będzie. Bo oprócz tej myśliwskiej morałki, podług której między ludźmi kierować się powinien, umie nadto Boga chwalić, a to grunt, umie czytać regularnie, pisze tak, że i podpisek jaki niepowstydziliby się, a na koniec wie, że jest szlachcic ab antiquo, herbu Radwan, a zatem, że powinien umieć czy pod wicią, czy pod chorągwią, jak na szlachcica przystoi stawać mężnie i bić się serdecznie, do czego także ma ułożoną rękę, a nawet obie. Ot proszę jaśnie wielmożnego pana, niechby którykolwiek z dworzan pańskich stanął z nim. Niech chłopiec wyda eksperyment przed wspaniałą pańską personą.

Sołohub rad z nadarzającej się rozrywki, bo i polowanie w swej różnorodności ma jednak jednostajność, która jeżeli nie nudzi, to utrudza na koniec, wysmieniście, rzekł, bardzo dobrze, jeżeli tak chcesz.

— Hej, Tatura! zawołał.

Wnet wysunął się z tłumu myśliwych, wśród których właśnie Piotrek gorącą jakąś myśliwską wiódł sprzeczkę, Goliat, można powiedzieć, zwłaszcza w porównaniu z Piotrkiem, słuszny urodą, stosowną tuszą, lat ze czterdzieści mieć mogący, z jedwabną torbą przez ramię, z kordelasem wiszącym od szerokiego, ładunkami naszytego pasa, z gwintówką za plecami, a kapeluszem z palonej skóry na głowie.

— Co JW. pan rozkażesz? zapytał.

— Coż mości panie? rzekł starosta do Wołkanowskiego, wskazując tę figurę.

Stary zmierzwszy od stóp do głowy stojącego przed nim dworaka, po krótkiej rozwadze, kiwnął głową.

— Wolaż Pana Boga, zawołał, przypomniawszy historję Dawida, akceptuję mości dobrodzieju.

— Panie Tatura, rzekł starosta, Wołkanowski powiada, że jego Piotrek każdemu z moich dworzan dotrzyma kroku w palcaty, ja wybrałem waści, spróbój się z nim.

— A cóż JW. panie, odezwał się tubalnie Tatura, czy mam chłopcu kijem mleko pod nosem obetrzeć? wybierz JW. pan którego z młodszych, mnie taki i wstyd będzie bić się z dzieckiem, chybaby już z panem ojcem.

— Prawda, odpowiedział Sołohub, waść i pyszny i poważny, ale cóż, kiedy tu idzie o utrzymanie honoru dworu mojego, a waść się chwalisz, żeś gracz i do korda i do kija, dotąd nie zdarzyła się okazja abys pokazał mi co umiesz, więc teraz daj młodemu nauczkę.

Wołkanowski tymczasem zawołał syna.

— Słuchaj Piotрку, rzekł mu, poszukaj w lesie smagłych dębinek i stań w kroku z tym jegomościem, który powiada, że tobie mleko z pod nosa kijem obetrze.

— Co! ten pudlarz? zawołał rumieniąc się z gniewu chłopiec. Słuchaj hoholu, stań na ostre, to nim ty mnie mleko obetrzesz, ja ci tę sierść pod nosem ogolę.

— No, no, chłopcze, nie gniewaj się, rzekł starosta, uprzedzając wybuch Tatury, który już najeżył wąsy, chcąc jakby przekonać o trudności zgolenia ich, nie gniewaj się, ja to chcę obaczyć, czy tak pięknie bijesz się w palcaty, jak się chwali, że cię wyuczył twój ojciec.

— A zatem mam się bić dla zabawy pańskiej? mówił zdziwiony młodzieniec, to co innego. On powinien i przez kij skakać kiedy pan każe, bo on jurgieltowy, ale panie ojcze, podług tego co mi o szlachectwie mówiłeś ja bić się nie będę...

— Boś tchórz! zawołał Tatura.

Jakby go ranił boleśnie, tak podskoczył na te słowa Piotrek, a nie odpowiadając już ani rozumując, a krzyżąc tylko w biegu poczekaj! poleciał do lasu.

* * *

— Twój syn, panie Wołkanowski, harda sztuczka, rzekł starosta, nauczyłeś go pychy, to źle.

— Nie, jaśnie wielmożny panie, pycha to fel to grzech śmiertelny, to pierwszy gradus do piekła, a jeszcze nam chudym pacholkom pięknieby ona przystała! Nie uczyłem ja go więc pychy, ale nauczyłem respektować w sobie honestatem swego szlacheckiego klejnotu. Przyjdzie może i jemu trzymać się gdzieś pańskiej klamki, uręczam JW. pana, że w takim razie będzie służył wiernie i poczciwie, że śmiało nadstawi łba za honor swego pryncypała, ale i własnego nie da nikomu na pastwę.

Tymczasem toczyły się dworskie przedrwinki z Tatury, wypraszającego się u starosty od tego pojedynku, czuł on bowiem, że ze zwycięstwa nad dzieckiem nie będzie wielkiej chluby, a nuż w przypadku! nie będzie miał gdzie oczu podziąć.

— Uwolniłbym cię tem łatwiej, rzekł starosta, że i Piotrek bić się nie życzył, ale gdyś go tchórzem nazwał,

to już nie ma rady, on cię na sucho nie wypuści, patrz, patrz, jaki snop kijów ciągnie z lasu.

Jakoż Piotr kilkanaście dębinek młodych, prostych i równo uciętych przyniósł, a rzucając je przed Taturę na ziemię, rzekł, no, wybieraj sobie do ręki!

— A wybiorę różgę na blazna, mówił podejmując kij grubszy Tatura.

— A ja stępel na pudlarza, odrzekł Piotrek, biorąc także dębinę, a rozśmieli się z tych pogrózek wszyscy, i cała myśliwska gromada otoczyła kołem pole popisu.

Za Piotrkim stanęła szlachta, towarzysze i sąsiedzi Wołkanowskiego, jakby w sekundy i dla dodania rezonu swemu faworytowi i wychowawcowi.

Straszne to figury! łby golone lub łyse, policzki rumiane i pękate, wąsy szorstko nastrzępione, lub suto zwisłe, oczy żywe i wejrzenie surowe, na nich kurty zamaszyste, borsucze torby, juchtowe szerokie pasy ze sterczącymi w nich rogami z prochem, flinty w rękę. Straszne figury! prawda i gdybyś w lesie na samotnej drodze spotkał którego niespodzianie: Bandyta! pomyślałbyś strwożony. A jednak pilniejsze nań zwróciwszy oko, od razu upatrzyłbyś w obliczu tem coś takiego, coby cię wnet uspokoiło, coby cię owszem sympatycznie doń skłoniło, jakiś wyraz spokojnego sumienia, dobrej myśli, szczerości i rubasznej swobody. Właśnie jak wewnątrz tak i na twarzach: pozór burzliwy, grunt poczciwy i bezpieczny... Iluż z dzisiejszych malarzy usiłuje odtwarzać te nasze staroświeckie twarze i postaci! ale jakże mało takich, którzyby to sprzeciwieństwo

pojmwali, a jeszcze mniej którzyby je uwydatnić potrafili!

Kilkanaście więc takich figur stanęło za Piotrkim. Tymczasem Tatura zdjął z siebie myśliwski moderunek, gwintówkę oddał strzelcowi, podjął łeb i spojrzął w górę, potem zaszedł od słońca, stanął w kroku i ukłonił się staroście. Stary frant, chciał tą rewerencją jakoby dać poznać, że dla tego taką pozycję obiera, aby tyłem do swego pryncypała nie obrócić się, a w rzeczy szło mu o to, aby Piotra naprzeciw słońca postawić, którego jasne południowe promienie émiłyby mu oczy.

— Ostrzegam pana Tatura, rzekł stary Wołkanowski, że mój Piotrek na obie ręce bije się.

— Dość mu będzie mojej jednej, odpowiedział dworak.

Tymczasem Piotr spojrzął także w górę i uśmiechnął się, zrozumiał manewr przeciwnika, a obróciwszy się do swej braci szlachty, dajcież, rzekł, łapy na szczęście.

— No, no, rzekli oni biorąc go i wstrząsając za rękę, no, no, panie Pietrze, po naszemu! po naszemu.

— A to wszystko widzę zuchy, odezwał się starosta do stojącego obok siebie starego Wołkanowskiego.

— A zuchy, zuchy mości dobrodzieju i gracze do kija, a data occasione i na ostre, bo u nas co niedziela tyle w okolicy, na ulicach i dziedzińcach nałamiem kijów, że żonki przez cały tydzień mają na czem kaszę gotować.

Stanęli więc naprzeciw siebie rycerze, Piotrek, któremu w tej chwili, wieku, urody i dojrzałości przyby-

wać zdawało się, lewą ręką zasłoniwszy się daszkiem nad oczami od słońca, prawą raźnie się złożył z Taturą.

— Stójcie, zawołał starosta, tak być nie może, odmieńcie pozycję, Piotrkowi słońce dokucza w oczy.

— Nic to panie, nic, odpowiedział Piotrek, gdy na to zawołanie starosty Tatura się zatrzymał, każdy sobie poradzi, dalej do roboty.

Raz, dwa, trzy. Kije się skrzyżowały, bo to każda taka bójka tym obrzędem się zaczynała.

— Hajże! znajże! dotrzymajże! krzyknęła niespodzianie, a razem jak indyki, szlachta za Piotrem stojąca.

Tatura zmieszał się, spuścił z oka Piotra, a ten śmignął chyłkiem mu pod rękę, i z tyłu po grzbiecie boleśnie przeprowadziwszy dębinę: Sam do słońca, panie majstrze! krzyknął.

Śmiech powszechny rozległ się.

— Ha zdrajco!... chłystku!... pijaku!... wrzeszczał Tatura. Ze złości stracił on głowę, nazywając pijakiem chłopca, który za życia jeszcze i razu się nie upił.

— Zdrajca, czy nie zdrajca, mówił starosta, śmiejąc się także serdecznie, dość że masz za swoje: kto pod kim dolki kopie, ten sam w nie wpada; chciałeś oćmić chłopca i tym sposobem go splążyć. Otoż zdrada za zdradę, masz wet za wet i popraw się, bo będę cię miał za trzy litery.

Walka więc na chwilę przerwana, poszła dalej z impetem. Tatura kapelusz swój skórzany nasunął na czoło od słońca i zapalczywie nacierać począł, lecz on nie bić się, ale bić chciał; więc kij jego w jednostajnej zawsze dyrekeji z góry na dół spadał, do czego

wysoka statura jego wielce mu dopomagała, i odska-kiwał w górę, odbijany pałką przeciwnika, broniącego łba swojego. Ale gdy jednostajny taki atak i obrona przedłużały się bez skutku, zniecierpliwili się spektatorowie.

— Cóż? czy długo Tatura będziesz drwa rąbał? zawołał starosta, szalony mi pojedynek, jeden z góry na dół kij spuszcza, a drugi nad głową kij trzyma.

— Hej panie Pietrze! odezwała się także szlachta, zabiegłszy mu z tyłu. Hej po naszymu! Łupu cupu! Cupu łupu!

Na to wezwanie, Tatura nieumiejący widać zręcznych ~~małców~~ wrów, a w siłę swą tylko zaufany, wykręcił młynka ~~pod~~ głową, tak, że aż kij zafurczał w powietrzu. lecz w tejże samej chwili Piotrek, korzystając z odkrycia się jego, podbił mu z dołu kapelusz tak, że odleciał mu z głowy na kilka kroków, a teraz na gołe łby! krzyknął.

Młynek wietrzny zawiązał w powietrzu, jakby wiatru nie stało, a śmiech i brawa powtórzyły się znowu w okóło.

— Dość, dość, rzekł starosta, poznaliśmy gracza i partacza.

— A niechże mnie sto tysięcy djabłów porwie! wrzasnął Tatura, jak to dość? ja tego smarkacza na miazgę zbiję, i ze wściekłością rzucił się na Piotra. Ledwo ten miał czas odskoczyć parę susów i stanąć w pozycji obronnej, bo Tatura chciał go schwycić oburącz i cisnąć na ziemię, a potem kijem okładać, czegooby łatwo z potężną swą siłą dokazał; lecz gdy znalazł

kij gotowy naprzeciw siebie, musiał znowu kontynuować pojedynek, do którego zemsta go już i wstyd zapalały, zaczęła się więc rzeźwa i szczerza siekanina. Kij Tatury bez pamięci i układu wprawdzie, ale nadzwyczaj silnie i gęsto machany, tem samem, że bez układu, niebezpiecznym był dla Piotra, przyzwyczajonego do porządniejszych i umiejętniejszych, a mniej zawziętych bójek, bronił się wprawdzie i odbijał zręcznie i dzielnie, ale wzajemnie atakować nie mógł, chociaż folgując prawej ręce, w lewą nieraz przerzucał dębinę. Szlachta krzykiem dodawała rezonu, i raptem wytknęła się z pod pachy jednego z nich ogromna łysa głowa, z czerwonym nosem i szeroką gębą, a wielkimi wołowemi oczami, jakby łeb upiora z pod pachy wyglądający, i ryknęła okrutnie: „Hura! rura! Pan Tatura!“ i straszdyło znikło. Szlachta tubalnym chórem huknęła! Rura! rura! pan Tatura, i wrzeszczała na całe gardło, a Tatura zgrzytał zębami i nacierał jeszcze srożej... w tem smagła dębinka Piotra uderzona potężnie grubszą pałką adwersarza, pęka w połowie... Starosta i wszyscy, stój krzyknęli, dość! ale Tatura rad z okazji, masz! rzekł z przyciskiem i ciężki raz spuścił na ramie Piotrka, ten upadł... ale w tem samym oka mgnienu zachwiał się i rymnął jak długi Tatura, bo Piotrek upadając, chwycił go za nogi i pociągnął za sobą, a zerwawszy się rzeźwo, siedział wnet na brzuchu oghuszonego Tatury i gniótł go z całej swej siły. Wszyscy bili w dłonie na tryumf i starosta razem, a na dobitkę ukazała się znowu z pod pachy straszna głowa upiora i beknęła kozim głosem:

„I na ogromnym smoku jeździć będziesz.“

— A to jakiś koncepcista, rzekł śmiejący się starosta.

Tatura wszakże nie dał się długo ciemnieć, strząśł z siebie swawolnego chłopaka, powstał i zaklinając się szalenie, biegł za nim... lecz zastąpiła mu drogę szlachta, a starosta jednym słowem wstrzymał zawziętego Goliata. Pohamować jednak nie mógł ani jego krnąbrnych odgrážanek, ani szlachty od drażniących go okrzyków: hura! rura! pan Tatura! i podobnych temu konceptów mniej więcej dowcipnych i gorzkich, któremi dopiekał mu nieustannie ów jakiś upiór utrapiony. Zresztą był pewnym, że Tatura skonfundowany i zwyciężony od jednego, nie porwie się na kilkunastu, dozwolił zatem szumieć humorowi szlacheckiemu, podnieconemu wprzód jeszcze kilkakrotnemi drwinami, lecz zainteresowany tem bardziej zręcznością i roztropnością młodzieńca, a w ojcu poznając człowieka nie tak pospolitego, jak go był z pierwszego wejrzenia osądził: Panie Wołkanowski, rzekł, przyznaję żeś i głowę i rękę syna sposobił na to, aby kiedyś z tych lasów na świat wyszedłszy, umiał ręką bronić głowy, a głową kierować rękę. Dobrze to jest i po szlachecku, lecz radbym jeszcze wiedzieć tę historję waszego brato-bójczego, jak mi powiedziałaś procesu, jeżeli więc nie masz nic przeciw temu, to mi ją opowiedz.

— Nie mam nic przeciw temu, ale nie mam i czasu, bo to nie dwa, ani trzy słowa, a pan dobrodziej jutro pono masz nas opuścić.

— Nie, mój kochany Wołkanowski, Piotrek twój powiedział mi, że wie ostęp, w którym znajdziemy rysiów.

— Ho! wymówił się błazen, rzekł kręcąc głową stary, toż widać pokochał pana, kiedy nawet rysiów wydał.

— Nie straci na tem, rzekł Sołohub, lecz spostrzegłszy że Wołkanowski na te słowa znowu zdziwionem okiem spogląda, ale nim co będzie, dodał, tymczasem zrobmy tak: Idźmy wraz do domu, dziś mi opowiesz swoje dzieje, jutro waćpan z synem na eksekwie pojedziesz, a my odpoczniemy sobie, bo i ludzie i psy codzienną pracą zmordowane, a po jutrze za panem Piotrem na rysie! Hej, pojezdnego!

Sześć trąbek zabrzmiało wnet rozgłośnem echem, tak miłem myśliwemu uchu, i cała gromada wesoło i gwarno pociągnęła do okolicy, w której się wkrótce wygodnie roztasowała.

Lat sto wstecz.

Kiedy po rannych fatygach wypoczął już sobie starosta, a krótki dzień wrześnieowy gdy już w szarej tonął godzinie, w schludnej izbie, którą on sobie za kwatere wybrał, zajaśniało kilka świeczników, i rozkazał Sołohub prosić do siebie Wołkanowskiego.

Nie długo dając na się oczekiwać, wszedł stary, uginając się pod ciężarem pękatego worka i kilkadziesiąt plik papierów wytrząsł zeń pod nogi staroście.

— Co to jest, mości panie? zawołał on zdziwiony.

— To mój ciężar, który dźwigam od młodości i dźwigałbym aż dotąd, gdyby bieda i ubóstwo gorszym mię jeszcze nie nacisnęło, tak, że już tamtemu nie podolałam, a prosto mówiąc, to cały nasz proceder w

dokumentach, które jasnie wielmożnemu panu czytać będę.

— A bój się Boga, panie bracie, nie skończym i za tydzień! zresztą, anim ja wasz sędzia anim adwokat. Opowiedz mi całe to zdarzenie summatim, wszakże wiedzieć musisz wszelkie szczegóły i okoliczności, a może w czemkolwiek będę mógł być wam użytecznym?

— Ale bo widzisz, panie starosto dobrodzieju, mówił Wołkanowski, podejmując niektóre fascykuły z ziemi i kładąc je na stole, muszę niektóre przynajmniej okazać JW. panu, na utwierdzenie prawdy tego, co opowiadać będę.

Oto naprzykład dowód szlacheckiej rodowitości naszej, Laudum województwa Sandomirskiego: „My rady, dygnitarze, urzędnicy i wszystkie rycerstwo województwa Sandomirskiego, którzyśmy do Opatowa na sejmik elekcji deputackiej, w dzień dzisiejszy, w poniedziałek po narodzeniu Najświętszej Panny Marji, to jest dziesiątego dnia września, roku Pańskiego 1635, zgromadzili.

— Po co panie bracie, przerwał starosta, ślepisz przy świecach stare swe oczy? mów swojemi słowami.

— Oho, panie dobrodzieju, ja to na pamięć umiem, bo to basis et fundamentum naszego tu zażycia się, bez tego Litwini przepędziliby mnie gdzie pieprz rośnie, tak jak dziada mego przepędzić chcieli, póki im tego autentyku nie przywiózł. Jest to więc testimonium całego koła rycerskiego województwa Sandomirskiego, przed którym dziad mój Stanisław, z małych i wielkich Wołkanów Wołkanowski, nobilitację swoją i z

miecza i z kądzieli, i przez dziady i przez baby, tak stoi w tem piśmie panie dobrodzieju, publicznie dedukował i dowiódł, że był odwiecznym obywatelem tego województwa, i powiatu Chęcińskiego. Przypatrz się JW. pan i przeczytaj, jakie to przezacne imiona akt ten podpisały i stwierdziły.

Sołohub, przypatrując się tym przedstoletnim natenczas, a dziś przed dwustoletnim z górą podpisom, ale cóż powodowało, zapytał, dziada twego do szukania i wyjednania sobie tego testimonium?

Otoż na to pańskie zapytanie, potrzeba już regularnie zacząć opowiadać naszą historję.

* * *

Wołkanowscy od antenatów żyli w Sandomierskim w dobrach swoich, małych i wielkich Wołkanach, ale z czasem rozrodzeni... tu stary jękał się i zdawał się szukać stosownego wyrazu, i co gorsza...

— Cóż? rzekł starosta.

— Niezgodni... no, niezgodni panie dobrodzieju.

— Cóż w tem osobliwego, żeś wymówić nie chciał? Rara concordia fratrum: to w przysłowie nawet weszło.

— Oh bo panie dobrodzieju, ta niezgoda krwią bodaj była zmazana... Nie wiem jak to było, bo i ojciec mój nie chciał mi nigdy tego dokładnie opowiedzieć, tylko wznosił oczy do nieba i błagał przebaczenia boskiego dla całej naszej rodziny, coś to bodaj na pradziadach naszych ciąży... niedaj Boże aby się to na prawnukach skrupiło!...

No, więc tak rozrodzeni i niezgodni, rozsypali się

po różnych stronach, a jeden z nich, Stanisław Janowicz Wołkanowski oparł się aż tu w województwie Mińskiem i stał się dziedzicem Sieliszcza.

— Gdzieś tam o mil kilka od Illii jest jakieś Sieliszcze, rzekł starosta.

— Też same to, też same, panie dobrodzieju i gdyby sprawiedliwość święta była na świecie, byłbym o mil kilka sąsiadem pańskim.

Ten pan Stanisław Wołkanowski był to człek wojсковy, za królów Zygmunta III-go i jego syna Władysława IV-go, przypowiadano go rotmistrzem to pieszym to kozackim, i zawsze z pocztem sowitym stawał na wyprawach. Lecz z tej przyczyny, nie mogąc dopilnować ani fortuny, ani gospodarstwa, udał się do gniazda imienia swego w Sandomirskie, i tam namówił dziada mego, a krewnego swego, zawołanego gospodarza, aby sprzedawszy swój folwark przeniósł się do Litwy, a po staremu do Sieliszcza, gdzie mu do wiernych rąk chciał spuścić całą swą substancję, a nadto dobrą dzierżawą ukontentować.

Tak się i stało, dziad mój, spieniężwszy wszystko co miał, za część kapitaliku wziął w zastawę folwark od Sieliszcza, a resztę oddał na prowizję tak życzliwemu krewniakowi, i zajął się wprowadzeniem do jego gospodarki ładu, którego dotąd ani za grosz nie było.

Z początku szło wszystko dobrze i coraz ku lepszemu, bo pan rotmistrz w szczerych intencjach sprowadziwszy mojego dziada, zawierzył mu zupełnie, ale jak tylko on wyruszył na wyprawę, małżonka jego, bardzo fertyczna imość, sama wnet rządzić wszystkiem posta-

nowiła i z pomocą dwóch synalów, już dobrych wyrostków, wypędziła mojego dziada z Sieliszcza. Jeszcze to mniejsza było, osiadł on bowiem w swojej zastawie i nie dbał o panią rotmistrzową, gadał jej prawdę bez ogródki, że Sieliszcze pod jej rządem pójdzie świdrem, a mąż powróciwszy do domu, nie będzie miał za co podziękować imości dobrodziejce, której bezładem i rozrzutnością fortunka piękna ginęła marnie, więc i o swój kapitalik kołatać począł, co tem bardziej rozgniewało babę. Jakoż, gdy mąż wrócił do domu, tyle mu weksy i nienawiści nakładła do serca na mojego dziada, że już sposobu pojednania się nie było, a rotmistrz wypędzić go z zastawy bez zwrotu sumy zadeklarował. Mój dziad zaś, pragnąc co najrychlej wyrwać się z tej otchłani i wrócić w Sandomierskie, pozwał rotmistrza o zwrot wszystkich swoich pieniędzy.

* * *

— Ktoś tam powiedział, panie dobrodzieju, mówił dalej Wołkanowski, że dwóch jakichsić gości panów, prawując się z sobą, na jednym wózku do sądu jechali, to nie prawda gości dobrodzieju, to dali-Bóg nie prawda. Albo powiadają, „przyjaźń przyjaźnią, interes interesem“. Interes i przyjaźń, to jak ogień i woda, kiedy jedno z drugim zbliżysz, to albo ogień tak wodę podpali, że wnet zawrze, albo woda zagasi ogień, ale gdyby ogień w wodzie palił się, to tego jak świat światem, nie było i nie będzie, tak, jak nie było i nie będzie, aby razem można i kochać się i kłócić się.

— No, ale cóż dalej? — przerwał starosta.

— Dalej, panie dobrodzieju, zaczęła się wojna, do której się wziął rotmistrz najprzód, zadając dziadowi memu imparitatem, wypierając się wszelkiego z nim pokrewieństwa, że się podszyl pod jego nazwisko, a był de radice plebejusz. Uczynił to w nadziei, że wiekiem podeszły dziad mój nie zdąży w dalekie koronne strony po dowody swej rodowitości, której gdy nie dowiedzie, pozbędzie się wszelkich praw i prerogatyw szlacheckich i szczęśliwym będzie, gdy choć z duszą z Litwy wypuszczą.

Ale się kaducznie omylił, bo wzięwszy Pana Boga na pomoc, dziadek mój ruszył bez zwłoki do swego gniazda w Sandomierskie, i ztamąd przywiózł ten oto dokument, nieoszacowanej waluty, który JW. pan dobrodziej w rękę trzymasz, a oprzysięgłszy go jeszcze na trybunale w Mińsku, nie tylko się nim jak tarczą od persekucji zasłonił, ale jeszcze dopominał się o nawiązki, i aby według statutu potwarca pod ławą jako pies, potwarz odszczekał.

Nie chciało się panu rotmistrzowi tego hau! hau! z pod ławy, bo prawdę mówiąc, ten honor pani rotmistrzowej właściwiej by należał, jako skrytej do wszystkiego złego tentatorce. A tu nie było rady, trzeba było i pieniądze i dobrą sławę wrocić nienawistnemu adwersarzowi, więc go inaczej pozbyć nie mogąc, zabić postanowili.

Nizeli jednak te niegodziwe zamysły doszły do skutku, rotmistrz umarł, i dobrze zrobił, bo nie poniósł na sobie przed sąd Boski kryminału, do jakiego wiodła go zawzięta baba, a pewnie djabeł przez nią, bo

wiadomo, że gdzie on sam nie może, tam babę podsadzi. Możeby zresztą rotmistrz i nie dopuścić się takiej zbrodni, na którą mości dobrodzieju horret animus, zwłaszcza człowieka rycerskiego, jakim on był, ale wdówka nie skrupulatka, i z godnym synalem swoim Franciszkiem Wołkanowskim, ułożyła plan, który dziada mego pewnie do nieba, jak męczennika, a ich oboje do piekła zawiódł.

Przechwałki częste, jakie zalawszy sobie w pałkę i buszując po sąsiedztwie, ten Franciszek rozpuszczał, doszły nakoniec do ucha dziada mego, więc on warując bezpieczeństwo życia i zdrowia swego, list zaręczny na 10,000 kóp groszy, przeciw tym odgrózkom wyniósł, ale im bardziej prawną obrzucał ich siecią, tem większą w nich tylko pobudzał zawziętość, i nakoniec krótko mówiąc, napadł Franciszek z dobraną bandą łotrów pijanych na dom jego, i bezbronnego okrutnie zabił... a nie dając nawet czasu, aby poczeiwie i po chrześcijańsku pogrzebać go, trupa na wóz włożyć kazał, i przy tym samym wozie obumarłą prawie wdowę z dziećmi wygnał za wrota.

* * *

— Cóż to za zbrodnia! zawołał zdziwiony i porywając się z miejsca starosta, w tatarskim, barbarzyńskim narodzie nie podobnego nie słyszano? Cóż dalej, cóż dalej, uszłóż to jemu na sucho? Nie byłóż natenczas prawa? Nie było trybunału na ukaranie zabójcy? nie byłóż litościwych ludzi, którzyby nieszczęśliwą wdowę wsparli?... byłże i jest Bóg na niebie!...

— Jest panie dobrodzieju, jest! i doznała babka nasza jego opieki. On poczciwych ludzi natchnął miłosierdziem, oni przygarnęli biedną sierotę, akklamowali zabójcę tak, że nigdzie pokazać się nie mógł, i dali sposób dochodzenia na nim sprawiedliwości i kary.

— Otóż tu, mówił dalej starzec biorąc w rękę papiery, okażę JW. panu od początku do końca de data et actu, cały proceder, w którym stanęły naprzeciw sobie dwie wdowy, jedna po zabitym mężu, matka osieroconych dzieciek wołająca sprawiedliwości; druga, zabójcy, chcąc ratować siebie i syna. Jedna z niewinnością i łzami, druga z zakamieniem sercem i piekielną chytrą; słowem walka to anioła z szatanem. Wygrana pewnie w sądzie Boskim, ale w ludzkim... obaczy jegomość dobrodziej.

Więc najprzód pozew...

— Nie, mój mości panie, rzekł starosta, jużem cię prosił, abyś wywodów prawnych zaniechał. Opowiadaj jeśliś łaskaw same ostateczne ewenta, których bardzo ciekawy jestem, wszakże słowom twym wierzę i z nich dostatecznie się przekonywam, że i przed nami nie było lepiej niż teraz, że zawsze na dwoje między ludźmi, źli i dobrzy, prześladowani i prześladowcy.

— Ależ, bo to bez dowodów trudno uwierzyć takim exorbitancjom, jakie opowiadać mam. Po przewidzionych zatem inkwizycjach in loco delicti, a w których zbrodnia odkryła się najoczywiściej, rzecz się wytoczyła przed trybunał w Mińsku, na który gdy grubą żalobą okryta weszła babka moja, prowadząc synka i córeczkę za rękę, a majestatem sądu strwożona i z przytomności

zbita, sama nie wiedząc co czyni, padła na kolana i żałośnie płakać zaczęła, całe prześwietne koło deputatów powstało z miejsca, otoczyło ją i pocieszało niebogę. Po takim wstępie poznał obrońca pani rotmistrzowej, że mu będzie trudna rada, że gdy zaprzeczyć oczywistej zbrodni nie może, to i bronić jej trudno; więc gdy obmowy rzucone przezeń prawie wszystkim deputatom nie pomogły, a trybunał brał się do scrutiny, on w insze uderzył. Złożył przed sądem listy przypowiednie królów, i w nich zalety mężtwu i posługom oddanym krajowi przez Stanisława Wołkanowskiego, ojca zabójcy. „Sądzić, rzekł on, syna na gardło, podług żądania nielitościwej wdowy; jest to posłać go z oznajmieniem do ojca, jak nagrodzone są jego ciężkie fatygi i jego krew dla ojczyzny toczona“. Takim argumentem z ojcowskich zasług ujął i skruszył sędziów tak, że oni chcąc pogodzić surowość nad synem, ze względami na pamięć ojca, której hańbą okrywać nie śmieli, tem bardziej, że winowajca tułał się już nie wiadomo gdzie, a zatem że go miecz katowski dosięgnąć nie mógł, na wieczną banicję razem z matką skazali, a za czworaką główszczyznę, i za listem owym zaręcznym, który dziad mój wyniósł, warując bezpieczeństwo swego żywota, wszystkiego ze wszystkim, piętnaście tysięcy kóp groszy, na wszelkiej substancji banity, dla wdowy i dzieci zabitego przysądzili. Babka więc moja, opublikowawszy wedle prawa banicję, jako okup krwi męża, zajęła Sieliszcze.

— Tandem bona causa triumphat, zawołał starosta

odetchnąwszy głęboko, jakby mu ciężar spadł z piersi. No, to i koniec procederu.

— Oho! ze złymi ludźmi, mój dobrodzieju, chyba na sądnym dniu końca procederu i tryumfu nad nimi dojdiesz, ale w prawach i statutach ludzkich zawsze się znajdzie jakaś luka, przez którą wykręt, jak złodziej do zamkniętej komory, wciśnie się i wszystko do góry nogami przewróci. Ledwo moja babka przesiedziała spokojnie dwa lata, gdy niejaki pan Siekierski ogłosił się właścicielem Sieliszcza, i wyjechał z prawem nań przedawnionym od nieboszczyka rotmistrza jemu, rokiem jakoby przed śmiercią wydanym, i ledwo moja babka zaczęła naprzeciw takowym podkopom i niegodziwym falsyfikacjom składać rady i porady, nie wiedząc wcale co się to święci? i jakim kaducznym fortem zajść ją miano, gdy ten pan Siekierski, zaprodukowawszy tylko publicznie swe prawo, cedował je wnet OO. Karmelitom Głębockim, ot już i trudniejsza byłaby sprawa z bogatym klasztorem, niż z jednym jakimś tam Ciecierukiem. Po zajęciu Sieliszcza przez babkę moją, o pani rotmistrzowej ani słyhać nie było; rozumiano powszechnie, że jako banitka, zakopła się w jakimś klasztorze, i syn jej także, że gdzieś kapturem głowę nakrył, upamiętał się i za swój grzech ciężki pokutuje, bo żaden naówczas banita, a nawet i teraz mości dobrodzieju, nie ulega tak dalece wyrokowi wygnania, żeby aż kraj opuszczał, i jeżeli cicho siedział, nikt go nie zaczepiał ani prześladował. Ale i Karmelici nie chcieli widać wdawać się publicznie w tak haniebną robotę, chociaż ręce ku temu przyłożyli

i chociaż wieść była, że Franciszek banita u nich się przechowywał i ich habitem okryty chodził, założyli więc oni tylko ze swego imienia i stanu, jakby drugą rappę, którą nam potem przebywać trzeba było. Zatem sprzedają oni Sieliszcze jakiemuś Kuncewiczowi, tęgiemu widać prawnikowi, a złączonemu szeroką parentelą z bardzo możnemi imionami na Litwie i na Rusi. Takie sprzedaże mogłyby i przez dziesięć rąk przechodzić, i cóżby ztąd dobrego wyniknąć mogło dla rotmistrzowej, gdyby nawet który z nabywców wyforował z Sieliszcza moją babkę, z dorastającym już jej synem, a moim ojcem, Adamem Wołkanowskim, ale był to widać plan od początku już ułożony, a do tego zmierzający, aby banitka wleźć mogła nazad do fortuny niegdyś swojej, lecz aby w procesie ztąd koniecznie wyniknąć mającym, nazwiska jej, ani jej osoby nie było.

— A tegoż jakim sposobem dokazać mogła? zapytał starosta.

— Ot bardzo łatwo, chociaż zrazu nikt się nie domyśli! Żeni się z nią Kuncewicz, i jako nabywca Sieliszcza od Karmelitów, zajeżdża violenter ten majątek, moją babkę z synem wypędza. Znowu więc biedna wychodzi ubogo za też same wrota, przez które przed kilką laty wyszła za trupem męża swego...

Stary zamilkł, był mocno wzruszonym, a starosta oparłszy głowę na rękę, patrzył we zwilżoną jego źrenicę.

*

*

*

— Cóż się potem stało? zapytał znowu starosta.

— Ha, nie pozwalasz pan dobrodziej produkować so-

bie nastających potem z kolei judykatów, przez które babka moja przechodzić musiała, szukając sprawiedliwości, i znajdowała ją prawie zawsze, ale cóż z tego? kiedy sprawiedliwość swoje, a złość ludzka swoje. Zamiast jednego procederu o wygnanie z Sieliszcza i wiołencją z Kuncewiczem, trzy razem wynikły sprawy, bo on pozwany, przypożwał Karmelitów, a Karmelici Ciecierskiego, któż ich wszystkich mógł zebrać razem? Ciecieruk do takiej budy gdzieś skrył się, że go ani słychać nie było. Karmelici bez niego, jako swego prawodawcy, protestowali aktorat i odrzekli się wszystkiego, a Kuncewicz podług przysłowia: *beatus qui tenet*, napiął i póruszył wszystkie sprężyny swego pienactwa, i licznych swych adherentów familijnych, aby otrzymując dekreta naprzeciw dekreto*m*, godzić na zwłokę, której babka moja, bez sposobu i bez żadnych tu na Litwie związków, gdyż była Sandomierzanką, *de domo Grabowska*, dotrzymać nie mogła.

A wszakże Bóg jej nie opuścił, udała się do swojej i mężowskiej familji, właśnie tamże w Sandomirskie. Pamiętali tam jeszcze dobrze, gdy mąż jej po swój wywód na sejmik do Opatowa przyjeżdżał, żyli jeszcze owi dygnitarze i urzędnicy, którzy mu to zacne testimonium podpisali. Im więc wszystkim gdy opowiedziała śmierć męża swojego, swój stan nieszczęśliwy i swój proceder, nie tylko hojny jej złożyli supplement, tak, że było o czem borykać się z panem Kuncewiczem, ale jeszcze mądre koronne głowy dodały jej rad, za którymi idąc, gdy wróciła tutaj, z innej a niespodziewanej beczki zaczęła.

Zostawiwszy bowiem na boku i Ciecieruka i Karmelitów a nawet i Kuncewicza, stanęła w tymże samym Mińskim trybunale, który pierwszy dekret w tej sprawie ferował i upomniała się o głowę banitki, która złamawszy auctoritatem juris, okazała się oczewiście w kraju i żyła w zajechanej gwałtownie fortunie. Sprawa gardłowa, panie dobrodzieju, nie żarty!

Trybunał, przekonany dowodnie, że pani Koncewiczowa jest to też sama rotmistrzowa Wołkanowska, współniczka z synem swoim Franciszkiem zabójstwa dziada mojego, i razem z synem skazana na wieczną banicję, nakazał pojmanie jej osoby, a co już nieodmiennie szło za tem, że gdyby ująć się dała, głowę musiałaby nałożyć. Wyrok ten wykonano ściśle, urzędnik ziemski z pomocą wojskową udał się do Sieliszcza, a pan Kuncewicz sam mu otworzył bramę, kwerendowano więc po wszystkich kątach i nie wynajdziono banitki.

Tak na gorącym razie uległszy wrzekomo prawu i wyparłszy się wiadomości nawet o swej żonie, a nie należąc sam do kryminalnego procesu, osiedził się jeszcze w Sieliszczu. Jednakże ściślej strzegł swego domu, obił ostrokołem dwór cały, zaryglował bramę i dobrze wprzód rozpytywał kto jedzie, nim ją otworzył, a lubo ogłosił był, że żona jego przed rewizją, tajemnie w nocy nie wiadomo gdzie ujechała i że te ostrożności czynił, lękając się zajazdu babki mojej, uzyskującej coraz nowe na nim konwiktacje, domyślano się jednak, że w obszernym swym pałacu ukrywał

gdzieś banitkę, bo doń nie wszystkim nawet służebnikom swoim wchodzić dozwalał.

Nie długo to jednak trwało, bo bez kluczków, a swoją kosą jak wytrychem śmierć odparła rygle i weszła tam do nich ta instygatorka, mości dobrodzieju, przed którą nikt na świecie nie obwaruje się. Tajemnica zatem odkryła się, bo czy to z wielkiej aprensji, czy z ciężkiej żelozji i pasji, dość, że zakłeta tam gdzieś baba, zaniemógłszy z rana, wieczorem już konała i przełknięony mąż nie mógł jej ukryć, bo straszny ryk konającej rozchodził się nietylko po budynku całym, ale i po całym dworze, a wszyscy ze strachem uciekali i zatykali sobie uszy. Nie było czasu przybyć ani doktorowi, ani kapłanowi: jakie życie, taka śmierć, a więc po takim ciężkiem konaniu wyjechała pani rotmistrzowa w trumnie, przez też same znowu fatalne wrota, przez które trupa zabitego przed laty dziada mego wyprawiła.

Wkrótce potem dziwne rzeczy opowiadano, co się tam działo. Kuncewicz wyniósł się z budynku na folwark, nie mogąc dotrzymać placu ustawnym co noc strachom i szatańskim korowodom, na których żoneczka jego rej jakoby wiodła, widywano też niekiedy jakiegoś tam mnicha, zjawiającego się ciemnymi wieczorami we dworze, wsuwającego się do komnaty Kuncewicza, na jakieś tajemne konferencje, o których Kuncewicz nikomu nie gadał, błakającego się po opustoszałym pałacu i niknącego niewidomie, tak jak przybywał. Wszyscy zgadywali, że to był ów Wołkanowski, pokutujący za zabójstwo mego dziada, zgodzić się tylko i dojść nie

mogli, czy on żywy czy umarły chodzi, a nikt doń przystąpić ani zbliżyć się nie śmiał.

W takim nieustannem otumanieniu żyjąc Kuncewicz, a odwiedzany przez tych nieproszonych gości, wpadł w głęboką melancholję, lękał się ludzi, lękał się własnego cienia. Łatwiej więc iść poczęła i nasza z nim rozprawa i przyszlaby pewnie do końca, gdyby także i Kuncewicza na sąd Boski nie zaapelowano wkrótce, poszedł on w tropy swojej żony, tylko że w lepsze uprowidował się testimonia niżeli ona, bo po chrześcijańsku wypowiedawszy i opatrzony świętym wijatykiem, spokojnie umarł.

— No, rzekł znowu Sołohub, to i skończona rzecz, wjechaliście zatem do Sieliszcza, bo nie było już ktoby wam tego bronił.

— Oj był, był taki i nie jeden jeszcze panie dobrodzieju. Sokolińscy, Jeleńscy i Korsakowie, sukcesorowie Kuncewicza, zajęli wraz po jego skonaniu fortunę i stanęli naprzeciw nam, właśnie jakby w owych fatalnych wrotach, przez które już tyle żywych i umarłych wyjechało.

— Znowu więc proces, rzekł zniecierpliwiony, a chcący skrócić jednostajność opowiadania Sołohub.

— Oh! nie zgadniesz pan dobrodziej co znowu.

— Cóż takiego?

— Cud, umarły czy prawdziwy, czy domniemany, zmartwychwstaje i na przeciw matki własnej i na przeciw sobie samemu świadczy; Mirabilia, mości dobrodzieju, Mirabilia.

Zainteresowany więc na nowo starosta, no, rzekł, to coś osobliwszego, słucham.

Krzysztof Kiszka wojewoda Witebski.

— Zapomniałem JW. panu powiedzieć, mówił dalej Wołkanowski, że babka moja, gdy jeździła do familji w Sandomirskie, zostawiła tam syna swego, a ojca mego Adama, już dobrym wyrostkiem. Przyjęty on tam jako sierota, promowany został w palestrę, podalikowawszy się dobrze, a bardziej przetarlszy się między ludźmi i doszedłszy lat dojrzałych, za pomocą to krewnych, to przyjaciół jeszcze ojcowskich, ożenił się i matce swojej a mojej babce i synowę i mnie wnuka, i pieniążków posagowych podwiózł, a co najbardziej, że ją skolataną wiekiem i kłopotami w tej nieszczęśliwej a tak długiej procedurze zastępując, sam oną popierać zaczął.

Przybył on tu właśnie zaraz po śmierci Kuncewicza i po zajęciu Sieliszcza przez jego sukcesorów. Dekretów utwierdzających prawa babki mojej i jej syna nie brakło; jest tu, mówił wskazując na papiery, i ziemskich, i trybunalskich i asesorskich i zadwornych kilkanaście; zwłaszcza że jakem to powiedział JW. panu, Kuncewicz przed śmiercią upadł na siłach i wcale słabo się bronił, albo też nie stawał u sądów, szło więc tylko o egzekucję tych dekretów. Za życia Kuncewicza babka moja nie miała już na to ani grosza, a po jego śmierci, gdy sukurs nadszedł, było już bardzo trudno walczyć z temi przeważnemi domami, tak dalece, że żadnego nawet urzędnika ziemskiego do

zatradowania majątku bronionego przez nich, namówić nie można było.

Więc mój ojciec, znający już świat ten szeroki i wszelkie na nim drogi, nie długo namyślając się, reżolucyjnje ruszył do króla regnanta, natenczas Jana Kazimierza, a stanąwszy przed jego majestatem, wszystko mu ab origine wypowiedział i autentycznemi sprawami dowiódł.

Podobała się królowi śmiałość i roztropność młodego człowieka, a nie spodobała się krzywda i taka zwłoka świętej sprawiedliwości; zatem od boku swego pańskiego wyprawił dworzanina z własnym mandatem, aby dekreta, zwłaszcza trybunalskie, do skutku przywiódł i ojca mego do Sieliszcza wprowadził.

— Maszże ten mandat w papierach twoich? przeżwał Sołohub.

— A jakże, oto jest, rzekł Wołkanowski nie długo szukając, znam po wierzchu wszystkie moje papiery, i podał jeden z nich staroście.

Sołohub wziął do rąk pismo własną ręką króla podpisane i wielką pieczęcią utwierdzone, patrzył na nie i wsparty czołem na rękę, zadumał się. Incipit calamitatem Regni,*) wymówił potem jakby sam do siebie i długo jeszcze dumał... Wołkanowski nie prze-

*) Na monetach Jana Kazimierza, wybitą jest cyfra jego, składająca się z trzech liter J. C. R., znaczy Joannes Casimirus Rex. Lecz nieszczęśliwe panowanie tego króla, dało powód do innego zastosowania tych liter początkowych, to jest Incipit Calamitatem Regni. Rozpoczął nieszczęścia królestwa. Każdy znajomy dziejów naszych uzna trafność takowego tłumaczenia, choć winę nieszczęść na Polskę natenczas spadłych, nie samemu tylko królowi przypisze.

rywał mu, owszem, wlepionym na Sołohuba wzrokiem zdawał się pojmwować i czuć jego myśli, któż zgadnie? czy w przeszłość cofnione i błędzące po ruinach ziemi tej, któremi się za czasów Jana Kazimierza pokryła, czy wybiegły w przyszłość i zgadują losy które on incipit...

Po tej przerwie, prowadził dalej stary swe opowiadanie.

— Lecz nim się to wszystko stało, mówił, nim ojciec mój ten mandat w Warszawie wykołatał i dworzanina królewskiego się doczekał, upłynęło kilka miesięcy, a tymczasem zjawia się w Mińsku najniespodziewaniej, zapomniany już i jakby z tamtego świata, zabójca dziada mego, Franciszek Wołkanowski, składa i publikuje sublewację od kryminału, jakoby jeszcze przez Władysława króla, poprzednika Kazimierzowego mu daną, i składa razem rewokację Kuncewicza, to jest przedśmiertne a własnoręczne pismo jego, w którym wyraził, że idąc na sąd Boski i chcąc przez restytucją cudzego dobra ulżyć swemu sumieniu, wyznaje, że nigdy Stanisław Janowicz Wołkanowski rotmistrz nie przedawał Sieliszcza Ciecierskiemu, że prawo przedaźne po jego śmierci podrobionem było, że księża Karmelicy, nie wiedząc o niczem, przyjęli i opłacili cesję Ciecierskiemu, lecz wkrótce domyślając się w tem jakiejś złej roboty, nastęrczającemu się Kuncewiczowi, bez targów i zarobków tę fortunę oddali, że całą tę robotę on sam z wdową Wołkanowską ułożyli i dokonali, że nakoniec błaga Majestat Boski, aby w swem nieograniczonem miłosierdziu duszy jego był

miłościwym i nie złączył go w piekle z potępienią żoną jego, która go za życia do wszystkiego złego wiodła i po śmierci jeszcze w postaci okropnej larwy straszyla.

— Horrendum! zawołał Sołohub, horrendum! syn na matkę takie składał świadectwo.

— A tak, składał, widać że Kuncewicz, molestowany srodze przed śmiercią przez banitę i własne sumienie, gdy postanowił odkryć prawdę, to już ją całkowicie i bez ogródki wypisał, a Wołkanowski, gdy innego testimonium odeń wyjednać, lub wymusić nie mógł, wołał przyjąć i takie, choć z obwinieniem własnej matki, bo mu więcej o fortunę niżeli o matkę chodziło.

Wtenczas odgadniono, kto był ów kapturnik, który snuł się niekiedy po Sielickim dworze i Kuncewicza na jakies tajemne brał konfesaty. Ogłosiwszy tedy razem i sublewację i rewokację, rozumiejąc że jedna chroni jego osobę, a druga fortunę mu oddaje, nie czyniąc, ani czekając żadnych prawności, wpadł on do Sieliszcza i z pomocą chłopstwa, które dawnego panicza swego, choć teraz podżyłego już i wymizowanego poznało, wypędziwszy wszystkich oficjalistów Korsakowskich i Sokolińskich, zajął dwór cały i w nim się rozgościł.

Był natenczas wojewodą witebskim Krzysztof Kiszka, lecz mieszkał w województwie tutejszem Mińskiem, w dobrach swoich Deksznianach.

— Stój waszmość, przerwał Sołohub. Tu podjął w górę i tarł czoło, gromadząc widać myśli swe i przy-

pomnienia. Tak, rzekł potem, tak; Krzysztof Kiszka, syn Stanisława wojewody Mściławskiego, głucho-niemego od urodzenia, a zakamieniałego Arjanina. Nad nim to Bóg wielkie cuda uczynił, bo najprzód z Sapiężanki licznem go i mownem obdarzył potomstwem.

— Jak to panie dobrodzieju? chybaż i on sam przemówił na kobiercu, rzekł zdziwiony Wołkanowski. Jakże wziąć ślub nic nie gadając?

— No, ja nie teolog, więc tłómaczyć tego waści nie będę, ale kościół ma na to swoje reguły. A jeden z jego synów, także Stanisław, nie idąc w ślady ojcowskie, za szczególniejszą łaską Boską do stanu duchownego wstąpił, a że był człek wielkiej nauki, bo i w cudzoziemskich szkołach przepolerowany, więc wysokich w duchowieństwie dostąpiwszy godności, nakoniec biskupem Żmudzkiem został i ojca swego już starego do odrzeczenia się arjanizmu, a powrócenia na łono katolickiego kościoła nawrócił, jakoż ten niemowa wypowiedawszy się, rozgrzeszonym i do owczarni prawdziwej Chrystusowej przyjętym został.

Na synach jednak tego niemego Stanisława, wojewody mściławskiego, skończył się sławny i świetny na Litwie ród Kisków, bo Mikołaj, drugi z wieku syn jego, wojewoda derptski, potem kasztelan trocki i nakoniec podskarbi W. Litewski, rycerz znakomity i pogromca Szwedów, z dwojga małżeństwa, wprzód Radziwiłłówniej, a potem Leśniowolskiej nie miał żadnego potomstwa.

Krzysztof, trzeci brat tamtych, ten właśnie o któ-

rym waszmość wspominasz. wojewoda witebski, miał try córki, także z Radziwiłłownej.

Czwarty nakoniec, Janusz, hetman W. Litewski, wódz znakomity, pod Chodkiewiczem sztuki rycerskiej się uczył i pod Kircholmem już się mężnie krajowi zasłużył, a potem w rozmaitych potrzebach dzielnie go bronił, miał za sobą księżną Drucką Sokolińską, z niej atoli nie zostawiwszy potomka, ostatni domu i imienia Kiszków, zszedł z tego świata w Krzywiczach anno milesimo... Znowu Sołohub wznosił czoło w górę, szukając daty, milesimo... sexagesimo... quindecimo... preter propter tertio. Może Bóg dopuścił sterilitatem i przerwał ród domu tego starożytnego za to, że pierwsi Kiszkwowie arjanizm do Litwy wnieśli.

Wolkanowski słuchał z uwagą, pokręcając głową tej heraldycznej erudycji Sołohuba, ale z kąd to, rzekł potem, taka JW. pana wiadomość o Kiszkach?

— Boć to mości panie, odpowiedział uśmiechając się Sołohub, nie wasze szlacheckie czarne żmudzkie kiszki, ale kiszki białe, ab origine białe. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że pierwszy ich przodek zwał się Zgierski, szlachcie herbu Dąbrowa, ten gdy na dworze Jana Białego, hetmana litewskiego, przebywał, zdarzyło się raz, że dano na stół na zakrytym półmisku kiszki, które hetman rad jadał, lecz zawsze je kuropatwami pieczonemi nazywał, w czem go i wszyscy dworsey naśladowali. Widząc zakrytą potrawę zapytał hetman Zgierskiego, co dano? ten zapomniawszy nowej nomenklatury, odpowiedział z prędkości: kiszka.

Ty sam kiszka! rzekł hetman, i odtąd dworując sobie nazywał zawsze Zgierskiego Kiszka.

Przyjmował spokojnie jako od pana te do siebie przycinki Zgierski, aż gdy i inni dworscy, potakując panu, tytuł ten poczęli mu z urąganiem dawać i uszczypliwie mu dokuczali, zniecierpliwiony i obrażony, nie-raz im kordem odpowiadał, co widząc i słysząc hetman, przywołał go do siebie i rzekł: „Żart ten mój, który cię takiego menkamentu nabawia, fortunnym ci będzie: mam córkę jedynaczkę, gładka jest i dobra dziewczka, a wszystkiego co mam dziedziczka (był zaś to pan wielkiej substancji i mnogie miał na Litwie imiona), tę ci za żonę ofiaruję, pod warunkiem jednak, żebyś i to imie Kiszka, tak na siebie, jako i na potomstwo które ci Bóg da przyjął.“ Hetman albowiem widział w Zgierskim męża przysposobionego z natury do dzieł wielkich i pięknymi przymiotami ozdobionego. Od tego zatem czasu imie Kisków zajaśniało w ojczyźnie, i tak w rodzie, jako i w oręzu się rozślawiło.

— A toć JW. panie, za taką gratyfikację niechby mój Piotrek i kielbasą został.

— A czemuż nie? któż wie co go czeka?... mówił starosta, i nie poniżyłby się on wcale, gdyby się kielbasą przezwał, dawna to szlachta w Polsce, herbu Nałęcz; siedzieli oni niegdyś mości panie i w senatorskich krzesłach i w biskupich infułach, nie wiem i wątpię czy są teraz?

— A więc, gdy jak powiadasz JW. pan, kiszek i kielbas nie stało, chwałaż Bogu, że jeszcze została nam wereszczaka, bo sam znam w Nowogrodzkiem wielu

panów i znakomitych tego nazwiska, muszą oni być w kolligacji z tamtymi.

Starosta się uśmiechnął, ale rzekł poważnie. O takiej kolligacji Wereszczaków nie wiem: ale wiem, że to dawne i szlacheckie imie, jest w kolligacji z najdawniejszemi i najgodniejszymi domami w Litwie, a między innemi i z moim.

— Nie wiedziałem tego, daruj JW. pan, rzekł kłaniając się nisko Wołkanowski, ale uniżenie powtarzam zapytanie, zkąd JW. pan wiesz to wszystko?

— Jak przyjedziesz wać do mnie do Illii na polowanie, a przyjechać musisz koniecznie, rzekł Sołohub, to za pokutę, że się nie znasz na heraldyce, a co każdy szlachcic mniej więcej znać powinien, aby wiedział z kim się bratać a z kim rozbratać, nie poprowadzę cię na oblawy, ale włożę ci na nos okulary.

— A to na co, JW. panie? chwala Bogu nie potrzebuję ich jeszcze.

— No, nad starymi księgami siedzieć bez okularów jakoś nie wypada; więc zasadzę cię nad takimi foliami, z których nauczysz się tak jak ja, ciekawych prozapij i herbów różnych naszych familij, a może i własnej... Ale wróćmy do twojej historii. Cóż tedy zrobił pan wojewoda witebski?

— Otóż, widzisz JW. pan, mówił dalej Wołkanowski, był on wojewodą witebskim, ale mieszkał w Dekszniach, w tutejszem województwie mińskim.

— Wiem, już to mówiłeś.

— I był podobno powinowatym jakimś Sokolińskich.

— Tylko co mówiłem, przerwał Sołohub, że brat

najmłodszy Krzysztofa, Janusz Kiszka, hetman W. L. miał za sobą Sokolińską, więc powinowactwo było blizkiem, bo mu Sokolińska była bratową.

— Widzisz tedy JW. pan, że nie kłamię.

— Widzę, odpowiedział starosta, ale razem widzę, żeś się nie zdał mi na ucznia heraldyki, bo nie pamiętasz i tego, com tylko co powiedział.

— Stara głowa, panie dobrodzieju! stara głowa! i tylko swoją biedą nabita, co za dziw, że na pamięci faluje.

— Pokrewieństwo to jednak nie tyle zapewne wpłynęło na postępek wojewody, ile rumor publiczny, który po powrocie i objęciu Sieliszcza przez Edwarda Wołkanowskiego, szerzyć się zaczął między szlachtą i panami nawet, że zabójca i banita siedzi bezpieczny i spokojny, a nikt mu i słowa powiedzieć nie śmie. Czy to już u nas prawa nie stało? mówiono, czy to już wolno będzie zabijać bezkarnie? i potem tam jakąś sublewacją, czy list żelazny spraktykowawszy u króla, nieświadomego rzeczy, posponować dekreta trybunalskie a sądem i ludzkim i Boskim pogardzać? Gdzież ta sublewacja? niech ją przynajmniej banita w autentyku publicznie okaże.

Pomnażał jeszcze i justyfikował te powszechnie odgłosy sam Edward Wołkanowski, bo gdy one do uszu jego dochodziły, odgrażał się hardo na wszystkich, a srogie przechwałki i na ojca mego, którego się z Warszawy spodziewano i na Sokolińskich i Korsaków, i na koniec naprzeciw wszystkim, którzyby go z Sieliszcza rugować chcieli, miotał. Obwarował się on tam i uzbroił,

jak przed tem Kuncewicz, i jeszcze lepiej, a zebrawszy bandę dawnych swych towarzyszy i młodszych hajdamaków, których nigdy u nas nie brakło i nie braknie, buszował z nimi, nocy i dnie na pijaństwie i rozgardjaszach trawiąc.

Bóg go wyraźnie odstąpił, a szatan wiódł do zguby duszy i ciała.

* * *

Jednego dnia przed południem, gdy rozpasana tłuszcza w najlepsze „bajramowała“, niespodzianie i nagle zbrojny, liczny i konny hufiec otoczył dwór w około, a na czele był wojewoda Krzysztof Kiszka.

Bramy były zatarasowane, dwór zaś cały gęstym ostrokołem obity, żadnego zatem sposobu wejścia do środka. Więc z rozkazu wojewody, przystąpił choć ze strachem do bramy woźny przy nim będący i zakolaławszy mocno, wielkim głosem zawołał:

— Otwórz w imieniu króla!

Ale na widok takiego osaczenia, zapamiętałość objęła zalaną trunkiem głowę banity i jego kompanistów, porwali wszyscy rusznice, i z hasłem podpadłszy z drugiej strony pod bramę, krzyknęli:

— Kto tam? kto? nie leż, bo zginiesz!

Woźny jeszcze dotrzymując placu, odpowiadał po kilkakrotnie: W imieniu króla i prawa otwórz! Jam tu jest woźny Jego królewskiej Mości! a za mną pan wojewoda witebski.

— A choćby i dziesięciu wojewodów! precz! bo mamy ognia! odpowiedziano... Jakoż kilkanaście rusznicy wytknęło się przez szczeliny pomiędzy ostrokołem.

Natenczas podjechał sam wojewoda i zawołał:

— Otwórz Wołkanowski! jesteś pod banicją, dasz gardło, jeśli nie usprawiedliwisz twego powrotu do kraju, okaż mi co masz na twoją obronę, bo deklaruje ci, że nie ustąpię ztąd, aż się o tem przekonam. Otwórz więc i nie zmuszaj mię, abym cię siłą, jak złoczyńcę pojmał.

— Nie doczekasz! krzyknął Wołkanowski, pal!

Kilkanaście strzałów huknęło z za ostrokołu, koń pod wojewodą raniony wspiął się, a woźny upadł i jęknął srodze bo mu kula nogę zgruchotała.

Natenczas krzyknął wojewoda na swoich: Z koni! wyrąbać ostrokół i dać ognia do środka!

U siodła rajtarów wojewodzińskich były toporki; kilkunastu więc ludzi żwawo zaczęli rąbać pale, a kilkunastu innych, także przez szczeliny w ostrokołe, puścili kule na dziedziniec.

Przestraszona tym strzałem zgraja, razem ze swym wodzem umknęła od bramy i leciała do przeciwnej, a otworzywszy ją na ścieżaj, i nie zważając że dwór gęsto żołnierzem otoczony, dała znowu ognia i na oślep rzuciła się w nogi. Strzały te nikogo, chwała Bogu nie obraziły, sprawiły jednak zamieszanie, z którego korzystając wielu z nich, do bliskiego na ich szczęście lasu uciekło, hersztowi jednak nie udało się, nogi mu się splątały, upadł i żywcem z kilku innymi ujęty został.

Tymczasem rozwalono ostrokół, a zatem wojewoda wszedł na dziedziniec, i stawiono przed nim Wołkanowskiego... Spojrzał nań wojewoda i przeraził się niepomału, był to bowiem widok człowieka jakby opęta-

nego krociem djabłów, których za każdym słowem albo wzywał, albo z zapienionych ust, dąsając się straszliwie, jakby z siebie wyrzucał...

Twarz jego czerwona, jak rozpalona skowroda, oczy krwią zabiegłe, włosy rozczochrane i ubiór dziwny, ze świeckich i zakonnych jakichciś szmatów złożony, okrywał tę dziką figurę... Imaginuj sobie pan dobrodziej, po czarnym żupanie, jakby po sutannie, paskiem karmelitańskim był on przepasany i na nim szablę zawiesił a kaptur mniszy, za plecami wiszący, djamentową szpinką przepiął na piersiach, na których od szyi spadający różaniec plątał się ze sznurem pochwy od kordelesa, żelazo bowiem wyrwano mu z rąk, gdy się niem przy pojmaniu bronić chciał. Widać, że oblawa napadła go w chwili pijaństwa i szału jakiegoś, gdy przed swymi towarzyszami stroił maskary i naigrawał się z habitu i kaptura, który go bodaj w nieszczęściu krył i salwował. Tak pół mnich, pół rozbójnik, miotał się on wściekle, rzucając ciężkie inwektywy na stojącego przed nim wojewodę.

— Tyś zabił Wołkanowskiego? zapytał nakoniec wojewoda.

— No, ja! odpowiedział zuchwale... Bóg go w tej chwili splątał, bo tym jednym wyrazem dał on sam przeciw sobie świadectwo: „*propria oris confessio*“... Ja! powtarzał, i cóż mi zrobisz, mości panie wojewodo witebski, gospodarujący po tatarsku, po województwie mińskiem! Na! masz! czytaj i wyjąwszy z za żupana papier, rzucił w oczy wojewodzie, była to sublewacja, którą zawsze w zanadrzu nosił.

— W imieniu króla, mówił on dalej, wołałeś mości wojewodo, otwórz! teraz ja w imieniu króla wołam na cię: ustąp!

Wojewoda przeczytał uważnie rzucony sobie papier, obracał go razy kilka, wreszcie chowając: — Wziąść go, rzekł do swoich, a jeśli będzie się bronił związać.

— Jak śmiesz? wrzasnął Wołkanowski, w moim własnym domu!... jam szlachcic!

— Dom nie twój, tyś nie szlachcic, tyś zabójca, sameś to wyznał, tyś banita!

— Masz w ręku list królewski, czytałeś? Sublewacja od kryminału!

— Od kryminału rozmyślnie popełnionego i od dekretu trybunalskiego, Bóg chyba na sądzie strasznym da ci sublewacją. A nowy ten kryminał, dodał wojewoda, wskazując na jęczącego woźnego, którego na prędce opatrywano, dowodem, żeś nie wart żadnej kommizeracji, żeś buntownik przeciw prawu i królowi za przywilejem, którego woźny jest urzędnikiem publicznym, i w imieniu którego funkcją swą spełnia. Dasz więc głowę i gotuj się na śmierć!

— Nie doczekasz! wrzasnął Wołkanowski. Jakiem prawem ty, wojewoda witebski, chcesz tu w województwie mińskim ferować swoje dekreta?

— Prawem senatora, strzegącego bezpieczeństwa publicznego, odpowiedział Kiszka; prawem, z którego Bogu i narodowi dam rachunek!... Wziąść go! panie poruczniku, dodał, obracając się do oficera swoich dragonów, każ zaprządz wóz dla delikwenta, otoczyć go strażą z nabita bronią, a jeżeliby chciał umknąć pal

w łeb! Dać wóz także i dla biednego woźnego; a tę szuję rzekł, wskazując na przelękłych i za kark trzymany chłystków, towarzyszków Wołkanowskiego, rozbroić i kańczukami przepędzić.

Wnet dragoni otoczyli winowajcę, trzymając w rękę gotowe do strzału muszkiety. Poglądał on na nich ponuro, i przerażony tem przygotowaniem, umilkł, może z rozmysłu i w nadziei, że milczeniem i uległością uspokoi wojewodę, albo uspi baczność straży i upatrzy chwilę do ucieczki.

Tymczasem założono dwa wozy, zwołano furmanów, i na jednym umieszczono ranionego woźnego, a na drugim Wołkanowskiego, nie związano go jednak, bo się nie bronił. Wojewoda przesiadł się na konia wziętego z pod żołnierza, i ruszyła cała komenda na powrót do Deksznian, przez też samą fatalną bramę, przez którą przejeżdżał przed laty zabity dziad mój, wychodziła za nim z dziećmi drobnemi, zalana łzami wdowa jego, wyjeżdżała potem na śmiertelnym wozie podniecicielka do zabójstwa, z kolei przebył ją, idąc do mogiły, krętacz, korzystający ze zbrodni, a nakoniec wyjechał i zabójca!

* * *

Było to 24 września 1649 roku, dzień jesienny, krótki; nim więc mil kilka od Sieliszcza do Deksznian przebyto, mrok zapadł, ale wnet wszedł księżyc i jasno świecił.

Wołkanowski tymczasem upatrywał tylko czasu i miejsca sposobnego, by zemknąć, noc światła nie była

mu pomyśli, ale żołnierze widząc go zupełnie spokojnym, nie mieli się na ostrożności, i muszkiety swe nawet na krukach pozawieszali. Porucznik prowadzący komendę jechał naprzód przy wojewodzie, a wachmistrz włókł się z tyłu, przebywano właśnie dębniak, niską gęstwą u spodu zarosły...

W mgnieniu oka Wołkanowski daje susa z wozu, i nim chwycono się do broni, już on był w gęstwinie. Sypnęły się wprawdzie za nim strzały, ale darmo, na huk przyleciał wojewoda, umknął! krzyknęto, umknął!...

— Tak że to go pilnowaliście? zawołał on srogo, z koni wszyscy i łapać! Gardłami odpowiecie! Żywego lub trupa dostawić!

Sypnęła się więc cała komenda w dębinę. Knieja to była nie wielka i tuż pod Deksznianami, wszystkie więc w niej przesmyki i ścieżki tak żołnierzom wiadome były, że i w ciemniejszej nocy każdyby ją śmiało mógł przewędrować, Wołkanowski zaś nieświadomy miejsca, czaił się jak lis i pełzł między gęstwina... Wkrótce więc któryś z dragonów napadł nań, i chwytając go za kark, krzyknął: jest! jest! tu do mnie jest zdrajca!

Rzucili się więc wszyscy hurmem i wywleczono Wołkanowskiego przed wojewodę.

— Ha złoczyńco! krzyknął ten, sam sobie przyśpieszyłeś karę. Polecaj się Bogu! przywiązać go do drzewa.

— Co ty myślisz, wojewodo? zawołał z przerażeniem Wołkanowski.

Droga w tem miejscu była rozstajną i rozdzielala się na dwie, okrążając dąb starożytny. Przywiązać go

do tego dębu, powtórzył wojewoda do osłupiałych żołnierzy.

— Co ty myślisz? powtórzył drżący Wołkanowski, dając się z dragonami, i targając z całych sił rzemienne pasy, z własnych jego koni zdjęte, któremi go w niedostatku powrozów przykrępowano do drzewa; krew mu gębą i nosem się rzuciła, krwawy człowiek! krew go dusiła!...

— Wachmistrz! rzekł znowu wojewoda, wybierz sześciu z nabitą bronią i naprzód!

Widząc Wołkanowski występujących żołnierzy, zwątpił, a nuż nie nadszedł dlań kres fatalny! bo dotąd mniemać mógł, że go wojewoda straszy tylko.

— Wojewodo! krzyknął, wojewodo! Bój się Boga! Na sąd straszny cię pozywam.

— Staną, odpowiedział wojewoda głosem stałym i grzmiącym, stanę i zdam sprawę z ukarania złooczyńcy, nieuległego prawom ni Boskim, ni ludzkim.

Zawiąż mu oczy, wachmistrz.

Wachmistrz zerwał sobie chustkę z szyi, lecz podszedłszy do Wołkanowskiego, podjął mu kaptur z plec i na oczy nasunął, stał więc mnich u dębu...

Sołohub, słuchając tego opowiadania, wzrok niepokojnie wlepił w starca.

— Dozwólcie mi wypowiedzieć się! krzyczał znowu Wołkanowski.

— Służba bliżej, szepnął wojewoda, żołnierze postąpili naprzód i o kilka tylko kroków stanęli od delikwenta...

— Spowiedzi! spowiedzi! wołał on bez ustanku, to

głośniej, to przytłumionym i chrapliwym rykiem. Na sąd.

— Panie poruczniku, rzekł zimno wojewoda, w imieniu prawa i bezpieczeństwa publicznego rozkazuje rozstrzelać! i wskazał ręką na gotowych żołnierzy.

Porucznik obrócił się do leżącego tuż na wozie woźnego: Słyszałeś ten rozkaz pana wojewody? zapytał.

— Słyszałem, odpowiedział woźny, ale on potrzebuje spowiedzi.

— A więc nie na mnie śmierć jego, rzekł porucznik, stając obok żołnierzy i dobywając pałasza, spojrział jeszcze raz na wojewodę. Ten wstał niewzruszony na koniu i ręką powtórzył znak fatalny...

— Na sąd straszny... Rrrum!

— Deus adjutor meus! krzyknął Sołohub, poszedł... dokończył opowiadający, i zabójca zapłacił zabójstwo. Księżyc w pełni oświecał tę ceremonię.

* * *

Sołohub zerwał się z ławy, ceremonia! piękna ceremonia! zawołał on, nieprawnie i nie po chrześcijańsku postąpił Kiszka; ciężki mu zapewne był sąd Boski, na który go ostatniemi swemi słowy zapozwał Wołkanski.

— Prawdę mówiąc, mości dobrodzieju, że nie dał mu się z Bogiem pojednać, to źle; ale i on nie dał czasu memu dziadowi do spowiedzi, gdy go okrutnie zabił; a nawet on dla tego tylko zapewne prosił spowiedzi, że w prolongacie czasu widział jakąkolwiek nadzieję salwy. Kiszka zaś, panie dobrodzieju, postąpił sprawiedliwie i prawnie, to widoczna prawda, bo i wy-

wiódł się potem przed stanami Rzeczypospolitej, gdy krewni rozstrzelanego na sąd go sejmowy pozwali, złożył bowiem dekret trybunalski, przekonywający o zbrodni banity, i dowiódł, że sublewacja królewska postępuje i z prywaty wzięta była, nowy zaś kryminal z woźnym...

— Bądź co bądź, przerwał starosta, jest to sic volo, sic jubeo, a to nie uchodzi w kraju chrześcijańskim. Ale z kąd waść wiesz tak wszystko, że słowo w słowo jakbyś tam był obecnym świadkiem opowiadasz?

— Oh! bo panie dobrodzieju szeroko natenczas i potem jeszcze długo rozpowiadano tę całą sprawę po województwie naszym mińskim, a nawet jak echem rozeszło się to i po całej Litwie, tem bardziej u nas, Wołkanowskich. Pamiętam JW. panie, gdy co wieczór prawie, przy zimowym kominie, matka i rodzic mój jak bajkę jaką każdemu, kto chciał słuchać prawili tę legendę, której ja, zwyczajnie jak dziecko, z rozdziawioną gębą słuchałem. Mojemu zaś ojcu, który wkrótce jakoś z Warszawy powrócił, opowiadał tenże sam wachmistrz, co przywiązywał banitę do dębu i kaptur mu na oczy nasunął, i tenże sam woźny Kaczorowski, który z nogą skaleczoną leżał natenczas na wozie, a potem chromając, włóczył się z pozwami, pamiętam go dobrze i nazwisko jego, bo często w naszych procederach ojciec go mój używał.

— Więcże ten raz, rzekł starosta, już pewnie zajęliście Sieliszcze.

— Bodaj takie zdrowie naszym nieprzyjaciołom! Znowu Sokolińscy i Korsakowie, jako sukcesorowie

Kuncewicza, zamknęli bramy Sieliskie, przed nosem nawet dworzanina królewskiego, z którym rodzic mój przybył z Warszawy, a który nie mając jak wojewoda Kiszka swego wojska, i samem tylko słowem a listem królewskim niemogąc ich otworzyć, powrócił z tem, z czem przyjechał.

— A cóż się stało z ową deklaracją, przez Kuncewicza przy skonaniu uczynioną, że Sieliszcze nigdy przez rotmistrza Wołkanowskiego Ciecierskiemu przedanem nie było?

— Stało się, panie dobrodzieju, dalszy proces. Samej autentycznej deklaracji, znalezionej zapewne między papierami banity, widać łeb skrecono, a został tylko ślad onej w publikacji, wraz z sublewacją królewską przezeń czynionej. Śladu tego chwycił się wprowadzić mój ojciec, ale Sokolińscy zaprzeczyli wszystkiemu, i trzymali fortunę, a on z ostatniego wyzuwając się grosza, do ludzi o sprawiedliwość, do Boga o pomstę wołał.

Nakoniec mówił dalej stary, pierwsze pokolenie i zabitych i zabijających, i wygnanych i wyganiających, jakbyś zmiótł ze świata, bo i babka moja, ostatnia z tego orszaku, wkrótce potem umarła! Nowi zatem ludzie ich zastąpili, i znowu jakby na grobie tamtych, tenże sam korowód i taniec zaczęli.

To aż strach pomyśleć, panie dobrodzieju, ludzie umierają i zmieniają się na świecie, a zło z jednych na drugich przechodzi fatalną sukcesyą, i trwa jakby kielich ustawnie dolewany, od wasana do wasana.

— Prawdę mówisz, panie Wołkanowski, prawdę mó-

wisz, rzekł, Sołohub smutnie potrząsając głową, w naszej młótej ojczyźnie zbrodni takich, jak te, któreś mi opowiedział, mało i rzadko się przydarzyło, bo w gruncie wszyscy kochamy i boimy się Boga, ale złego powszedniego bardzo wiele i wykorzenić go trudno. Oj! przyjdzie, przyjdzie kiedyś pokuta!... Więc Sokolińscy powiadasz?...

— Nie oddali ojcu memu fortuny, kontynuował Wołkanowski, i proces na nowo się rozpoczął. Ta druga torba, panie dobrodzieju, większa jeszcze od pierwszej to druga część tej sprawy, po śmierci wszystkich pierwszych aktorów, przeciągającej się przez cały wiek mego ojca, aż do większej połowy mego własnego: bo od lat jakich trzydziestu, wyszeptawszy się ze wszystkiego i osiadłszy tu na kondycji szlacheckiej, posagowej mojej żony dobrodziejki, nie prawuję się już wcale, bo nie mam za co, a tylko nie zasypiając dawności ziemskiej, manifeścikami od czasu do czasu strzelam. At, aby się kurzyło, i aby Piotrek miał kiedyś za czem zapukać do drzwi sądowych, szczęśliwiej da Bóg może od dziada i ojca swego.

Z tego tedy woru produkuję najprzód JW. panu pozew...

— Dość, przerwał starosta, dość mości panie, czegoż się nowego dowiemy z tych twoich papierów? Jedno i jedno, prawne wykręty, salta juris, niezbożne wyroki sądowe, intrygą wyjednane...

— Nie, panie dobrodzieju, nie; w całej tej torbie papierów, jest kilkanaście dekretów, a może kilka tylko takich, których święta sprawiedliwość nie dyktowała;

— Oj trudno to JW. panie, trudno, drugi raz nie przydarzy się historia hetmana Białego, i kieszek czarnych na stołach pańskich już nie dają, dodał uśmiechając się Wołkanowski.

Starosta także uśmiechnął się na te słowa, i zastanowił się, jakby one jakąś nagłą myśl w nim obudziły, lecz wkrótce uśmiechnawszy się znowu, kto wie, czy z konceptu Wołkanowskiego, czy z własnej myśli, kiwnął głową i rzekł:

— O, mości panie, nie sięgając tak wysoko, niech Piotrek jedzie ze mną, nie będzie mu ni głodno ni chłodno, a z czasem upatrzymy mu przyzwoity szlak życia i mienia.

— Oh! JW. panie, najuniżeniej dziękuję, rzekł stary ściskając kolana starosty, nie raz ja sam myślałem, że go tu nie trzymać na to, aby swą młodość zmarnował. Chciałem nawet wieść go w Sandomirskie, poszukać tam krewnych, ale moja żona dobrodzijka, bacząc na tak dalekie oddalenie, nie zgodziła się; gdy zaś JW. pan w respekt go swój pański przyjąć raczysz, to z ochotą oddaję.

— Ależ twoja żona dobrodzijka, i sam Piotrek czy się zgodzą?

— Ani wątpić o tem JW. panie. Piotrek, jak uważam po zabiegach jego na polowaniu, aby panu dobrodziejowi dogodzić i po odkryciu kniei na rysie, przylgnął już całym sercem do JW. pana, a moja żona dobrodzijka byłaby głupią, gdyby ślęczyła za synem, o mil kilkanaście lub dwadzieścia, pod opieką i manudukcją takiego wielkiego pana będącym, którego kroki,

Bóg jakby umyślnie dla naszego dobra skierował w te strony.

Jakoż wnet Wołkanowski udał się na domowe consilium, skutkiem którego od nazajutrz Piotrek w poczet dworzan starosty przyjęty został.

Państwo Sołohubowie.

Pierwszym festem jesiennym, który w kościołach naszych uroczyście się obchodzi, jest dzień Narodzenia Panny Maryi, na dzień ósmy września przypadający. Pierwiastki plonów swej wiosennej i letniej pracy, a razem kwiaty zdobiące jego grzedy, przynosi rolnik na ofiarę i błogosławieństwo Boskie. Garście zażęte wszelkiego zboża, warzywa rozmaite z zielonem i szerokiem liściem, złote słoneczniki i nagietki aksamitne, pąsowe kity szczyru, skromne wasilki i wonne cząbry, wszystkie razem z kłosami żyta, jęczmienia i owsa, w snopy związane, czekają w rękach kobiet, aż kapłan z kropidłem ukaże się na stopniach ołtarza. Natenczas, jakby cudowną mocą jego słowa, kościół w mgnieniu oka w kwiecisty zamienia się ogród, wzniesione w górę snopki, w różnowzore i gęste układają się partery, skropione wnet święconemi kroplami wody, na podobieństwo rosy niebieskiej, co je na polach rzeźwiła...

W dniu tym, wielki coroczny jarmark, a prościej mówiąc kiermasz, był w miasteczku Illi, a wielkie nabożeństwo w tamecznym kościele. Miasteczko i kościół o kilkaset tylko kroków od dworu pana Sołohuba oddalonem było, lecz i tych kilkuset kroków nigdy pani Sołohubowa nie przeżywała pieszo. W każdą niedzielę

i dnie świąteczne, poszóstny cug tarantów, którego rozgłośnie rzenie echa roznosiły, włókl powoli i poważnie przez szeroką lipową ulicę ogromną karoce, złocistemi herbownymi tarczami Radziwiłłów i Sołohubów ozdobną, przed kościół, w niej obok pani siedział zwykle ks. kapelan, a naprzeciw córka, bo kapłan przed dzieckiem własnem brał natenczas miejsce, przy córce, jej ochmistrzyni, lub respektowa, starsza wiekiem i godnością.

Gdy się starosta znajdował w domu, a pora była po temu, natenczas konno, licznym poczem dworzan otoczony, poprzedał on lub zamykał ekwipaż żony, i gdy w karecie odmawiał się różaniec za promotorstwem księdza kapelana, w kościele mający być dokończony, to w kawalkacie starosty, za promotorstwem pana, wesolość, śmiechy, żarty i anegdoty brzmiały hucznie, lecz urywały się przed kościołem i wesolość dworska na twarzach i w ustach, w różańcowej skromności tonęła.

Ależ gdy nie było w domu starosty, co dla polowania, lub dla interesów publicznych nie rzadko się zdarzało, pozostali dworzanie, jakby za pokutę swawolnemu ich humorowi, musieli nietylko w pobliskiej do kościoła drodze, ale i w dalszych przejażdżkach, otaczać z blizka karete i często nietylko mówić głośno, ale i śpiewać godzinki, wtórując różnemi głosami, cienkim dyszkantom, wywodzącym pobożną autę w karecie.

Ten raz nie było także w domu starosty, a staroscina, coraz częściej dolegliwościami wieku nawiedzana,

z wielkim żalem swoim, że podczas tak wielkiego festu nie mogła być na publicznem nabożeństwie, cierpiąc na różę w nogach, słuchała mszy św. w pałacowej kaplicy, do której ją w wygodnem krześle zaniesiono. Po mszy, ks. Daniel, jezuita, kapelan dworu, poszedł pieszo do kościoła pomagać miejscowemu plebanowi w uroczystem nabożeństwie, a szczególnie w konfesjonale, do którego mnóstwo cisnęło się penitentów, w karecie więc, jak zwykle do kościoła jadącej, siedziała tylko starościanka, w asystencji starej i zasłużonej ochmistrzyni swej, wdowy, pani Porębskiej, oraz kilku młodszych szlachetnych dziewic, pod jej zwierzchnictwem będących.

Przypomnijmy teraz sobie, to młodziutkie dziewczę, któreśmy w pierwszych zarysach domu Sołohuba przyrównali do kwiatka lekkim wietrzykiem kołysanego, i zdającego się wyglądać czy szukać objawiającym się w jej sercu uczuciom, przedmiotu czy celu. Marja bowiem miała natenczas lat czternaście, siedm jeszcze od tego czasu upłynęło i oto widzimy piękną, jak piękniejszej znaleźćby trudno, dziewicę, rozwitą i pełną wdzięków, z oczami łąą nabiegłemi, które w bujnych kroplach spadając, rosily białą jej jak śnieg sukienkę, w jaką ubrana zdawała się być aniołem niosącym do Boga rzewną modlitwę za cudze jakieś grzechy...

— Po co ten płacz Marylko? rzekła do niej Porębska, wychowująca ją od dzieciństwa, a zatem przywiązana do niej najczulej i poufała. Czy to pierwszy raz spowiadać się? czy to jesteś broń Boże w jakim śmiertelnym grzechu?

Kareta tymczasem wlokła się jak zwykle poważnie i powoli, taranty rżały rozgłośnie. Około niej, kilku dworzan konno, niecierpliwych swych rumaków do stępowego kroku hamowało, a między nimi młodzieniec mężkiej prawdziwie postawy, szlachetnego czoła i lica, w skromnem, ale składnie mu do wieku i pięknej postaci przystającym ubraniu, jechał najbliżej karety, i przenikliwe swe czarne oko często w niej zatapiał, lecz gdy wzrok ten spotkał się kilkakrotnie z okiem Porębskiej, ta, opuszczone dotąd okno od karety w górę podjęła.

Zgadnie czytelnik, że tym młodzieńcem był znajomy nam Piotrek, a teraz Piotr Wołkanowski, ulubiony dworski starosta i starościnej, wykształcony, przepolerowany w szkole wyższego towarzystwa na dworze Sołohuba, którego zwyczaje i obyczaje w dobrym tylko przykładzie przejął, wrodzoną a może i rozwiniętą naukami ojca, (jakeśmy to widzieli) rozwagą, rozpoznając i odrzucając od siebie to wszystko, coby w tem zastósowaniu śmieszność nań, lub nienawiść czyjąkolwiek ściągnąć mogło. Więc poufalszym wstępem do panów swych zaszczycony, często nawet zastępujący nieobecnego starostę w domu i za domem w interesach, nie obudzał jednak zazdrości kolegów swoich dworskich, bo ich swą serdecznością i codziennymi przysługami ujmując, kochanym był od wszystkich i konsyderowanym, jako mający kiedyś za protekcją pańską, wyjść ze stanu prostego dworaka na szlak publiczny i na nim stając się mężem dzielnym i doskonałym, sprawdzić przepowiednię samegoż starosty, dźwignąć z u-

padku szlacheckie swe imie, i może odebrać Sieliszcze, a nawet nazywano go żartem Piotrem na Sieliszczu. Jedna tylko Porębska od niejakiego czasu koso nań poglądać zaczęła i zawsze była trzecią gdy się mu zdarzyło zbliżać do starościanki.

Pewnego poranku, starosta po długiej konferencji odbytej z Porębską, przywołał do siebie Piotra i najniespodziewaniej zapowiedział mu, że zaraz po powrocie z podróży w którą się właśnie wybierał, i która dwóch tygodni trwać nie miała, wyśle go do Warszawy, gdzie już i zostać powinien, bo listy jakie mu da i rekomendacje, ułatwią mu wstęp do kilku dygnitarskich domów, które go w każdym zamiarze można protekcją wesprą. Nim zaś coś się nadarzy, mówił starosta, opatrzę cię zapasem, boś mi wiernie, zacnie a uczciwie służył.

— Będę tu twoim plenipotentem w negocjacjach już rozpoczętych z dzisiejszymi panami Sieliszcza, i mam nadzieję, że się to na pomyślnej dla ciebie kombinacji ukończy z czasem, bo proces byłby trudnym, kosztownym i długim, jak już to nie raz z sobą przegadaliśmy. Tymczasem zaś nim wrócę, odwiedź swych starych rodziców i weź ich błogosławieństwo, bo to najlepszy wiatyk puszczaćemu się na świat synowi... To mówiąc, Sołohub przenikliwie spojrzął w oczy młodzieńcowi.

Ten osłupiał, i łzą nagłą zabiegły mu źrenice... Lecz po krótkiej chwili przychodząc do siebie, upadł do kolan starosty... Ach! panie, zawołał, jam myślał, że ci całe życie będę służyć! cóżem przewinił?

— Przewinił? nie dotąd, odpowiedział Sołohub, ale mój Piotrze, często stajemy się winnymi mimowolnie... jesteś młody... dalej starosta dusząc jakby w sobie resztę swych myśli, dodał stanowczym tonem: To inaczej być nie może, przyrzekłem twojemu ojcu, że cię na człowieka wyprowadzę. Zdolności też twoje i rozsądek nad wiek, z wielkiem mojem ukontentowaniem, sekundowały zamiarom moim, lecz jak w waszej okolicy, przy swoich zdolnościach, zostałbyś jednak tylko Piotrem, synem twojego ojca, tak znowu i tu, chociaż wprawdzie jesteś mości panem Piotrem Wołkanowskim, ale zawsze tylko sługą pana Sołohuba, a być powinienś, bo masz po temu głowę, sługą Rzeczypospolitej, i zamiast mości, jaśnie wielmożnym panem, bo u nas panie Piotrze, jak po drabinie Abrahama, szlachta z dołu w górę i z góry na dół szczebluje, a nikt nikomu ani zawadza ani ubliża. Dla tego i twoje drogi są niewiadome, ale zgadywać można, że przy pomocy Boskiej i pracy, nie zostaniesz się od innych, a wielu poprzędzisz. Tu zaś dalej zostać nie możesz... a jeżeli odrzucisz moje propozycje i wzgardzisz moją ofiarą. boleć mię to zapewne będzie, ale rozstaniemy się z sobą bez wszelkich dalszych między nami stosunków. Zaslugi swoje w takim razie odbierzesz.

Starosta nie przedłużając dalej tej konferencji, wyszedł, zostawując stojącego w milczeniu i zadumanego Wołkanowskiego, po krótkiej chwili odszedł on do oficyny, do swojej kwatery, zamknął się i długo pisał. Nazajutrz Sołohub w swoją podróż, a za drugą bramę Piotr wrzekomo do swych rodziców odjechał. Lecz

krótko trwała nieobecność i podróż jego, uprzedził on powrotem swym starostę i w tym właśnie czasie nieobecności Sołohuba w Illi, odbywała się powyżej opisana scena, do której wracamy.

* * *

Zapłakana Marja nie dawała się ukoić słowami wiernej swej piastunki, owszem, im bardziej się zbliżano do kościoła, tem łzy gęstsze z oczu, tem głębsze westchnienia z jej piersi się wydobywały.

— A toż dla czego? odpowiedziała Porębska, wszakże matka pobłogosławiła cię do spowiedzi.

— Pobłogosławiła mię? zapytała Marja, jakby o tem nie wiedząc.

— Czyż zapomniałaś co było przed półgodziną? naturalnie, że jak zawsze przed spowiedzią ukłękłaś przed nią z deprekacją, a ona cię przeżegnała, cóż pomyśli gdy wrócim? mówiła Porębska, jakbyś nie chciała za jej zdrowie pomodlić się, co pomyśli ksiądz Daniel, który nas w konfesjonale pewnie czeka? Ej Maryniu, upamiętaj się, już od niemałego czasu trwożysz mamę, mnie i pana starostę nawet swoim codziennym smutkiem i częstym płaczem bez przyczyny. Nie raz mię imość zaklinała, abym starała się dojść co jej najmilszą jedynaczkę utrapia? Ja może i domyślam się... ale wyspowiadaj się Maryniu... wezwij Pana Boga na pomoc, i nie psuj zdrowia ani sobie ani rodzicom.

Rozrzewnienie Marji na te słowa bardziej jeszcze się wzmogło, a tymczasem z trudnością między nagro-

madzonemi wozami na kiermasz przeciskając się, karetą stanęła przed kościołem.

Wysiadającej starościance podał rękę Wołkanowski, bo officium jego dworskie i fawor pański, ten mu obowiązek przeznaczały. Nie było starościnej, którejby on tę usługę dopełnił, więc córce pomógł do wyjścia z pojazdu, a pomoc ta ceremonialna zwykle, teraz rzeczywiście potrzebną była, bo dziewczica chwiała się jak trzcina od wiatru, lecz ktoby ich w tej chwili obaczył razem, nie mógłby oprzeć się myśli, że to para dla siebie stworzona.

Porębska skrzywiła się, i sama biorąc pod rękę Marję, rzekła do Piotra. Idź wasan naprzód i zrób dla nas drogę w kościele do konfesjonatu, w którym obaczysz księdza Daniela, bo nie przeciśniemy się przez tłumy. Poniewolnie zatem, jak mu z twarzy widać było, opuścił on rękę starościanki i poszedł spełnić ten rozkaz; ciżba się rozeszła na strony, widząc kto postępuje za dworskim, tak doszli do konfesjonatu, w którym siedział ksiądz Daniel, zwykły spowiednik całej pańskiej rodziny i całego dworu!

Wnet długi szereg czekających spowiedzi, cofnął się od ucha kapłana i pierwsza Marja przystąpiła do pokutniczej kratki, za nią stanęła Porębska i przybyłe razem dwie panienki, tę pobożną odbywające dewocję. Na drugą stronę konfesjonatu zaszedł Piotr, i jemu także pospółstwo ustąpiło pierwszeństwa. Ostatnia spowiadająca się jakaś dziewczica włościańska, odjęła się właśnie od kratki i klęcząc pokornie, ze skruczą biła się w piersi... ale twarz jej była pogodną, oczy na

bliski uboczny oltarz wzniesione, prostą a szczerą pobożnością się rzewniły. W takim położeniu i w takim wzniesieniu duszy, klasy społeczeństwa równają się; prostak i mędrzec, pan i poddany w jeden punkt wznoszą natenczas westchnienie i myśli swoje, a tym punktem jest Bóg.

Drżąca Marja patrząc przez krótką chwilę na dziewicę, zdała się nabierać śmiałości i ducha, a może nadziei, że spowiedź również i ją uspokoi.

* * *

Bóg tylko zna tajemnice spowiedzi i jest jedynym powiernikiem swego natenczas namiestnika. Spowiedź Marji była długą. Porębska dziwiła się tem bardziej, że spowiednik po kilkakrotnie odejmował ucho od kratek, ocierał czoło z potu, zdawał się być niespokojnym i znowu się do spowiadającej nachylał.

Nakoniec Marja, płacząc rzewnie i łkając ukończyła spowiedź... biła się ona w piersi jako i poprzedniczka jej, wiejska dziewica, lecz gdzież owa pogoda oblicza, która na tamtej jaśniała? gdzież pokój serca, skutek zwykły wyjednanego pokorą przebaczenia?

Spowiednik, rozgrzeszywszy ją, powstał i ręką niepewną ujął znowu drzwiczki od konfesjonatu... Chciałby wyjść... miałaby usłyszeć tajemnicę, która go niespokojnością napełniała? a którą pieczęć spowiedzi w ustach mu więziła... Spojrzał on na drugą stronę konfesjonatu i spostrzegł przygotowanego i klęczącego Wołkanowskiego, znowu chwilę zastanowił się i usiadł na gnie, jakby nową myślą natchnięty. Piotr więc spowia-

dać się zaczął, a tymczasem Marja odeszła, i w ławce kollatorskiej, blisko wielkiego ołtarza będącej, ukłękła i modliła się.

Piotr także spowiadał się długo, obudzając podobną niespokojność w spowiedniku... Któryś z królów francuzkich zapytał raz jednego ze swych wysokich duchownych. „Biskupie, gdyby ci kto na spowiedzi wyznał, że mnie ma zabić, czybyś mi tego nie wydał?”

— „Nie wydałbym królu, odpowiedział biskup, leczbym stanął między zabójcą i tobą“.

Odpowiedź piękna, odpowiedź szczytna! objawiająca, że prawdziwy kapłan Chrystusa gotów być powinien ofiarą krwi własnej stwierdzić w potrzebie świętość przykazania religii, a taka ofiara okupi mu niezawodnie i rozwikła drogę w najtrudniejszych przeciwnościach jego powołania.

Nie było zapewne w tych obu spowiedziach tak ciężkich okoliczności dla ks. Daniela, jako stawiana kwestja królewska biskupowi, ani tak ciężkich i śmiertelnych grzechów, dla którychby absolucji odmawiać musiał; wszakże być tam musiała tajemnica, której poniewolnym zostawszy powiernikiem, został razem i niechętnym stróżem.

Po skończonej zatem spowiedzi Piotra, znowu ks. Daniel powstał jak do wyjścia z konfesjonau, znowu się wahał... gdy Porębska odezwała się pokornie, upraszam i nas jeszcze wypowiadać, bo przyjechałyśmy ze starościanką, i razem do Komunii świętej po Sumie przystąpić chcemy.

Ks. Daniel powtórzył z namysłem i z cicha, po

Sumie, i jakby tym wyrazem zdeterminowany, usiadł znowu.

Piotr tymczasem ukląkł przy kratkach, przedzielających zwyczajnie prezbiterium od reszty kościoła, przy tychże kratkach klęczała ścisłym szeregiem szlachta z pobliskich okolic, rozmaitych postaci i rozmaitego wieku, wrzekomo po spowiedzi oczekująca także Komunii. Wzrok ich jednak najczęściej zwracał się to na Wołkanowskiego, wśród nich klęczącego, to na stojącego u drzwi zakrystji jakiegoś mościpana, poważniejszego kroju i wyrazistszego oblicza, a rzucającego bystrem okiem na ruch kościelny, wspinał się on razy kilka na palcach aby coś dojrzeć między tłumem, którym kościół był natłoczony, nakoniec skinął głową na Piotra i wszedł do zakrystji.

-- Mości dobrodzieju, rzekł on tam do Plebana, gotującego się na Sumę mającą zakończyć nabożeństwo, panna starościanka czeka na Komunię, a i z pospólstwa wielu już odbyło spowiedź, moja zaś szlachta bracia całą kratę zajęła.

— I owszem, odpowiedział pleban, ja też naczekałem, aby więcej się zebrało przystępujących do św., Sakramentu, a kiedy jeszcze i panna starościanka czeka to tem bardziej, to mówiąc, ubrał się w komżę i stułę a poprzedzony przez chłopca ze świecą wyszedł z zakrystji.

Jak tylko dzwonek obwieścił rozdawanie Komunii, a Kapłan ze świętą Hostją w ręku obrócił się do ludu, i podnosząc głos, rzekł. „Oto baranek Boży, który gładzi grzechy świata!“ wnet szlachta otworzyła kratki, i na-

pełniła prezbiterjum, a lud prosty ze wszech stron kościoła do kratedk cisnąć się począł. Tylko Porębska tuż po spowiedzi i ze swemi panienkami, nie cisnęła się wcale, owszem rzekła do nich, my zaczekamy, bo i modlitewek przed Komunją jeszcze nie odmówiliśmy, a po Mszy przystąpimy, zapewne i Marja tak uczyni, siedzi ona, widziałam, w pańskiej ławce, a jak Msza wielka zacznie się, to i my tam do niej pójdziemy. Marja tymczasem wyszła z swej ławki, i uklękła na stopniach ołtarza; obok niej ukląkł Wołkanowski, i oboje przyjęli Komunję... Kapłan spojrział po zgromadzonej szlachcie, i nie postrzegając aby którykolwiek przystępował do ołtarza, miał ze świętą Hostją w ręku zejść do kratedk, gdy Piotr rzekł z cicha ale dobitnie. Teraz droga Marjo! teraz albo nigdy!... i powstał z klęczków, a podejmując i ją razem rzekł: Zatrzymaj się księżo: i dalej trzymając Marję za rękę, mówił wyraźnie i śmiało:

„Ja Piotr, bioreę ciebie Marjo, za żonę, i ślubuję ci wiareę, miłość i uczciwość małżeńską, a że cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi panie Boże dopomóż!“ Ksiądz cofnął się i chciał odejść, lecz kilku ze szlachty ujęli go za komżę i z uszanowaniem ale stanowczo przytrzymali, a tymczasem Marja słabo, lecz wyraźnie mówiła:

„Ja Marja, bioreę ciebie Piotrze za męża... i że cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi Panie Boże dopomóż“.

Wołkanowski natenczas obracając się do szlachty ściśle otaczającej ołtarz, rzekł uroczyście: „Was tu wszystkich obecnych bioreę za świadków tego ślubu,

przed kapłanem i Przenajświętszym Sakramentem zawar-
tego“.

To powiedziawszy, uprowadził żonę do zakrystji a za nim poszła i cała gromada, w zakrystji były drzwi do wyjścia. Ksiądz zmieszany nie wiedział co dalej czynić, ale ten sam mościpan, któregośmy u drzwi zakrystyjnych widzieli, wtajemniczony widać we wszelkie plany Piotra, a bodaj i układający je, został u stopni ołtarza, i uchylając pokornie głowę, rzekł najspokojniej. Ot imajnacja! co to do tego należy. Jegomość dobrodziej dawaj Komunię, bo lud czeka na święty Sakrament.

Ksiądz w zmaconej swej głowie nie mogąc na prędcę napaść na lepszą radę, poszedł za podawaną i zbliżył się do krated, przed którymi w rzeczy samej nie wiedząc o niczem, klęczało pospólstwo, a tak obrzęd zdawał się nieprzerwanym, doradca zaś wyszedł także do zakrystji, raczej przez zakrystję, i dopędzał nowe małżeństwo, otoczone tłumem szlachty i przyspieszonym krokiem idące w uboczną ulicę, gdzie bryka czterema końmi zaprzężona czekała gotowa na ich przyjęcie.

Wybiegł razem z kościoła i lokaj, który stał przy ławce za Marją, widział on wszystko co się stało i szedł w też samą stronę.

— Dokąd waść? zapytał nadchodzący za nim Kulesza, zatrzymując go (to było nazwisko szlachcica).

— Tam gdzie i waspan, odpowiedział on, wyrrywając się.

— Ot imainacja! Co to do tego należy? wracaj waść do kościoła.

Ale lokaj łatwo się pozbył Kuleszy i dalej pobiegł.

U płotu stało kilka koni przywiązanych i osiodłanych, pistolety w olstrach wiszące na pokrowcach i tłumoki za siodłami, dawały poznać, że jeźdźcy do dłuższej przygotowali się podróży, jakoż ośmiu młodej szlachty wnet ich dosiedli.

Piotr obrócił się, upatrując między otaczającymi Kuleszy, ale razem nadbiegły sługa upadł przed Marją na kolana... Dokąd, panienko nasza! dokąd? zawołał on: A na miłość Boga! a cóż się stanie z panami?... więcej już od płaczu mówić nie mógł.

— O Boże! krzyknęła Marja, o Boże! już po czasie Marcinie! powiedz mamie... powiedz matce mojej drogiej... powiedz rodzicom... że ich Kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą... ach! gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę...

Piotr ujął wpół-omdloną Marję i wniósł do pojazdu, bo sama na to sił nie miała; podał potem rękę Kuleszy i wstrząsając ją: Panie Janie rzekł, póki życia nie zapomnę.

— Ot imainacja, co to do tego należy? odpowiedział on, masz ośmiu wysmienitych i uzbrojonych chłopaków, którzy was przeprowadzą i dadzą radę pogoni, jeżeliby się za wami puściła, o sześć mil masz konie drugie. A teraz Deus benedicat! i czwórka ruszyła klusem.

— No panie Janie, odezwał się do Kuleszy jeden ze szlachty wracających kupą do miasteczka, gracko wszystko uplanowałeś i wykonałeś, ale w tem sęk, czy taki ślub ważny?

— Ot imainacja! co to do tego należy? odpowiedział Kulesza, chodźcie na trójniaczek.

*

*

*

Tymczasem już i w kościele najprzód szmer głuchy, a wkrótce i głośnie rozmowa rozeszła się o tem co się stało. Porębska, przerażona i niewierząca jeszcze tej fatalnej niespodziance, przecisnęła się do ołtarza, właśnie gdy pleban, niedokończywszy nawet rozdawania Komunii, opamiętał się i śpiesznie w zakrystji zdejmując komżę, sam nie wiedział czy wychodzić ze Mszą, czy biedz do dworu z oznajmieniem, że dał, czy jakby dał ślub starościance. Wpadła tam Porębska i wnet tuż za nią jej panny i kilku dworzan przybyłych, jakeśmy to widzieli, w asystencji przy karecie do kościoła; z drugiej strony wszedł zapłakany stary Marcin.

Chwilę milczeli wszyscy jak w osłupieniu... nakoniec Porębska zawołała: Gdzie Marja?

— Pojechała z Wołkanowskim, odpowiedział Marcin, sam widziałem jak siedli do bryki.

— Ach! ja nieszczęśliwa! krzyknęła Porębska i kładła w dłonie, a zachodząc się od płaczu, ledwo mogła wymówić do dworzan: Gońcie, waćpanowie! dopędzajcie co najprędzej!

— I my tak myślím, rzekł znajomy nam Tatura, ujmując kłamkę odedrzwi.

— Dopędzajcie waćpaństwo, odezwał się Marcin, ale ostrożnie, bo ośmiu młodych szlachciców konno obok bryki pojechało, a każdy z fuzją za plecami, z pistoletami przy kulbakach i pałaszem przy boku.

Tatura odjął rękę od kłamki.

— A cóż mam robić? zawołała Porębska.

— Wracać bez dalszej zwłoki do dworu, odezwał się ksiądz Daniel, stojący dotąd w milczeniu za drugimi.

— Ach księżu Danielu ratuj nas, rzekła znowu Porębska, spostrzegając go i zawsze płacząc i załamując ręce, ratuj nas dla Boga. Ach ten zdrajca! ten uwdziiciel! jak go żywa ziemia nie pożarła! czemu on w kołysce nie zginął!

— Pani Porębska, rzekł ksiądz Daniel, po spowiedzi przekleństwo!

— Ja Komunii jeszcze nie brałem, a z łaski jego na nowo grzeszę...

— Już dziś i nie weźmiesz Komunii, po tem coś wyrzekła. Siadajmy do pojazdu i spieszmy, aby ktokolwiek tej nieszczęśliwej nowiny nieuważnie nie przyniósł starościnie.

Księżu proboszczu, mówił on dalej, we Mszy świętej przy ofiarowaniu, westchnij gorliwie na tę intencję i wezwij miłosierdzia Boskiego, a sam pokrzepiony zaufaniem w Bogu, pośpieszył wlewać to zaufanie w duszę nieszczęśliwej matki.

Koniec części pierwszej.

Część druga.

Rok smutku.

Gdzież trafi ta książka moja? Serce własne mówi mnie, że czy się dostanie w ręce rodziców, pielęgnujących troskliwie i pieszczących swe dziatki, czy w ręce dzieci, przywiązanych tkliwie do dawców swojego życia, niemiłe w nich najprzód poprzednim rozdziałem obudzi wrażenia, lecz złagodzi wnet i ukoi to dotkliwie uklócie, miłość ich wzajemna, ztąd właśnie czulsza i żywsza. Nie jedna matka, tuląc do piersi głowę swojej jedynaczki, rzeknie jej z tkliwą łzą w oku: Ty odemnie nie ucieczesz! a rozczulone dziecko odpowie jej: nigdy, i doda z głębi serca: Nigdy cię nie porzucę! zawsze ciebie jedynie kochać będę. Ale dziewczica nie wie jeszcze co się z jej sercem stanie?... Pierwsza więc część takiej przysięgi, zarzekająca się ucieczki, w rzadkich nader, chwała Bogu, zdarzeniach złamaną bywa, bo rzadko namiętność tak dalece oślepi niewinne serce dziewczicy, aby zgniotła i zgasiła w niem od razu święte uczucie przywiązania do rodziców, z życiem weń wlane i rzadko też namiętność tak dalece oślepi młodzieńca, aby na przekor prawom Boskim i ludzkim, odważył się oderwać gwałtem zieleniejącą piękną gałązkę od drzewa,

które się nią chlubić i z niej odrodzić miało, zostawiając na tem drzewie ranę srogą, jęczącą się codzien boleśnie, i jak rak przegryzającą je do rdzeni. Rzadko to więc się zdarza, i bodajby nigdy się nie zdarzało. Lecz słowom tym, ja cię nigdy nie opuszczę, ja ciebie jedynie kochać będę, matka nie wierzy, a nietylko nie wierzy, ale nie życzy nawet aby się ziściły. Szczególne natury ludzkiej zjawisko! szczególna ofiara! chcieć i niechcieć razem, kochać i nie chcieć wyłącznie być kochaną! Abnegacja najwyższa własnego szczęścia, do której miłość tylko i jedynie miłość rodzicielska jest zdolną! A miłość ta jednak jest zazdrośną jak i wszelka inna. Bo komuż nie zdarzyło się być świadkiem, gdy młoda para w pierwszych różowych dniach małżeństwa wzajemnie się pieścizotami obsypuje, jak przerywa je córce tkliwy, łagodny, miły nawet, mimowolny nakoniec, ale nie mniej szczerzy wyrzut zazdrośnej matki: Ty mnie już nie kochasz! ty jego więcej kochasz nademnie. Wtenczas małżonka i córka, znowu nie wie i pojąć nie może co się z jej sercem stało, i w rozdwojeniu uczuć swoich rzuca się w objęcia matki, ze wzrokiem ku mężowi pałającym, rzuca się w pieścizoty męża, ze wzrokiem błagalnym ku matce.

Syn się żeni, zwiększa skarb miłości domowej. Córka wychodzi za męża, zmniejsza go: ujmuje zeń i wynosi z domu rodzinnego część najdroższą, zostawiając po sobie próżnię napełniającą się tęsknotą, lubo tęsknotą rzewną i miłą, jak oddalone echo po słodko-brzmiącej lutni.

Wyobraźmyż ten skarb rozbitym, zrabowanym, zniszczonym... A jakież bogactwo materialne porównać się może z tym skarbem duszy, w którym się jednoczy cała treść życia danego i odebranego, wszystkie najświętsze uczucia i obowiązki ludzkości! Wyobraźmyż ten skarb rozbitym i zniszczonym, powtarzam dla tego, że właśnie samym czytelnikom moim zostawić muszę po większej części, wyobrażenie boleści Sołohubowej, gdy z ust księdza Daniela dowiedziała się, co się stało z jej Marją.

Pobożny i mądry kapłan, znający serce ludzkie, wiedział dobrze, że w srogich ciosach jakimi człek uderzany bywa, jedyny ratunek w pomocy Boskiej, najgłębszą i najgorliwszą modlitwą wyzywanej, że sama ta modlitwa jest już lekarstwem i ulgą. Błogosławione lekarstwo! dla czegoż z powszechnego wychodzi użycia? i wybrane tylko serca słodzą niem cierpienia swoje, pojąc się kroplami tego łagodzącego balsamu, spływającego jakby z góry Oliwnej, na której Chrystus błagał Ojca, by odeń kielich goryczy oddalił.

Ale są dusze, tak głęboko upadające pod nieszczęściem, że w pierwszych chwilach nie zdołają same swą wolą i myślą wznieść się do Boga, ani skwapliwej ręce ku ich pomocy dać się podźwignąć, te albo toną w rozpaczy, albo kamienieją w osłupieniu i obłąkaną przerażają obojętnością.

W taki stan właśnie wpadła ta nieszczęśliwa matka, usłyszawszy słowa księdza Daniela, których najprzód pojąć nie mogła, a potem jakby nierozumiejąc słuchała, wszyscy otaczający ją płakali, jej źrenice były

suche, lecz nagła tylko i nadzwyczajna bledność twarzy, wzrok błędny, na drzwiach niekiedy zatrzymujący się, jakby w oczekiwaniu wejścia ukochanego dziecka i duszące westchnienia ostrzegały wszystkich o jej niebezpieczeństwie. Chwila to była stanowcza o jej życiu, którą tylko cud łaski i miłosierdzia Boskiego mógł przesilić. Błagał o to miłosierdzie ksiądz Daniel, bo niemogąc gorącym i kilkakrotnem wezwaniem wyprowadzić starościnej do przyległej pokojowi jej kaplicy, sam jeden tam się udał i przed ołtarzem Matki Bolesnej padłszy krzyżem, nad matką także bolejącą błagał zmiłowania.

Scena ta niema a okrutna, trwała przez czas niejaki, gdy w milczeniu płaczący dotąd razem z innymi Marcin, za cóżby nie uwierzył że wpływem modłów kapłana natchniony, przystąpił bliżej do pani i rzekł: Ja tam byłem, kiedy panienka odjeżdżała, a wiesz jaśnie wielmożna pani, co ona kazała jaśnie wielmożnej pani powiedzieć?

Starościna jakby pierwszy raz zrozumiała mowę ludzką, podniosła nań oczy.

— Ot zachodząc się ona od płaczu, mówił dalej Marcin — powiedziała: Poczciwy Marcinie! poczciwy Marcinie! powiedz mamie... powiedz matce mojej drogiej... powiedz rodzicom moim... że ich kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą. Ach gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę!...

To ostatnie słowo, jakby ostrzem sztyletu przeszło strętwiała, ale też ją wstrzęsło gwałtownie i tem samem życie w niej wzbudziło.

— Ona umrze! zawołała ona umrze!

— Nie, nie, nie umrze! rzekł Marcin z pośpiechem, przeląkwszy się sam tego wyrazu, daj tylko jasnie wielmożna pani pozwolenie, to ja sam polecę i panienka wróci, bo ona mówiła, powiedz rodzicom że ich kocham nad życie.

— Ona kocha! ona nas kocha! zawołała znowu starościna, bo te dwa wyrazy: umrze i kocha, wsiąkły w mgnieniu oka w krew jej, i krążąc z krwią razem po całym jej jestestwie, co chwila wpadały w jej serce.

Dosłyszał słów tych Sołohubowej ksiądz Daniel wychodzący w ten moment z kaplicy, i po ich wrażeniu poznał całą ich wartość i potęgę. Poznał, że odtąd one być muszą i będą ogniwami łączącemi matkę z córką, a jeżeliby i w sercu ojca się odezwały, religijnemi a gorącemi napomnieniami wsparte, na przekór światowym względom, wyjednaćby mogły przebaczenie i błogosławieństwo rodzicielskie, a co zatem by poszło i błogosławieństwo związku przez kościół i ku cofnięciu, i ku uznaniu trudnego.

— Ach ojcze! rzekła do wchodzącego starościna, ach ojcze! cóż się stało? kara Boska nad nami! i to mówiąc płakała już rzewnie. Ona powiedziała jemu że nas kocha, mówiła wskazując na Marcina, że nas kocha nad życie...

— I powiedziała to z głębi duszy, rzekł ksiądz Daniel, a po krótkim namyśle dodał: Słowem kapłańskim ręczę ci za to, nieszczęśliwa matko.

— Ona mówiła, że umrze.

— Kiedy jaśnie wielmożni państwo nie dozwolicie wrócić, dokończył Marcin.

— Oh! a mąż mój!

— Bóg rządzi sercami ludzkiemi, błagaj Go więc o pomoc i litość, a skłaniaj własne ku dziecku twojemu, i skłaniaj męża, by twej boleści, życiu jedy-naczki waszej i swemu zdrowiu, a szczęściu wszystkich folgował.

— Cóż mam teraz robić, księże Daniela? radź, bo ja nieszczęśliwa nie nie mogę, nie nie pojmuję, nie nie zrobię. Choćby przynajmniej mieć od niej wiadomość, dokąd pojechali? O Boże! cóż nas czeka? Czy taki ślub ważny?

Ksiądz Daniel poznał po tych słowach, że się już cisną do głowy starościnej dręczące myśli powszechnego rozgłosu, wstydu i upokorzenia przed ludźmi z tego małżeństwa nierównego i kto wie jeszcze czy małżeństwa? zawiedzionych nadziei i tym podobne, nieuniknione w takiej złej toni. Aby więc je wszystkie razem utopić, że tak powiem, w źródle najpewniejszych nadziei i pociechy, rzekł: Uspokój się JW. pani, uczynimy wszystko, czego dzisiejszy stan rzeczy wymagać będzie, a tymczasem idźmy do kaplicy, idźcie i wy wszyscy za panią, zmówmy litanję do Najświętszej Boga-Rodzicy, której obraz macie w ołtarzu, a gorąco! a gorliwie! Służyć ręką, to nic, służyć sercem, to grunt. Okażcież teraz wszyscy w nieszczęściu dobrodziejów waszych, że im tak służycie. Marcinie, prowadź panią do kaplicy.

Noszona dotąd na krześle, stała starościna sama.

tak to jest prawdą, że nieszczęście dodaje sił do zniszczenia go i wytrwania. Wsparła się ona na rękę Marcina, chętniej odeń niżeli od kogo innego przyjmując tę pomoc, bo wlekąc się, jeszcze raz go zapytała: „To ona mówiła że nas kocha?” i znowu Marcin te miłe dla niej powtórzył słowa, nie rozumiejąc jak wielkiego one były znaczenia i skutku, a co przewidział ks. Daniel, gdy mu panią prowadzić kazał.

Gdy tam weszli, starościna, niefolgując słabości swej i chorobie, uknęła na swym klęczniku, a ks. Daniel odsunął bogatą firankę zasłaniającą obraz. Marja Boleśna okazała święte oblicze swoje: miecz przeszywał jej piersi, a boleść i miłość tak żywo i tkliwie jednoczyły się w jej oczach że się zdawać mogło, jakby na tę chwilę rzewniła się ona współczuciem i miłosierdziem dla nieszczęśliwej matki. Wrażenie głębokie przejęło na ten widok nie tylko ks. Daniela i wszystkich.

— Módl się za nami! módl się za nami! odpowiada mu z westchnieniem, gdy on litanję odmawiać począł, a gdy przyszło ofiarowanie, modlitewka którą nieraz może nie jeden z moich czytelników, uciśniony troskami życia, w duchu lub cichemi słowy odmawiał: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko! naszemi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych... w sinutkach naszych, dodawał kapłan, któremu łzy biegiły po licach, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawić i ratować. Pani nasza! Orędowniczko nasza!... Pocieszycielko nasza...” Natenczas łkanie wszystkich ledwo dozwalało powta-

rzać te słowa, a starościna, zakrywszy twarz rękoma i oparłszy głowę na poręczy klęcznika, duszą je powtarzała.

Nakoniec powstał Ks. Daniel i jakby natchniony, rzekł: Matko! boleścią połączyłaś się z matką która Syna na krzyżu oplakiwała, ufaj! ona cię wspierać będzie.

— Pójdźmy, to mówiąc podał rękę staroście, która jeszcze raz spojrzała na obraz i wyszła pokrzepiona na duchu, modlitwą i nadzieją, z tego współnictwa boleści wypływająca.

Abraham Ilski.

Poleciwszy kobietom otaczającym staroście czuwanie nad nią, wyszedł Ks. Daniel z pałacu i udał się śpiesznie do mieszkania dworskich, to jest do oficyny, na tymże samym pałacowym dziedzińcu stojącej. Rozruch w całym dworze był największy. Pan Tatura, otoczony kilkunastu osobami, i wyższy głową od wszystkich, perorował coś żwawo i zamaszysto. Po całym dziedzińcu bieganią była wieka, z miasteczka i do miasteczka rozmijali się gońce w lipowej ulicy, kilku tatarów mieszkających w Illi, a przeznaczonych na posyłki, stało gotowych przy osiodłanych koniach, słowem, widocznem było, że wszyscy chcieli coś działać i radzić, ale właściwie rady sobie dać nie umieli, jednocząc tylko swe zdania na przekleństwach i złorzeczeniach Wolkanowskiemu.

Gdy się ukazał Ks. Daniel, wszyscy się doń rzucili. A co słyhać, Reverendissime? A jak się ma starościna?

A co oni mówili? jak uciekali? Pan Tatura powiada, że starosta wyrzeczy się córki, a pan Pauksza mówi, że to nie może być. Pan Tatura chce posyłać do pana i już Tatarów sprowadził, a pan Mężyk mówi, że trzeba czekać co rozkaże pani. A w miasteczku co się dzieje, gdybyś jegomość wiedział? choć ty na gwałt dzwoń! Szlachta pije na umor, a wszystkim rej wodzi ten przekłety krętacz Kulesza. Ks. Daniel, nie odpowiadając na te wszystkie hałasy i pytania, wziął Taturę za rękę i wprowadził go do jego własnej izby w oficynie.

— No, panie marszałku, (bo ten obowiązek pełnił na dworze starosty) dobrześ skonkludował: trzeba pisać i posyłać do pana.

— I ja tak mówiłem, odpowiedział Tatura, a te błazny mnie zakrzyczeli, i Mężyk ze swoim zdaniem wyjechał. Koniuszy! mądra głowa! trzeba, prawi, czekać, co pani każe? chciałem już iść po jegomością dobrodzieja do pałacu.

— Pani nie nie każe, bo w żałości i smutku nie jest w stanie rozkazywania czegokolwiek.

— I ja tak mówiłem, rzekł znowu Tatura, posłańce gotowi, wysyłajmy na różne strony. Starosta pojechał wprawdzie do Grodna, ale ztamtąd miał się zwrócić na Słonim i Nieśwież; więc Bóg wie gdzie go szukać? pošlemy więc do wszystkich tych miejsc. Tylko w tem sęk Reverendissime, że trzeba pisać do pana, a już wiesz jegomość dobrodziej, że ja w skrypcie nie-mocny, a tem bardziej w takich cyrkumstancjach.

— No, ja napiszę, rzekł ksiądz Daniel, ale prócz tych posłańców, rozporządź zaraz i posyłaj Mężyka roz-

stawionemi końmi po doktora do Wilna, bo któż wie? może pani potrzebować go będzie. W takim wielkiem zmartwieniu doktor nieodstępnym być powinien, na dwornego felczera spuszczać się nie można. I usiadł zatem do pisania listów, a marszałek poszedł rozrządzić wnet wysłanie po doktora.

W godzinę jedno i drugie było spełnione. Mężyk jechał śpiesznie bryką po drodze do Wilna, a Tatarzy kłusowali do Grodna, Słonima i Nieświeża, każdy w swoją stronę, Tatura zaś, wiedziony ciekawością, na ten raz nienaganną, poszedł do miasteczka podsłuchiwać pijaną szlachtę, a nuż się czego nie dowie, coby się tego fatalnego zdarzenia tyczyć mogło? Zatem ksiądz Daniel został sam jeden, i wsparłszy głowę na rękę, siedział przy stole, na którym listy swe pisał, zadumany głęboko... gdy we drzwiach nowa okazała się figura, żyd.

Był to pan Abraham Ilski, tak nazwany od miasteczka, w którym od dziadów i pradziadów mieszkał, które trzymałarendą i w którym obszerny prowadząc handel leśny, utrzymywał znaczny ruch kupiecki, dając zarobek i sposób do życia wielu biednym rodzinom swych braci. Był to morejna, w całym znaczeniu tego wyrazu, a osobą swą przedstawiał prawdziwego dostojnika Mojżeszowego narodu.

Imię też jego przypadło właśnie do jego postaci, bo w rzeczy samej, z oblicza tego sędziwego i szlachetnego, brody siwej i poważnej, czoła łysego i wysokiego, oczu czarnych pełnych życia i wyrazu, malarz

albo by podobieństwo do obrazu tego patriarchy, albo wzór na jego obraz upatrzył.

W grodetury i atłasy ubrany był cały pan Abraham. Żupan atłasowy czarny, srebrnymi haftkami i pętlcami na piersiach zapięty, takiegoż koloru płaszcz długi grodeturowy, taśmami i kutasami sutemi jedwabnemi na szyi przywiązany i szerokie na wiatr rozpuszczający poły, nakoniec trzcina ze srebrną gałką w rękę, a aksamitna jarmułka, wążutkim galonikiem oszyta, na głowie, dopełniała tego uroczystego stroju, w jakim ukazał się on we drzwiach izby, w której siedział samotny ksiądz Daniel.

Rzadko dziś bardzo, a wkrótce i zupełnie nie ujrzysz między Izraelskim ludem takich staroświeckich postaci. Znikają one z nowego pokolenia, przekształcającego się w powszechną europejską ludność, przewodniczyli oni niegdyś w synagogach i kahałach, zasiadali i radzili w owych tajemnych sanhedrynach, kierujących losami tego wygnańczego narodu, a razem trzymali w swych rękach handel całego kraju. Wyżsi prawością i dostojnością, że tak powiem, a zwykle i mieniem, nad gmin szynkowy swych jednowierców, wyrabiali oni ogromne lasy litewskie i wszelkie inne płody ziemi naszej za granicą popłatne, len, pieńka, siemie, na miejscu przez nich opłacane, szły do portów i wzbogacały ich corocznemi zyski. To dawało im wstęp do wszystkich znakomitszych panów, którym gotowemi zawsze służyli kapitałami, a w tych stosunkach nabywali poloru, taktu i pewnego rodzaju powagi i godności, która uszlache-

tniając ich w oczach własnych, uszlachetniała razem ich sumienie i postęпки.

Żyd taki trzymał się ściśle swojego zakonu: wznosił własnym kosztem po miasteczkach szkoły, pokrywał w nich srebrnymi blachami dziesięcióra, hojne ubóstwu wyprawiał szabasy. Ale mimo to przywiązanie do religji swych ojców, wyzuwał się jednak w pewnym stopniu z nienawiści ku Chrześcijanom, owszem częstoroć przywykał serdecznie do rodzinnego siedliska i do panów pod których opieką kilka swych pokoleń wychodował.

Mamy i dziś żydów bogatych, miewamy w nich kupców rzetelnych, ale takich morejnow nie mamy już, a różnica główna w tem, że prawosć i rzetelność tych ostatnich, przynajmniej zarówno z oszacowania siebie i ludzi, z którymi obcowali, jako i z interesu dobrze zrozumianego wypływała, dzisiejszych, tylko z interesu. Daruje mi czytelnik tę małą dygresję, bo w niej razem i pana Abrahama Ilskiego opisałem, który wpływa do mego opowiadania.

* * *

— Z przeproszeniem godności pańskiej, rzekł więc, zatrzymując się we drzwiach Abraham, czy mogę wejść i pogadać trochę z księdzem dobrodziejem?

Książd Daniel podniósł głowę i ujrawszy nadchodzącego, łatwo się domyślił, że go tu wspólnie wszystkim dotkliwa bieda przyprowadziła. Proszę, panie Abrahamie, opowiedział zatem, proszę.

Abraham wszedłszy, zaszczerpił za sobą drzwi na

kruczek, obejrzał się na wszystkie strony i zbliżył się potem do stołu.

— Siadaj, panie Abrahamie, siadaj!

Abraham usiadł, bo dla wieku i poczciwości, starosta nawet długo mu przed sobą stać nie dozwalał, dobył potem srebrnej tabakiery, zażył z niej, pogładził poważnie brodę i patrząc w oczy księdzu, posłałeś jegomość dobrodziej po starostę? rzekł.

Ksiądz Daniel skinął głową, i po doktora, dodał bo staroscina słaba.

— Dobrze pan zrobił, ale cóż dalej będzie? bo zawsze od początku trzeba patrzeć na koniec. Pogadamy o tem sam na sam z jegomością dobrodziejem, może i stary Abraham, stary przyjaciel i sługa panów, cokolwiek poradzi, mówił dobrą polszczyzną, choć obrotem słów sobie właściwym. Więc cóż dalej będzie, mości księże dobrodzieju? ponowił on pytanie.

— Co Bóg da, panie Abrahamie, co Bóg da, my pokornie o miłosierdzie jego błagać będziemy.

— I my całym kahałem przez trzy szabase modlić się będziemy. Pan Bóg, mości księże dobrodzieju, dla wszystkich jeden. Ale z przeproszeniem godności i mądrości pańskiej, tu znowu zażył tabaki i mówił powoli, ja myślę tak: Powróci pan starosta, aj gwałt! strach! co to będzie? no, na końcu odpuści się, bo on ojciec, a to jedynaczka, i zapyta się, gdzie ona pojechała?... a matka odpowie płacząc, ja nie wiem... może już umarła! to pan starosta weźmie się za głowę, i będzie sobie włosy rwać... no, wtenczas kto jemu powie... Ona żyje, i wiem gdzie żyje, to podziękuje on jemu,

oj i jak podziękuję! i błogosławić jemu będzie! czy nie prawda?

— Prawda, ale daj Boże, aby to odpuszczenie jak najrychlej nastąpiło, odpowiedział ks. Daniel.

— No, to jegomość dobrodziej nad tem pracuj, ale ja myślę o córce. Oj biedna ona, biedna! choć ona tam z mężem ale jej dusza tu.

— Z mężem... powtórzył Ks. Daniel wątpliwie i potrząsł głową.

Abraham przenikając wnet myśli jego, z mężem, powtórzył głosem stanowczym, z mężem mości księżu dobrodzieju; niechaj Bóg broni mówić inaczej! Na sto lat życia jegomości dobrodziejowi... ale jegomość popchni myśl swoją naprzód, dalej a dalej... Kiedy on nie mąż, a ona nie żona... to co będzie! to co będzie z ich dziećmi? Na sto lat biedy! na sto lat biedy, na dzieci, wnuki i prawnuki! z przeproszeniem godności pańskiej. Oj! oj! oj! strach i mówić i myśleć.

Ks. Daniel spuścił głowę i zamyslił się, pojął prawdę słów Abrahama i jakby spojrział w głęboką przepaść, którą on mu odsłonił.

Ten znowu kontynuował swe, nałogową kupiecką, że tak powiem, rozważą i ostrożnością przecinane sensa, biedna ona, biedna! ona zna co rodzicom zrobiła... a jak jej przyjdzie do głowy, że starzy pochorują, a może i poumierają z żalości, to i mąż nie doradzi, mości księżu dobrodzieju, a kiedy kto jej wtedy napisze rodzice żywi i zdrowi, temu ona ręce i nogi całować będzie... A któż jej to napisze? Jegomość dobrodziej. Ot dla czego ja tu przyszedł.

— A gdzież ja napiszę? rzekł ksiądz Daniel, nie wiedząc dokąd pojechali, chyba trzeba mi się obaczyć z tym... pobożne usta nie wymówiły wyrazu, który im gniew podawał, z tym Kuleszą, a nuż odeń czego się dowiem!

— To Haman! zawołał Abraham, to Haman! po waszemu mości księżu dobrodzieju, to Judasz, nic dobrego. Jegomość od niego się nie dowiesz; bo co mówi Salomon: „Srebro wyborne serce sprawiedliwego, ale język niezbożnych za nic nie stoi“. On podzielił się z Wołkanowskim pieniędzmi, które oni ugody wzięli za Sieliszcze.

— Ugody za Sieliszcze? rzekł zdziwiony Ks. Daniel. Ach! a ja sobie głowę suszyłem, dochodząc, z kądby Piotr dostał funduszu na tę podróż, ale z kąd znowu to wiesz, panie Abrahamie?

— Ot tak, mości księżu dobrodzieju. Kulesza zaszedł z całą swoją gromadą do naszej karczmy, i kazał dać miodu, więc szlachta po swojemu pić zaczęła i huczny prowadziła rozhovor, a ja zdaleka przysłuchiwałem się, aż jeden pyta go, panie Janie, a wiele wzięłeś rebochem od Wołkanowskiego, za to, że zaprzedałeś jego Sieliszcze?

A on na to? ot imainacja, co to do tego należy; widzi jegomość, że jego takie przysłowie: Co tobie do tego, krzyknął na szlacheć, pij i milez!

— No, to szlacheć tak i zrobił, ale ja domyśliłem się całej tej sprawy. Kulesza, wielki prawnik, on wszystką szlachcę za nos wodzi, a oni słuchają go jak monarchę,

on musiał ten interes zrobić i wziął oberchape dobrą, a Wolkanowski dostał pieniędzy na drogę.

— Rozumiem, teraz wszystko rozumiem, mówił Ks. Daniel, potrząsając głową, nie do rodziców więc on jeździł, ale kończył przez nagłą ugodę ten proces o Sieliszcze, staraniem Sołohuba odnowiony. Więc skądże weźmiemy wiadomość gdzie oni pojechali?

Tu pogładzając poważnie swą siwą brodę, mówił Abraham: Mój wiernik Hirszko, to on niby prosty sobie żydek, ale... postukał tu palcem w głowę, ale gdybym ja jego do piekła posłał, to i z samym Lucype-rem kontraktyby zrobił, i nie dałby się oszukać. A kiedy ja jemu powiem chejrym! cyt! to jak kamień do wody. Otóż moi księżę dobrodzieju, gdybym ja jego naprzykład... a tu stukał po tabakierze, gdybym naprzykład, ja... Abraham Ilski, kupiec, wysyłam mego wiernika Hirszkę, dla opatrywania puszczy po całej Polsce. No, to on jedzie i jedzie, a rozpytuje się po drodze u żydków, gdzie oni nocowali? gdzie popasywali się? gdzie im koło złamało się? wszystko za niemi a za niemi, aż póki gdzie nie osiądą. Wtenczas on pomału, nieznacznie dowie się co tam na miejscu dzieć się będzie? kto tam z niemi? i z kim oni? i o wszystkim, co nam wiedzieć trzeba będzie?... A kiedyby tam bieda była, to on będzie miał, tu uderzył po kieszeni... Czy tak dobrze, moi księżę dobrodzieju?

Ks. Daniel patrzył zdziwiony w oczy żydowi, który nie przestając gładzić swej srebrnej tabakiery, i wzajemnie patrząc w oczy księdzu, oczekiwał odpowiedzi.

W końcu ks. Daniel ujął rękę Abrahama i ścisła-

jąc ją, wzruszonym głosem rzekł: Tyś poczciwy i rozumny człowiek, każdy poznałby tu konieczną potrzebę wiadomości, gdzie się znajdować będzie córka starostów, aleś ty potrzebę tę z serca rodziców i dziecka rozpoznał, sam więc masz serce.

— I sam mam dzieci, przerwał Abraham.

— A serce twe dobre jest i wdzięczne, dodał ks. Daniel, gdy nawet pieniędzy nie żałujesz.

— Jak to, mości księżu dobrodzieju? córka moich panów miałyby być bez chleba! no, o tem potem. Ale czy dobrze tak będzie jak mówiłem?

Ksiądz Daniel pomyślawszy nieco — dobrze, rzekł, i bardzo dobrze, byle nikt nie wiedział ani o powrocie, bo gdyby starosta przed czasem dowiedział się o schronieniu córki, mógłby w gniewie ścigać ich i powiększyć własne, żony swej i dzieci nieszczęście.

— A chejrym, mości księżu dobrodzieju! a chejrym!

— Kiedy tak, to wysyłajże tego swego Hirszka, panie Abrahamie.

— No, to już i wysłałem.

— Jak to? już wysłałeś?

— Wysłałem, a jegomości dobrodziejowi dziękuję, że pochwaliłeś to, co ja zrobiłem, teraz czy Hirszko co napisze, czy sam powróci, ja jegomością dobrodzieja wnet zawiadomię i znowu radzić będziemy. Kontent jestem! bo co mówi Salomon: „Daj mądrym powód, a przyczyni mu się mądrości, nauczaj sprawiedliwego, a pokwapi się wziąć“, a to się tycze mądrości jegomością dobrodzieja.

— Bodaj czy nie więcej mądrości waćpana, panie

Abrahamie, rzekł, uśmiechając się ksiądz Daniel, zawsze jednak winszuję, że tak dobrze znasz świętą biblię.

— Ach! z przeproszeniem godności pańskiej, to tak, jakbyś mnie jegomość dobrodziej winszował, że umiem chleb jeść, a teraz do zobaczenia i do nóg upadam.

— Do zobaczenia, powtórzył ks. Daniel, do zobaczenia

Abraham skinął głową, włożył na nią szeroki kapełusz, wziął swą trzcinę w rękę i wyszedł, krocząc poważnie przez lipową ulicę do miasteczka.

Powrót ojca.

Błogosławiony dom, który miał i który miećby mógł dzisiaj u siebie takiego kapelana, jakim był ks. Daniel, takiego stróża wszelkich cnót chrześcijańskich, takiego przyjaciela i doradcę w trudnych okolicznościach życia, takiego pocieszyciela i Bogomódlcę w nieszczęściu.

Żaden dom pański dawniej nie obszedł się bez kapelana i bez domowej kaplicy. W niej codzień panowie i dworscy słuchali Mszy św., jedni drugim służąc przykładem do jej ozdoby, panie, córki i respektowe dziewice szyły w krośnach bogate kobierce i zapyony, w niej znakomitym kosztem okupione, lśniły się złotem i srebrem mszalne aparata, a drogiemi kamieniami święte naczynia. Słowem, przepych i zbytek panów, wszędzie naówczas dowodzący zarozumiałej dumy magnatów, tu we wspaniałych ofiarach dowodził ich pokory przed Bogiem i chętnego poświęcenia Mu ich bogactw.

Kapelan pobożny i mądry (a takich zwykle wybierano), jakby drugi ojciec wchodził w rodzinę, którą codzień w swych modłach polecał opiece Boskiej. Dzielił

z nią złe i dobre chwile, uspakajał domowe rozterki, karciał i hamował częstokroć możno-władcze pana zapędy, słowem, posiadając miłość i zaufanie wszystkich, utrzymywał pokój, zgodę, swobodę i religję w domu.

Takim był ksiądz Daniel. Do tych przymiotów swego stanu, łączył on jeszcze szczere i serdeczne przywiązanie do rodziny Sołohubów, których był nawet krewnym dalekim, kochał i czczył starościnę, poważał bardzo starostę, kochał czule, jakby ojciec Marję, której tajemnic wiary świętej nauczał, lubił nawet Wołkanowskiego, bo odeń głębokiego synowskiego uszanowania codzienne odbierał dowody, był on zatem duszą Ilskiego dworu.

Ksiądz Daniel był jezuitą. Czuję ja, że na to imię nie jeden z czytelników moich, powszechnem napełniony uprzedzeniem o tym zakonie, w charakterze cnotliwego i pobożnego kapłana, z trudnością upatrzeć będzie mógł jezuitę. Wszakże w czasie, do którego odnosi się ta powieść, największa część magnatów naszych miała domowych kapelanów z tego zgromadzenia. Przypuścić zatem niepodobna, aby zakon ten cały, z którego wyżsi oświeceniem, a pobożni ludzie wybierali sobie stróżów sumienia, składał się tylko z chytrych intrygantów i stronników jedynie swej instytucji. Nie tu miejsce rozwodzić się szerzej o tym przedmiocie, w rozmaitym już względzie nie raz rozbieranym, chcę ja tylko wzmianką tą strącić z drogi wyobrażeń czytelników moich myśl, któraby w obrazie cnót i świętobliwości przedstawionego przezemnie kapłana, cień niejakięś wątpliwości rzucić mogła, zresztą, w ogólności dodam, że zakon, który dał Polsce Piotra Skargę,

Sarbiewskiego i wielu innych znakomitych obrońców wiary naszej, nie zasługuje na bezwarunkowe nienawistne wspomnienie.*)

Przeszło dni kilka spokojnych w Illii. Dwór był smutny jakby w żałobie. Przybyły doktor z Wilna nie odstępował starościny, ona wszakże w modłach i pobożności, w którą ją pogrążył ksiądz Daniel, więcej spokoju, a zatem i sił, niżeli w jego medykamentach znajdowała, pocieszał ją cnotliwy ten kapłan upewnieniem, że wkrótce wiadomość o córce będzie miała, i przygotowywał do spotkania się z mężem, którego codzień oczekiwano.

*) Jezuici w naszym kraju, nie mieli wprawdzie powszechnej sympatii, którą im inne zakony, zazdrośnie ich powodzeniu i przewadze, w klasie zwłaszcza średniej obywatelskiej, psuć starały się, ale też nie mieli i powszechnej nienawiści; zatem po skasowaniu ich nie było żałoby, ale też nie było i powszechnego, jak gdzie indziej, naigrawania się. Naród przyjął upadek instytucji ze zdumieniem, ale jej członków wychodzących gromadami ze wspaniałych klasztorów, spotkał jak braci swoich, jak ziomek i kapłanów i każdego po szczególe chlebem powszednim opatrzył. Jezuici polscy ponieśli tu pokutę za braci swoich zagranicznych, bo nie sięgając w głębszą przeszłość, w ostatniem stuleciu ich istnienia, nie wdawali się oni w żadne głębsze polityczne intryki któreby rząd kraju zakłócić, obrazić lub zatrwożyć mogły, wpływ ich dosięgał wprawdzie możnowładze rodziny, w których wielu jeszcze swoich wychowanców i uczniów liczyć mogli, lecz w ostatnich czasach i ten wpływ się zmniejszył, już to wzniesieniem się odmiennej opinii we względzie wychowania młodzieży, szerzonej szczególnie przez Pijarów, do których konwiktów znakomitsze domy oddawały swych synów, już to rozwinięciem się ogólnych wyobrażeń oświecenia niezgodnych z jezuicką rutyną. Pamiętam, że za młodu słyszałem, jak wspominając o skasowanych jezuitach, nazywano ich zakon „Kabak na rozumy“, to jest, że zgromadzając oni u siebie i garnąc mądrość wszelaką, wydzielali z niej pod miarą i wagą cząstkę narodowi i to jeszcze na własny gatunek przerobioną, definicja ta popularna, po większej części była sprawiedliwą, lecz gdy Kabak podjęto, zapasy mądrości tam nagromadzone rozlały się po

Nakoniec przyszła ta chwila, i jednego ranku, gdy ledwo słońce wschodzić zaczynało, ksiądz Daniel siedząc na ganku i szepejąc pacierze, postrzegł w lipowej ulicy pojazd, który wnet stanął przed gankiem i wysiadł zeń starosta.

Spotkał go ksiądz Daniel, twarz jego zmienioną była, ale więcej w niej zapamiętania niżeli troski się wydawało, smutek mężczyzn bliższy gniewu, smutek kobiet bliższy łez.

— Jak się ma moja żona? zapytał nie witając się nawet, pisałeś do mnie, że słaba, a oddychał głęboko, jakby się umordował.

— Właśnie chciałem najpierwszy spotkać i przestrzedz pana, rzekł ksiądz, że staroscina potrzebuje wielkiej spokojności, i że każde wzruszenie mocne, może ją o niebezpieczeństwo życia przyprawić, tak mówi pan Baranek*) który tu od dni pięciu siedzi, a i bez niego łatwo to poznać.

kraju i weszły do powszechnego użycia. Skasowanie zatem jezuitów nie usprawiedliwione tu wprawdzie żadnymi głównymi przyczynami, przeciw nim gdzieindziej świadczącymi (Paraguay), podwójną jednak przyniosło korzyść narodowi, raz, dając ogromne fundusze na edukację krajową, powtórę, dając pobożnych i uczonych ludzi, którzy uwolnieni z pod obowiązków, jakimi ich reguła i prawa zakonne obarczały, gorliwość tylko kapłańską i naukę z cel klasztornych wyniosłszy i stosując ona do nowych widoków i pojęć, wsparli liczbą i światłem wyższe zwłaszcza narodowej instrukcji zakłady. W niedawnych czasach pojawiła się u nas jakaś niespodziana literacka krucjata przeciw nieobecnemu nieprzyjacielowi, to jest przeciw jezuitom, wzbudzona bodaj odbiciem się prelekcji antyjezuickich, w Paryżu z katedr głoszonych, ale wkrótce ustała wojna, dla braku oporu nie istniejącego nieprzyjaciela i zda się, że już się u nas więcej nie wznowi, chyba wzmianką w dziejach, które każdy fakt spełniony do swej treści garną.

*) Najślawniejszy ówczesny doktor w Wilnie.

— Więc sprowadziliście Baranka?

— A wszakżem pisał do pana, że rozstawionemi końmi po niego wysłałem, lękając się o starościnę.

— A tak, zda mi się, że to jest w twoich listach; więc moja żona słaba?

— Choroby żadnej wyraźnej nie ma, nawet róża przeszła, ale stoi ona na tym śliskim punkcie, z którego najłżejsze popchnięcie w grób ją pograży. Czeka pana niecierpliwie i z bojaźnią, szczęście, że rankami usypia trochę, bo sam turkot przyjazdu pańskiego jużby ją gwałtownie wzruszył, ja nie przestawałem dzień i noc pilnować, abym pana spotkał, i polecił miłości twej małżeńskiej panie starosto, życie twej małżonki.

— Wychowałem węża! zawołał zapalczywie starosta, który mię śmiertelnie ukąsił... ale, ale chyba mi śmierć oczy piaskiem zasypie, mówił konwulsyjnie ściskając pięście, będzie jeszcze jeden trup w tej przeklętej rodzinie!...

— Wejdźmy, przerwał ks. Daniel, do pańskiego gabinetu, nie budząc starościny, gdy się ocknie, pierwsze jej pytanie jako i zawsze będzie, czyś pan nie przybył?

Weszli więc do środka, dworscy na dziedzińcu zdaleka patrzali na to, nie śmiejąc zbliżyć się i powitać pana.

* * *

Godzinę mogła trwać konferencja starosty z ks. Danielem, do której wezwano i doktora. Oczekiwano chwili obudzenia się starościny i starosta walczył sam z sobą, aby się ile można zdobyć na spokojność, i

spotkaniem nie dobić żony... gdy nagle i niespodzianie drzwi się odemknęły i ona weszła... Prerażony starosta spojrział na nią... serce mu się zatrzęsło...

Ona podniosła nań oczy, a wspierająca ją panna zaledwo ją utrzymać mogła... W mgnieniu oka taka głęboka miłość, żal i litość wzajemna objęła ich oboje, że słowa nie przemówiwszy, jakby niewidomą ręką ku sobie popchnięci, już byli w objęciach... płacz ich głośny, rzewny, jękami przerywany, rozległ się nateczas. Ks. Daniel, łkający sam, nie mógł koić nieszczęśliwych; doktorowi nawet łzy strumieniem płynęły.

Nakoniec starosta składając żonę na kanapie rzekł, ty przynajmniej zachowaj się dla mnie!

— A ona... a ona!... ozwała się zaledwie przemówić mogąca starościna, ona mówiła, że umrze kiedy jej powrócić nie dozwolimy, że nas kocha...

Na to wspomnienie, płomień zalany łzami, buchnął na nowo w staroście, krew czerwonymi plamami zarumieniła bladą twarz jego, już, już miał zbluźnić Bogu, lub przekląć swe dziecko... ale kapłan spojrział nań... spojrział nań wzrokiem, jakim wybrani tylko słudzy pańscy są obdarzeni, jest to wzrok ducha, którego oko jest tylko zwierciadłem, przed którym topnieją namiętności ludzkie, który zwrócony na człowieka wraza mu miłość i pokorę, zwrócony ku niebu, jedna dlań pokój i miłosierdzie. Wzrok to Chrystusa na krzyżu, pocieszającego matkę na ziemi, i błagającego Ojca w niebiosach! Czyż wzrok taki ludzkiemi słowy opisać się może...

Urokiem czy potęgą wejrzenia tego, bo się wyrazić

nie umiem, dotknięty starosta, ochłonał i najtkliwszemi zakłęciami błagał żony, aby zdrowie swe szanowała, a gdy Baranek nalegał, by cały ten dzień została w łóżku, i żywe swe wzruszenie uspokoiła, przeto sam starosta odprowadził ją do jej sypialni, i wzajemne troskliwe i czułe o zdrowie swe odebrawszy prośby, powrócił do swego gabinetu, i rzucił się na kanapkę, chcąc zmęczone podróżą, niewczasem i wewnętrznem udręczeniem siły pokrzepić.

* * *

Dnie smutku w Illii wlekły się leniwie, dworzanie snuli się jakby ospali. Tymczasem starosta chciał koniecznie dośledzić, kto we dworze, szczególnie z kobiet, które podejrywał bardziej, mógł pośredniczyć między jego córką a Wołkanowskim? Mniemał on, że miłość, która ją aż do opuszczenia domu rodzicielskiego doprowadziła, musiała mieć powierników, musiała mieć ułatwione osobiste wyznania i układy ucieczki, musiała mieć tajną korespondencję, słowem, musiała przechodzić wszystkie symptomata i konieczne, a zwyczajne swe koleje. Nie pomyślał on, że uczucie to jak pożar nagły, częstokroć w jednej chwili tuż się i wznieca i wzmacnia, że promieniejąc z serc i z oczu zakochanych, ożywia się i komunikuje wzajemnie, że jedno słowo między niemi wyrzeczone niedosłyszany przez świadków półgłosem, więcej znaczy i stanowi, niżeli tysiące przez powierników.

Brał on więc kilkakrotnie na ścisłe egzamina Połębską, jako najbliższą służbę i ochmistrznę Marji. Lecz

tej łyzy i rozpacz przekonywały dostatecznie, że nie tylko współniczką nie była, lecz nawet przypuścić sobie do głowy nie mogła ściślejszego między zakochanymi porozumienia; a nawet zbliżanie się częste na pokojach Wołkanowskiego do Marji, ze zwykłą przenikliwością kobiecą, niebezpiecznym i nieprzyzwoitem być sądząc, pierwsza ostrzegła starostę, i skutkiem właśnie tej przestrogi, Piotr tak nagle i niespodziewanie ze dworu wyprawionym został.

Nie uszły także podejrzeń i pytań panny respektowne; ale były to dziewice szlachetne, towarzyszki Marji, lecz starsze od niej wiekiem, niektóre i o lat kilkanaście, dzieliły one smutek dobroczyńców swoich, ale samo to podejrzenie tak ich dojęło, że żądały dozwoleń powrotu do swych domów, na co w obecnym stanie zgodzić się niepodobna było, gdyż każda z nich czułem staraniem około starościny, córkę jej zastąpićby chciała. Z kolei dziewczęta pokojowe przeszły przez również badania, ale i te płaczem tylko na prośby i groźby pana odpowiadając, oprzysięgały swą niewinność. Nakoniec ksiądz Daniel, obecny wszystkim tym inkwizycjom, zapytał raz uroczystym głosem:

— Czego to śledzisz, panie starosto?

— Dziwne pytanie! odpowiedział on.

— Nie, nie dziwne, mówił ksiądz, bo szukasz sam dobrowolnie jadu, którym masz zalać i zajątrzyć jeszcze gorzej ranę twojego serca.

— Nie rozumiem cię, rzekł Sołohub.

— Szukasz zemsty. Dotąd jesteś nieszczęśliwym, a chcesz zostać prześladowcą! Dotąd możesz z czystym

sumieniem wznieść oczy do Boga i błagać jego łaski i wsparcia, a chcesz sumienie twe tak obciążyć grzechem, abyś oczu na ołtarz Pański wznieść nie mógł.

— Jakto, księże Danielu! Mamże spokojnie bez dosledzenia i kary zostawić tego, który pomógł do naj-sroższego mego nieszczęścia? do zguby mego domu, do okrycia nas hańbą i wstydem? Księże Danielu! ja tego wymówić nie mogę, ale... tu w najwyższym wzruszeniu drżąc cały, rzucił się na kanapę.

Książdz przetrwawszy to mocne wzruszenie starosty, rzekł znowu:

— Więc kiedy chcesz koniecznie znaleźć winnego, ja ci go wskażę.

— Kto? niecierpliwie powstając zapytał starosta.

— Ty sam, wymówił poważnie kapłan.

— Błóżniesz, księże!

— Nie, nie bluźnię... Ty sam! to jest twoja pycha, która cię zaślepiała i która tak wysoko Sołohuba, a tak nisko Wołkanowskiego w oczach twych stawiała, że ci i na myśl nie przyszło że ten młodzieniec ma serce, i że twa córka ma je także; gdybyś był mniej dumnym, byłbyś ostrożniejszym w ich wieku...

— Jak to? chcesz więc i jego usprawiedliwić? przerwał starosta. Prawda, nigdy sobie nie pomyślałem, aby taka zuchwałość mogła w nim powstać, lecz gdy ma nieostrożność potępiasz, czemu nazwiesz jego postępek?

— To jego winy nie zmniejsza bynajmniej.

— A ona! ona! mówił coraz bardziej rzewniąc się starosta, ona, nasza pociecha jedyna, ona chluba nasza, moja pieszczota, ona moja nadzieja! Ona niewdzięczna,

tu łzy mu się polały. Oh! księżu Danielu, nie jesteś ojcem, nie znasz jaki cios sercu rodzicielskiemu zadaje niewdzięczność dzieci!...

— Ona nieszczęśliwa teraz, kończył ksiądz Daniel, podniecając czułość ojcowską, ona krwawemi łzami płacze teraz zapewne po rodzicach.

— Nie, księżu Danielu, nie! daj mi pokój, ona nie myśli o naszych męczarniach; nie myśli, że nam grób własnymi rękami otworzyła! o Boże daj mi zapomnieć to wyrodne dziecko...

Ksiądz Daniel wznosił oczy w górę i przeciwną w myśli ofiarował Bogu modlitwę, a ucieszony w duchu, że czulsze wspomnienie córki w sercu starosty obudziło się, że tkliwą łzę w oczach jego ujrzał, zaczął od tej chwili przypuszczać nadzieję, że przyjdzie czas gdy za pomocą Bożą duma się miłością pokona.

Z poszukiwań tych wszakże utwierdziła się ta pewność, którą już wprzód Abraham odkrył i księdzu Danielowi objawił, że Kulesza nietylko do ślubu i do ułatwienia ucieczki, czego wielu było świadkami, pomagał, ale że Wołkanowski, oddalony przez starostę, nie do rodziców swoich lecz do niego się udał, że z nim razem jeździł do Horodyszcza dla zawarcia kombinacji z właścicielami ówczesnemi Sieliszcza, że wziął od nich ugodań kilkaset czerwonych złotych, a ugodań tę doprowadził i pisał nawet Kulesza, bo był zawołany prawnik. Na niego więc miał wyrzucić całą swą zemstę starosta, i gdy właśnie szukał ku temu sposobów i projektów, przyjechał do Illii tenże sam Kulesza, trupem, bo nagłą śmiercią zabity, co mu za karę boską policzył starosta.

Tymczasem ksiądz Daniel niecierpliwie oczekiwał powrotu wiernika Abrahamowego, tem bardziej, że staroscina żyła tylko nadzieją tej wiadomości i codzień o nią się dopytywała. Starosta milczał, nie wspominał córki, ale czy to za przykładem żony, czy to ze zmartwienia tłumionego wewnątrz, znabożniał bardzo. Codzień słuchał w kaplicy Mszy św., odmawiał różaniec i tym podobnie, do czego dawniej nie bardzo tęsknił, a jeżeli kto z sąsiedztwa odwiedzał dom ten, niedawno tak uprzejmy i otwarty, to albo nie widział się z gospodarzem, wymawiającym się słabością zdrowia, albo gdy przybyły był takim, że go koniecznie przyjąć trzeba było dla jakiego interesu, to z pierwszego wejrzenia na starostę litość brała gościa, tak, że sam skracał chwile udęczających odwiedzin. Ku żonie tylko, która się nieco podźwignęła ze swej słabości, podwoiło się w nim przywiązanie i tkliwość, snąc ona w nim teraz zajęła całe serce, rozdzielone dotąd na dwoje drogich mu istot. Starosta pielęgnował ją, pieścił najczulej, a gdy ją rozrzewnioną i płaczącą obaczył, tulił do swych piersi głowę jej i najtroskliwiej o folgowanie zdrowiu błagał. Lecz tego, coby ją jedynie pocieszyć mogło, to jest myśli swych o dziecku zawsze jej drogiem, nigdy nie odkrywał, ani wspomniał, więc i ona nie śmiała wymówić jej imienia, a tak milczeniem, jak żałobnym całunem pokrywali oni oboje między sobą przepaść, której zgłębić jeden nie miał woli, a drugi siły.

Ks. Daniel, baczny na każdy krok starosty, jak doktor uważający każdy symptomat chorego, każde tętno jego puls, i znający głęboko serce ludzkie, lubo się

cieszył tem nabożeństwem i tą miłością jego dla żony, nie jednak pomyslnego nie wróżył ztąd jeszcze dla córki. Mniema on, myślał w sobie mądry kapłan, że ich dwoje tylko zostało dla siebie na świecie, wspiera ją i pielęgnuje, bo jej miłością chce siebie napełnić, a własną miłością dla niej, zatrzeć w jej duszy uczucia matki... Nieborak! źle kalkuluje, myli się i o sobie i o żonie, bo chce zwyciężyć naturę, ale zły to znak; bo pobudzając się do jednej, choć najpoczciwszej miłości, usiłuje zapomnieć drugiej... garnie się i ucieka do Boga, bo światu i ludziom nie śmie zajrzeć w oczy, bo się wstydzi upokorzenia. Oh! modlitwy jego nie jednostajnej intencji z żoną... daleko z nim jeszcze do końca!...

Pierwsza wiadomość.

Tak upłynęło parę miesięcy. Ks. Daniel codziennie pod wieczór odbywał przechadzkę do miasteczka, i albo zachodził do Abrahama, lub się z nim w ulicy spotykał, dla nieznacznego komunikowania się. Hirszki jak nie było, tak nie było, niecierpliwiającego się Abraham uspakajał, mówiąc: Mości księżu dobrodzieju, Hirszko darmo nie siedzi, daleko widać oni zajechali.

Nakoniec, pewnego piątku, wchodząc z jednego końca do miasteczka, ks. Daniel, spostrzegł w drugim pędzącą szybko brykę, z pospiechu i smagania koni domyślił się, że jedzie żyd jakiś spieszący na szabas już zapadający, a przecuciem zgadł, że to Hirszko. Niżeli doszedł do karczmy, w której mieszkał Abraham, już bryka stanęła przed nią, a mała i większa rodzina

Abrahama witała krzykiem wysiadającego z niej Hirszka, wyszedł i sam Abraham, a zbliżył się ks. Daniel.

Po serdecznem między żydami sałamechem, Abraham zaszwargotał coś po swojemu, Hirszko kiwnął głową, Abraham pogładził brodę i toż samo kiwnięcie, poważniej tylko i z wesołem wejrzeniem oddał ks. Danielowi.

— Giej a wek! krzyknął on potem na tłuście dziatwy ich otaczającą i rozpierzchnęli się wszyscy. Hirszko wyjął z wozu worek skórzany, w jakim zwykle żydzi chowają starannie w podróży swe modlitewne szaty i poszedł za Abrahamem, który także i na ks. Daniela skinął. Serce mu biło gwałtownie, gdy wszedł do osobnej i czystej izby, zachowywanej przez Abrahama na konferencje handlowe i talmudowe, w dniach uroczystych rozmyślenia.

— Cóż, mój kochany Hirszku? cóż? zapytał on niecierpliwie, czy żywa? czy zdrowa?

— Nu, a czemu nie ma być żywa i zdrowa? odpowiedział zimno i spokojnie żydek, odwiązując swój worek, z którego dostawszy list: Nu, to od niej, i podał ks. Danielowi.

Ten, aż ścisnął z radości Hirszka, a ujrzawszy na adresie, że list był do starościny, schował go.

— Aj wej mir, jaki strach? ja u nich cały tydzień gościł.

— Gdzież oni?

Tu trzykrotne uderzenie młotkiem w okiennice:

— Giej a szule! wrzasnął szkolnik.

— Z przeproszeniem godności pańskiej, mości księżę

dobrodzieju, rzekł Abraham, trzeba nam iść do szkoły, jutro wieczorem po szabasie, jegomość dobrodziej pofatyguj się niby jak zawsze spacerem do nas, to Hirszo wszystko rozpowie, a nagle obracając się do wiernika, zapytał:

— Herst du, a konie i furman zkąd?

— Z Mińska, Rebe Abraham, a do Mińska nająłem ze Świstoczy, a do Świstoczy...

— Ganc gut, rebe Hirszo, ganc gut! i śladu nie ma.

Ks. Daniel pospieszył do dworu i jeszcze tegoż samego wieczora znalazł chwilę, w której zostawszy sam na sam ze starościna, dał jej list od Marji. Nie będziemy opisywali stanu jej, gdy go drżącą ręką otwierała, gdy czytając najtkliwsze wyrazy miłości, najrzewniejsze żądanie miłosierdzia i przebaczenia, najgłębszy żal i pokorę, obfitemi go skrapiła łzami... gdy niezdolna w tym momencie do długiej modlitwy, wymawiała z najczulszem westchnieniem, przyciskając list do piersi: Boże! dzięki tobie! ona żyje! ona nas kocha jeszcze! Boże dzięki tobie!... I pierwszy raz ks. Daniel ujrzał na jej twarzy, dobrotliwy, że tak powiem, uśmiech, jaki się pokazuje na udręczonych obliczach, gdy wśród nieprzerwanych czarnych godzin życia, pierwsza nadzieja promieniem błysnie... Znika on wnet, bo odwykł od lic na których dawno gościł, tonie w niepewności i trwodze, nim coraz częściej zsyłając go z nieba Bóg, jasnością szczęścia nie obleje rozpogodzonego czoła.

W przypisku Marja oznajmiła, że mieszka w domu krewnego jej męża, że jej na niczem nie zbywa, a

nakoniec polecała się modłom i pamięci swego duchownego ojca, ks. Daniela. On wzruszony i niespokojny, aby się przed czasem nie wydała tajemna matki z córką komunikacja, błagał starościnę, aby panowała nad sobą i odkrywszy jej natenczas, że pociechę tę winna była życzliwości Abrahama, a przyrzekając na jutro przynieść jej dalsze szczegóły, których, jak to widzieliśmy, i sam się jeszcze nie dowiedział, zostawił ją spokojniejszą i żegnającą w tę stronę, gdzie była jej córka.

Sklep zaklęty.

Nazajutrz ks. Daniel czekał gwiazdy na niebie, i gdy pierwsza migotać zaczęła, udał się znowu do miasteczka. W połowie lipowej ulicy spotkał on Taturę, wracającego właśnie z miasteczka.

— Kłaniam uniżenie, rzekli sobie wzajemnie. A jegomość dobrodziej, mówił Tatura, codzień jak uważam z paciorkami spacerujesz sobie wieczorem po tej ulicy.

— A tak, kochany panie marszałku, tak, ale zkadże to waćpan wracasz?

— Z miasteczka mości dobrodzieju, rozkazałem tam jednemu tatarowi gotować się do drogi, bo pan starosta ma go wysłać na Białoruś, z listami do swego tam krewnego, podczaszego Sołohuba, który tu, jak zapewne pamiętasz jegomość dobrodziej, przed dwoma laty był w gościnie.

Ks. Daniel zastanowił się. A kiedyż to wyślecie tego tatara? zapytał.

— Nie wiem dnia, odpowiedział Tatura, zalecił tylko starosta, aby był gotów.

— Dobranoc, panie marszałku.

— Dobranoc, jegomości dobrodziejowi. Rozeszli się.

Marszałek szybkim krokiem poszedł do dworu, a ks. Daniel przeciwnie zwolnił kroku, bo projekt ten starosty utkwiał mu w głowie i dał powód do rozmyślań głębokich.

Ten pan podczaszy, rozpamiętywał on zatem idąc powoli, prawda, był tu przed dwoma laty, i miał z sobą synka; piękny chłopczyk, mógł mieć wtedy lat ze dwanaście, starosta podobał go sobie, i pamiętam że mi raz powiedział: Ot księżu Danielu, gdyby ten chłopak był o lat dziesięć starszym, dałbyś mu ślub z naszą Marją... Ha! cóż on teraz zamyśla? po co posyła do podczaszego?... łatwo zgadnąć, nieszczęśliwy! sam siebie dręczy, i sam siebie ludzi... chce przybranem dzieckiem rodzone zastąpić, biedny! biedny!... wieleż to boleści szarpie mu duszę!... Niewdzięczność dziecka, wyznał mi to, sroga to boleść!... pojmuję to, pojmuję, chce mścić się nad tem co kocha... jak wydrzeć serce z łona i wstawić tam drugie? Boże! zlituj się nad nim!

Właśnie przy tem wezwaniu ks. Daniel ujrzał się przed kościołem, który miał pomijać, zastanowił się więc, otworzył furkę u bramy, i upadł na kolana na głazach, przed drzwiami świątyni.

Widziałbyś natenczas, przy jasnym świetle księżyca, niewzruszoną tę postać, jakby pomnik kamienny tych, którzy u progu kościoła pod temi płytami spoczywali. Modlił się on głęboko, modlił się więcej duchem niż

słowami, i gdy na końcu bijąc się w piersi: „Boże bądź miłościw nam grzesznym!“ trzykrotnie z jękiem i łkaniem powtarzał, słysząc, pomyślałbyś, czy zrozumiał, że ręką tą kapłańską wiara, nadzieja i miłość, każda po kolei, w uniesione ku Bogu serce uderza.

* * *

Wszedłszy do izby już od wczoraj mu znanej, ks. Daniel znalazł Abrahama siedzącego nad otwartą wielką księgą, kilkanaście świeczek dogorywających w wielkim mosiężnym żyrandolu, wiszącym na środku izby, niepewnym migotało blaskiem, na stole zaś białym i cienkim obrusem przykrytym, jaśniejsze świece w siedmioramiennym srebrnym świeczniku gorzały, sam poważny morejne, w tejże samej czarnej atlasowej, na srebrne haftki zapiętej czamarze, z czapką sobolową na głowie, siedział głęboko zaczytany w księgę.

— Przepraszam, rzekł wchodzący, przerywam, panie Abrahamie, ale zdaje się, żeś już szabas skończył; nawet rozumiałem, że się spóźnię, bo się trochę pomodliłem przed kościołem.

— I u nas dziś w szkole nasz rabin wywoływał modlitwę na tę biedę naszych panów, rzekł Abraham witając księdza, a potem wszyscy szli do dziesięcióra, wszak to wszystko pójdzie do tegoż samego Pana Boga, czy po hebrajsku, czy po łacinie, czy po polsku. Czy to źle, mości księże dobrodzieju?

— Oh! nie źle, nie, panie Abrahamie, kto Boga chwali i kocha a ludziom dobrze czyni, temu i w błędach Bóg miłościwym będzie.

Żyd spojrział na księdza, dobył tabakiery, przecierał ją, zażył potem kilka szczypt raz po raz, nakoniec kiwnął głową. Siadaj jegomość, rzekł.

— A Hirszko gdzie? zapytał siadając ks. Daniel.

— Hirszko odpoczywa po drodze, odpowiedział Abraham, ale on mnie wszystko pogadał, a ja jegomości przepowiem.

Dowiedział się więc ksiądz Daniel, że zbiegli zajechali aż w Sandomierskie, do rodziny Wołkanowskiego, że tam znaleźli kilka domów pokrewnych jemu, i że mieszkają teraz u jednego z nich w Wielkich Wołkanach, obywatela dostatniego i bezdzietnego, także Wołkanowskiego, że im na niczem nie zbywa, co już i z listu Marji wiadomem było, owszem, że ją bardzo szanują wszyscy i pocieszają, że niewymownie uszczęśliwioną była, gdy ujrzała i poznała Hirszkę, którego od dnia do dnia przez cały tydzień zatrzymywali, a gospodarz domu wypytywał się go sam na sam o wszystkim, i potem tem bardziej Marję jako córkę znakomitego rodu czcić zaczął, że Piotr ani na chwilę od żony nie odstępował, że nakoniec oboje najusilniej prosili Hirszka, aby do nich znowu przyjechał, i odpowiedź od matki im przywiózł; że mu dawali pieniądze na podróż, i za teraźniejszą nagrodzić chcieli, lecz dowiedziawszy się, że go Abraham własnym domysłem i własnym kosztem wyprawił, Marja kazała Hirszce aby mu powiedział, że mu tego dobra, które jej wyświadczył, nigdy nie zapomni, i nakoniec prosili go, aby błagał od nich litości i pomocy ks. Daniela, któremu los swój i nadzieje poruczali.

Wysłuchawszy pilnie tego opowiadania, ks. Daniel powiedział, że i starościna poleciła mu toż samo powiedzieć, że nigdy jego postępku życzliwości nie zapomni.

— A widzi jegomość dobrodziej, z przeproszeniem godności pańskiej, rzekł natenczas żyd, gładząc brodę że choć żyję w błędzie...

— Rozumiem, przerwał ks. Daniel, rozumiem i przepraszam cię pokornie, pocziwy panie Abrahamie, a to mówiąc uściskał mu rękę tak szczerze, że żyd zapomniał gniewu i rzekł: Oh! Jegomość dobrodziej prawdziwy ksiądz, bo i mądry i pokorny, a co mówi Salomon: „Lepsza jest mądrość, niżeli moc, a pokora nachyli ku sobie serce królewskie.“ U nas takich rabinów mało, bo kiedy który nauczny, to jemu krukiem nosa nie dostać.

— Ale cóż będzie, panie Abrahamie, czy Hirszko pojedzie znowu?

— A pojedzie, i dziesięć razy pojedzie, byle list od pani starościny.

— Ufam w Bogu, że go otrzymam, rzekł ksiądz, kosztu wszelako na to nowego nie podejmiesz, panie Abrahamie; zaradzimy temu.

— A co jegomości do tego? Czy Abraham Ilski prosił kiedy jegomości dobrodzieja pieniędzy? przepraszam godność pańską.

— Nie, ależ koszta na tak długą podróż nie małe być muszą, i fatyga twego wiernika nie może być bez wynagrodzenia, a starościna nie zgodzi się abys tak dla nich ekspensował się.

— Aj! aj! odpowiedział Abraham trzęsąc głową, czy pójdzie ona prosić pieniędzy u męża na drogę dla Hirszka, wiernika Abrahama, jadącego do jego córki. Oj! oj! a Sołohub dowiedziawszy się o wszystkim, i Abrahama i Hirszka i cały kahał Ilski przepędzi gdzie pieprz rośnie. Czy ja go nie znam? kiedy on w gniewie, to mości księżę dobrodzieju, gorszy od hamana.

— Starościna ma swoje własne dochody i żadnego rachunku z pieniędzy swoich mężowi nie zdaje, rzekł ksiądz Daniel. Ja jestem jej podskarbin, panie Abrahamie, bo większa część tych dochodów przez moje ręce biednym się rozdziela, więc nie potrzebuje prosić męża o pieniądze. Wszakże i Illia jest jej dziedzictwem, wiesz o tem zapewne, boś tu jeszcze pod Radziwiłłami mieszkał.

— No to i owszem, mości księżę dobrodzieju, to ja będę miał z kim się rachować, a kiedy nie ja z panią, to moje dzieci z jej córką, mówił uśmiechając się.

Ks. Daniel pokręcił głową, bo mu przyszły na myśl projekta starosty, które zgadywał, wydziedziczenia córki.

— Ha, panie Abrahamie, rzekł więc, nie tak bardzo ufaj temu, bo co mają rodzice, mogą nie mieć dzieci, zwłaszcza gdy przeciw woli ich postępują, mogą natenczas rodzice wydziedziczyć niewdzięczne swe potomstwo.

— Jak to wydziedziczyć? przepraszam godność pańską, ale ja tego nie rozumiem.

— To jest, panie Abrahamie, fortunę swoją oddać czy zapisać komu innemu, na przykład krewnym, a nie dzieciom własnym i przyznam się waćpanu, że się boję bardzo czy to i staroście po głowie nie chodzi.

— A czy to u panów w religii można? zapytał Abraham.

— Dalekoby to panie Abrahamie tłómaczyć ci, jak? kiedy? i za co? tak się zdarza u nas czasami, kiedy niebłogosławieństwo Boskie padnie na dom jaki.

— Bo u nas, mości księżu dobrodzieju, nie tak; a choćby kto miał djabłów dziećmi, to po śmieci jego i oni swój spadek wziąć muszą koniecznie.

— Jak to djabłów dziećmi? chyba chcesz mówić dzieci tak złośliwych jak złe duchy, ale na co ich wspominasz, panie Abrahamie.

— Nie, nie, mości księżu dobrodzieju, to prawda co ja mówię; są dzieci, które rodzą się djablami, a rodzą się bez matki.

Książd ścisnął ramionami.

— Tak nie dawno było w Wilnie, i nasz rabin Elias, a po naszymu Ella, który chwala Bogu żyje i teraz, sam odsądzał co im po ojcu należało. Jegomość dobrodziej wiesz zapewne, bo wszyscy wiedzą, że takiego drugiego rabina na całym świecie nie ma... to prorok *).

— O tym waszym mądrym i, jak powiadają, bardzo pocziwym rabinie słyzałem, ale prawisz mi panie Abra-

*) W rzeczy samej, sławny to był w owym czasie rabin wileński; dziś on jeszcze jest pamiętny u żydów i portret jego nie u jednego znaleźć można obok Patrjarchów na ścianie umieszczony. Mniemanie jest między nimi, że Elias zostawił wiele pism proroczych, w których przepowiedział wszelkie wypadki ziemskie dni naszych i dalsze dalekie, ale ogłaszać tego nie dozwolił do pewnego zakreślonego czasu, który naturalnie jeszcze nie doszedł. Stanisław August, w podróży swej do Petersburga, przejeżdżając przez Wilno, chciał widzieć Eliasza i rabin ten mu się przedstawił. Historja tu opisująca się, jemu rzeczywiście przez żydów jest przyznawaną.

hamie baśnie i dziwię się, że sam będąc człowiekiem rozsądnym im wierzysz.

— Przepraszam mądrość pańską, ale to nie baśnie, ani bałamuctwo, nie; ja opowiem jegomości dobrodziejowi wszystko jak było.

* * *

— Trzeba jegomości wiedzieć, opowiadał zatem Abraham, że u nas tak stoi w piśmie, że kiedy który żyd popełni grzechy wielkie, takie, za które Bóg na Sodomę i Gomorę siarczasty ogień dopuścił, to z każdego grzechu staje się djabeł, który jest rodzeniutętkim synem tego żyda.

Ks. Daniel pokręcił głową, poczuł bowiem, że morał tej idei, czy to wyrażający figurycznie, że z ciężkiego grzechu nowy zwykle grzech się rodzi, czyli dla grozy i odrazy od występków, chociaż zabobonnej treści, zawsze jednak pożytecznie był pomyślany. Abraham tymczasem przecierał swoją tabakierę i poważnie z niej zażywał, do czego zwykle się uciekał, gdy cokolwiek z namysłem miał mówić.

— Lat z dziesiątek temu, mości księżu dobrodziej, kontynuował więc, umarł w Wilnie żyd Mendel, tak sobie po średniemu, ni to bardzo bogaty, ni to ubogi, miał jednak swoją własną kamienicę na końskim targu, a pod nią było kilka pięknych sklepów, więc tam kupcy składali różne swoje towary, i to był największy jego dochód, z którego on żył pod starość, bo miał trzech synów, a jak wszyscy pożenili się, to zajęli wszystkie stancje, tak, że i ojcu było ciasno.

Po śmierci Mendla, synowie jego podzielili się kamienicą, starszy wziął sklepy i ojcowską stancję, drugi pierwsze piętro.

— No to i dobrze, rzekł ks. Daniel.

— Oh! i jak dobrze, gdyby tak i zostało się, ale jak tylko każdy wstąpił już do swojego, tak pierwszej zaraz nocy w sklepach zaczął się taki harmider, taki hałas, taki stuk, że poprzelękali się wszyscy. Zapalili więc świece i poszli patrzeć co tam jest. Nie znaleźli nikogo, ale wszystkie towary, wszystkie beczki, skrzynie i paki, powywracane i porozbijane, jak po jakim rabunku, opatrywali oni wszędzie, czy nie było jakiego lochu, kędyby ktokolwiek włazić mógł, a nie znalazłszy żadnego śladu i nie wiedząc co to znaczy, poprzybie-rali i poskładali towary jak mogli, i postanowili milczeć czekając co dalej będzie. Starszy tylko narzekał, że jak kupcy przyjdą po towary i znajdą popsute, opuszczają jego sklep i dochód zginie.

Rozumieli Mendelowicze, że to na jednej nocy skończy się, aż tu jako żywo, gwałt! drugiej jeszcze gorzej, biją jak w tarabany, śpiewają, grają na cymbałach, wyją jak wilki... Gwałt! powiadam jegomości dobrodziejowi...

Poznali żydki że to nie żarty, nie poszli już drugi raz do sklepów, dosiedzieli w strachu do dnia i pod dzień wszystko ucichło, a było to zimą, noc długa. Nazajutrz wszyscy z kamienic drugich, obok i naprzeciw stojących, pytali się co tam u nich w nocy było? czy hamana pędzali przed czasem? albo czy nie powarjowali z wielkiego żalu po ojcu? Mendelowicze nic na to nie

mówiąc, pobiegli pędem do rabina Elli i wszystko mu rozpowiedzieli, prosząc o radę i pomoc.

Wysłuchał wszystkiego od początku do końca, Rabbi Elias, jak państwo nazywacie. Zamyślił się potem bardzo i odpowiedział nakoniec, że sam przyjdzie na noc do ich kamienicy; ale zakazał aby nikomu o tem nie mówili. Pod wieczór zatem wyjął on z szafki na zamek zawsze zamkniętej, księgę... ale ach! z przeproszeniem mądrości pańskiej, jakże ja to mam powiedzieć jegomości, księga ta...

— Pewnie Kabała, przerwał ksiądz.

— Gwałt! zkąd to jegomość wiesz? zawołał zdziwiony i jakby przełęczony żyd.

— Ja, mój panie Abrahamie, uczyłem się niegdyś po hebrajsku, a zatem znam się potrosze z waszemi książkami, ot naprzykład ta, którą czytasz rzeķł odwracając i przypatrując się pierwszej karcie, jest Miszna, główna część waszego talmudu, i wielu duchownych naszych zna wasz język rodowity.

Abraham patrzył przenikliwie na księdza Daniela, a potem niebale i obojętnie niby. — A na cóż to potrzebne? zapytał.

— Jak to na co potrzebne? odpowiedział ksiądz, czyż my, zwłaszcza księza, nie powinniśmy znać najgruntowniej pismo, tak dla nas jako i dla starozakonnych święte, Biblię, i dla tego uczymy się niektórzy po hebrajsku, bo chcemy czytać ją nie w tłumaczeniach, ale w języku w którym była pisana.

— To i Kabałę jegomość rozumiesz?

— Kabała to nie Biblia, mój panie Abrahamie, więc

czytać jej nie mamy potrzeby, ale wiemy przecież, że w nią wierzycie.

Abraham pogładził brodę i uspokoił się, jakby stróż skarbu, gdy się przekona, że mu go nie wykradziono.

— No, mówił on dalej, nie wiadomo zresztą jaką on tam księgę wziął, ale zabrał razem i swoje szkolne szabasowe ubranie. Jegomość wiesz, Tfilim i dziesięcioro; kazał także jeszcze dwom, choć nie tak mądrym jak on sam, ale taki bardzo nauczynym rabinom iść z sobą, i wieczorem, cicho, aby nikt nie widział, poszedł do tej zaklętej kamienicy.

— Jak tylko tam wszedł, kazał bramy zamknąć. Mendelowicze, z przeproszeniem godności pańskiej, stali przed nim jak przed monarchą. On siadł za stołem sam jeden, w tej stancji, w której były drzwi do sklepów, i zegarek na stole położył; w drugiej izbie zasiedli rabini, którzy z nim przyszli, a reszta wszystkim kazał na drugie piętro ustąpić i cicho tam siedzieć, a potem zaczął czytać swoją księgę.

Pod północ znowu djabli zaczęli swój sejmik. Przepraszam jegomości, bo i szlachta na sejmikach krzyczą i hałasują jak djabli, więc i oni hałasowali, bębnil, ale słyhać było jak po razy kilka wywoływali. Rabbi Ella! Rabbi Ella! Już oni poczuli, że tu jest na nich bicz!

Ella na to nie uważając, czytał bez ustanku i na zegarek poglądał, a jak sama dwunasta doszła, wstał, ubrał się jak na nabożeństwo, zawołał rabinów, im także ubrać się kazał, a stać w milczeniu, sam zaś otworzył sklep... włosy na głowach powstały... a on z

księgą swoją w jednym ręku a ze świecą w drugim, powoli po schodach do sklepów spuszczać się zaczął.

Gdy tam wszedł, z początku stało cicho, potem krzyk: Rabbi Ella! Rabbi Ella! jakby go witali, potem znowu cicho i cicho... tylko kiedy niekiedy Ella wymawiał jakieś słowa, których ani dosłyszeć dobrze, ani zrozumieć i domyśleć się nie mogli rabini, a po tych słowach szum tylko wielki chodził po sklepie, i znowu, potem cicho... aż nakoniec i sam patriarcha pokazał się na schodach i z księgą i świecą; ale tak on był blady i słaby, że rabini podchwycili go pod ręce, wprowadzili do izby i posadzili w krześle, a sklep zamknęli.

Odpočzawszy trochę, posłał on po Mendelowiczów i rzekł im gdy przyszli:

— Słuchajcie... Nakładam chejrym! abyście pierwszej nocy po dniu Jom Kipur*) o samej 12-tej godzinie, stanęli u mnie, Rabina Elli, na sąd z tymi, którzy tam są w sklepach. Dam im także chejrym, i oni stanąć muszą, a do tego terminu, wam, chejrym na języki, im na swawole w sklepach.

To powiedziawszy, wyszedł z rabinami. Wszystko potem stało się spokojnie, żydki nazajutrz weszli do sklepów i znaleźli towary na miejscu polokowane tak regularnie, jakby nikt ich nie ruszył.

— Nu, w kilka miesięcy przyszedł mości dobrodzieju Jom Kipur, przyszła noc, żydkom chejrym na głowie. Stawaj do sądu! nie ma żartów, strach czy nie strach, a iść trzeba. Poszli więc i stanęli u patriarchy przed samą północą.

*) Jom Kipur, 10 września, dzień oczyszczenia z grzech w.

Siedział on znowu za stołem nad księgą, przybrany w swój Tfilim i z dziesięciorem na czole, przy nim siedzieli obadwa ciż sami rabini, bo zwyczajnie na sąd duchowny trzeba trzech mężów. Izba w której na ten sanchedryn zasiedli oni, była po połowie od dołu do góry suknem czarnem zawieszona, na stole paliła się jedna tylko świeca woskowa i leżał zegarek, jak stanął na dwunastej, Ella wstał i zawołał głosem wielkim:

— Wy, złe duchowie, na których chejrym nałożyłem, czy jesteście?

— Jesteśmy odezwało się kilka głosów za suknem.

— Bo tam ktoś siedział, przerwał ks. Daniel.

— Przepraszam godność pańską, czemu jegomość do końca nie słuchasz? więc znowu zawołał Ella:

— Wy, synowie Mendela Izraelowicza, na których chejrym nałożyłem, czy jesteście?

Żydki trzęsąc się ze strachu, ledwo wymówić mogli, jesteśmy.

Rabin znowu:—Wy złe duchowie mówcie teraz, jakim prawem zajmowaliście sklepy w kamienicy Mendelowiczów?

— Bo my dzieci Mendela pierworodne, z jego grzechów zrodzone, odpowiedzieli oni, mamy prawo do jego dziedzictwa; odsądź więc nam Rabbi Ella spadek po ojcu naszym.

— Wy nie z tego świata, rzekł Elias, więc na tym świecie nie możecie mieć dziedzictwa, a ja was zaknę tak, że już Mendelowiczom uprzykrzać się nie będziecie mogli.

— Możesz tak uczynić, odpowiadali djabli, możesz tak

uczynić, boś ty prorok! boś ty pan! bo ty wiesz słowo Salomona! Ale za to my będziemy dręczyć naszego ojca w piekle, że nam, dzieciom swoim, nie zostawił żadnego spadku.

Rabbi Ella zamyślił się... myślał, myślał i kiwał głową... Mężowie siedzący obok niego milczeli, milczeli i czekali, czekali, co on powie...

Namyślił się on nareszcie i rzekł:

— Duchowie piekielni! czyniąc folgę duszy Mendela, odsądzam wam drugie piętro jego kamienicy.

— Oj waj! krzyknęli djabli, Rabbi Ella, nie może być tak! wiemy co namyśliłeś, wiemy! Chcesz nam oddać drugie piętro kamienicy, a jutro to piętro zbić każesz i nas na kominach osadzisz. Nie, nie Rabbi Ella, sądz sprawiedliwiej!

Eliasz pokręcił głową, pomyślił znowu i rzekł: „Duchowie nieczyści, odsądzam wam jeden sklep pod kamienicą: siedźcież tam cicho w lochu i ciemności!”

— Zgoda! krzyknęli za suknem, zgoda! oddaj nam więc ten sklep, Rabbi Ella, oddaj!

— Oddam, oddam jutro o tej samej godzinie, rzekł Eliasz, a kamieniem i słowem mojem, wy wiecie jakiem, zamuruję go. Teraz precz ztąd! Chejrym na was! i potrójny chejrym! Zaszumiało tylko za suknem. Eliasz wstał, zrzucił tę zasłonę i nikogo tam nie było. Kazał potem Mendelowiczom, aby oni sami, nie biorąc żadnego człowieka cudzego do pomocy, w cichości nanosili do sklepów kamieni, ile potrzeba było na zawalenie jednych drzwi. Ucałowawszy oni poję jego Tfilimu, odeszli.

Wieczorem przyszedł znowu do nich Eliasz. Przepraszam godność jegomości, ale jak on fatygował się, och taki wielki, taki nauczny, taki poważny patriarcha! Przyniósł z sobą, na wielkim pargaminie dekret sądu duchownego, przez siebie po hebrajsku napisany, a przy nim podpisali się i dwaj rabini, którzy tę sprawę odbywali, i teraz razem przyszli do Mendelowiczów, którzy wydarli bruk w jednym sklepie własnymi rękami, więc nikt o ich pracy nie wiedział, a kamieni było aż nadto. Ella tak samo jak i pierwszej ubrany wszedł do sklepów, ale teraz i rabini i Mendelowicze za nim weszli. Tam w trzecim, ostatnim lochu, który złym duchom odsądzał, przeczytał głośno dekret, kazał potem wnieść płaski kamień, położył pargamin na tym kamieniu i szepcząc jakieś słowa, drugim kamieniem, nacisnął, nakoniec wyszedł, a kazał Mendelowiczom, aby drzwi do tego sklepu wnet zawalili. Djabli odtąd ani się odezwali i cicho tam siedzą na wieki. Mendelowicze sklep ten zamknięty na głucho, potem ceglami zamurowali, a drugie dwa i teraz kupcom na towary najmują*).

Książd Daniel niedowierzająco pokręcił głową.

— Jegomość dobrodziej nie wierzysz? mówił Abraham, cóż robić? ale jak kiedykolwiek w Wilnie będziesz jegomość, popytaj się swego faktora, gdzie ta kamienica w której siedzą djabli zakłęci w sklepie? to pewnie zaprowadzi jegomości i pokaże, bo wszyscy o tem wiedzą.

*) Obrząd ten sądu i zakłęcia sklepu przez sławnego rabina Eliasza, nie jest wcale wymysłem autora, wiele takich cudownych czynów jego opowiadają żydzi litewscy, między temi i opisany.

— A jakże się wszyscy o tem dowiedzieli, kiedy Eliasz takie ciężkie chejrymy nakładł na języki?

— Oho! przepraszam godność pańską, ale w naszym piśmie stoi, że „Ziemia niebu przysięgała, aby żadnej tajemnicy nie było nigdy“,*) to nigdy i niema i nie będzie, wszystko na wierzch wychodzi. To samo stało się i ze sprawą Mendelowiczów, oni sami i rabini, którzy byli z Ellą, zaczęli pod sekretem rozgadywać takie cuda jego! Wszyscy dziwując się, rozpowiadali jedni drugim i tak powoli całe miasto o wszystkim się dowiedziało.

*

*

*

— Wszystko to być mogło, panie Abrahamie, rzekł po niejakej zwłoce ksiądz Daniel, ale wróćmy do naszej sprawy. To więc staje na tem, że wyprawimy Hirszka z listem starościnej do córki?

Abraham uchylił głowę na znak zgody.

— Co potem nastąpi, mówił dalej ksiądz, Bogu wiedzieć, ja zaś nie omieszkam, panie Abrahamie, radzić się zawsze waćpana, jako tak pocziwego i przywiązanego przyjaciela panów twoich, a rozumnego człowieka.

— U nas powiadają, mości księżu dobrodzieju, mówił żyd gładząc brodę, że rozum i szmalec do wszystkiego uchodzi.

Pan Abraham nie poślednie miał widać przekonanie o swym rozumie.

— A toż co jegomość mówił, że starosta ma jakoby fortuny swoje komu innemu nie córce swojej odpisać? zapytał on, jakoby nastęrczając się ze swą radą.

*) Zdanie z Talmudu obrócone w przysłowie między żydami.

— Ja się tego domyślam tylko, odrzekł ksiądz, a mam w Bogu nadzieję, że do tego nie przyjdzie, i że mi natchnie sposób zapobieżenia temu, a teraz powiem znowu starościnej o życzliwości twojej, panie Abrahamie.

— Nu, ach! na sto lat życia jej, niech zdrowa będzie, a stary Abraham doczeka jeszcze, że matka i z córką przyjdą do niego na wielkanocną macę i pocieszym się razem wszyscy.

*

*

*

Nazajutrz rano po Mszy, gdy starosta oddalił się do swego pokoju, ks. Daniel przyszedłszy do starościnej powiedział jej wszystko, co od Abrahama usłyszał, a nadto że Hirszko gotów jest znowu jechać do Marji i zawieść jej odpowiedź matki.

Starościna zdumiała się — jakto ks. Danielu? odpowiedź moją? ach mój Boże! cóż ja do niej napiszę?

— Napiszesz błogosławieństwo twoje, bez którego tak jej żyć trudno, jak tobie bez niej.

Przywykła do płaczu żrenica starościnej, znowu łzą zaszała, wyjęła ona ze stolika, za którym siedziała, list Marji, czytając go rozrzewniła się jeszcze głębiej i rzekła: a gdybym ja ks. Danielu poniosła ten list mężowi memu?

Ks. Daniel pomyśliwszy nieco — nie, rzekł, nie, dotąd gorącego żelaza oliwą nie ostudzi, zawre tylko gorącej lub płomieniem buchnie. Serce męża twego jest w walce jeszcze! to się on do Boga garnie, to ku tobie czule się skłania, szuka ono ratunku i uspokojenia, które tobie utrapiona matko, Bóg już zlewa w miłości

twej macierzyńskiej, ale w nim przemagają jeszcze ludzkie pochopy gniewu, żalu, dumy. Patrząc ja nań codziennie uważnie, śledzę go i przenikam, list ten zakrwawiłby go tylko, i kto wie na jakie projekta naprowadził, czekajmy jeszcze i módlmy się zań do Boga, w którego rękę są serca ludzkie. Teraz idzie tylko o to, aby dziecko twe w rozpacz nie upadło pod ciężarem zgrzyot i tęsknoty; aby wiedziało przynajmniej że żyjesz i je kochasz.

— Ach, mój ojciec! rzekła starościna, moje życie i moja miłość dla niej, to wszystko jedno, broń Boże co na nią!... co na nią!

Ach serce matki! serce matki!... Dziewico młoda! jeżeli to czytać będziesz, rzuć się na łono twojej, w tem łonie bije także serce, dla którego żyje i miłość dla ciebie, to wszystko jedno... Uścisk ten będzie zakładem, że serca tego nigdy goryczą nie napełnisz, i wzajemnie że w nim zawsze znajdziesz szczęście i ośłodę twojego życia, tkliwa zaś łza wasza będzie najmiłszą nagrodą pobudzającego was autora. Wzięła więc pióro starościna i drżącą ręką napisała: „błogosławię cię Marjo moja! kocham cię, aby Bóg dozwolił mi widzieć cię!” dalej pisać nie mogła. Widząc stan jej ks. Daniel, dość, rzekł, dość na ten raz, ja resztę dokończę, i wzięwszy list wyszedł dozwalając starościnej odpoczynku i uspokojenia.

Dokończył on obszerniej listu tego. Napisał wszystko co bogobojny kapłan, i jakby ojciec kochający dziecko swe napisać mógł, nie zapomniał i o mężu Marji, któremu niewczesnych już wymówek nie czynił, a tylko

w miłości ku żonie, w obowiązkach tak wielkich względem jej zaciągniętych, i w cierpliwości utwierdzał; i wyprawił Hirszka dając mu mimo oporu Abrahama, sowite na kosztą podróży pieniądze, a osobno za wolą starościnej, trzysta dukatów dla oddania Marji od matki.

*

*

*

Tak zjednawszy i matce i córce niejakie uspokojenie i pociechę, ks. Daniel tem pilniej uważał na ojca. Starosta często drzwi swego gabinetu przymykał i zasiadał do pisania, ale niedostępny natenczas nikomu z dworzan, nie mógł zaprzeczyć wejścia kapelanowi i spowiednikowi swemu, a ten właśnie przerywał mu to zatrudnienie. Zaambarasowany natenczas starosta, podsuwał wnet zapisany swój papier pod inne na stoliku leżące, i obojętną rozpoczynał konwersację. Czas się jednak ściągał, tatar był zawsze gotowy do drogi, ale nie wyjeżdżał. Widocznie na tak stanowczy krok starosta odważyć się nie mógł, powierzyć go nawet żonie lub księdzu nie śmiał, chociaż dla nich żadnej dotąd nie miał tajemnicy! bo czuł, że żonę jedynym swym wyrazem zgębi do ostatka, i że się ona nigdy na jego projekta nie zgodzi, a ksiądz, że je zgromi i potępi.

Tak nadszedł adwent, czas to szczególniejszego nabożeństwa w chrześcijaństwie, dwór cały wybierał się do spowiedzi. Ks. Daniel codzień przy wieczornych w kaplicy pacierzach, na które wszyscy dworscy zwyczaj się zgromadzali, przygotowywał ich nauką i modlitwą do tego św., Sakramentu! Lecz raz upatrzywszy chwilę,

gdy oboje starościństwo obecnymi byli, a starosta pilniej zważyć zdawał się na słowa jego. „Przystępujcie zatem, rzekł, do świętych tajemnic, za przykładem pobożnych panów waszych, którzy tę chrześcijańską powinność spełnią bez zwłoki“.

Nie w tych słowach nie było nadzwyczajnego, a jednak powiedział je ks. Daniel z namysłu, bo obowiązywał niemi starostę do dania przykładu sługom, a sług upoważniał do oczekiwania przykładu od pana, a zatem zmuszał, niejako starostę do spowiedzi. Była to prawdziwa jezuicka sztuka, ale w dobrym celu użyta. Czyli ją starosta zrozumiał, albo nie? nie wiemy, lecz w następną niedzielę oboje poszli do spowiedzi, jak zwykle do ks. Daniela, po której, starosta nie zamykał się już i nie pisał skrycie, tatar został na miejscu a ksiądz Daniel dziękował Bogu, że go natchnął myślą nastreczenia sposobności, w której o gniewie i pysze, jako o najszkaradniejszych grzechach śmiertelnych, mógł udręczonemu niemi człowiekowi, dać zbawienną i skuteczną naukę.

*

*

*

Zima nadeszła, święta Bożego Narodzenia, tak niegdyś wesołe i huczne w Illii, przeszły tak cicho i ponuro, jakby dom był żałobą pokryty. Hirszko wrócił, przywiózł znowu listy pocieszające starościnę, w których Marja uszczęśliwiona kilkoma słowami matki, nadzieję swą zostania także matką objawiła, uspakajając razem że w takiej chorobie, na żadnych około niej staraniach nie zbędzie, owszem że na troskliwości męża i otacza-

jących ją, zupełnie polegać może, lecz jednak niepewna w takim razie życia, najczulszem zakłębem żebrała u obojga rodziców przebaczenia i miłosierdzia, jakby w ostatniej życia swego godzinie.

Tymczasem po powrocie Hirszka, Abraham wyprawił się z nim razem w lasy Borysowskie, które także dzierżawił, dla obejrzenia roboty i przygotowania spławu, a w kilka tygodni potem, na dziedziniec Ilskiego dworu wjechał jednym konikiem na prostym wózku szlachcie jakiś, i wysiadł do oficyny; tam nie długo bawiąc i zostawiwszy swą szubę wilczą, szedł do pałacu.

Służba przyuczona nie przypuszczać do starosty każdego komuby się tylko wejść podobało, owszem szarym zwłaszcza braciom szlachtom czynić wstręt, a z interesami, któremi się teraz najmniej nie trudnił starosta, do administracji odprawiać, i tego przybysza również zbyć chciała. Ale on nie ustąpił, i koniecznie z samym panem widzieć się żądał, wpuszczono zatem upartego.

Starosta był w swym gabinecie z ks. Danielem, gdy wszedł i stanął przed nim starzec, siwy jak gołąb, i schludnie choć ubogo odziany. Miał wszakże szablę u boku, znak nieomylny jego szlachectwa; strudzony snąc był długą zimową podróżą, nie złamany, oparł się bowiem jedną ręką na poręczu krzesła, lecz pod brwią białą stało oko żywe i światłe.

— Ktoś waszmość? zapytał Sołohub.

— Pan starosta mnie nie poznajesz? niedziw, dawnośmy się widzieli.

Wpatrzył się Sołohub, i — Wołkanowski! krzyknął.

— Tak, on sam, odpowiedział starzec, a wzruszył się mocno ks. Daniel.

Zawrzała krew w staroście, jak śmiesz ty!... ty niegodny starcze stawać przedemną? precz! z mojego domu! precz! bo cię wyrzucić każę!...

— Panie starosto, rzekł spokojnie Wołkanowski, jam szlachcic, skrzywdzić siebie nie dam, i ta ręka choć stara, obroni mię jeszcze od obelgi, ale jam ci nie winien, a ty panie starosto mnie i Bogu wiele winieneś!...

— Jam jemu winien! a to rzecz dziwna! jam winien, że jego syn odebrał mi jedyne me dziecko! O przekłeta godzina w której go do siebie przyjąłem.

— I ja jej nie błogosławię, panie starosto, niechby syn mój poczciwie pracował na kawałku swojej ziemi, niechbym ja jego poczciwość, pracę i cnotę, czystem sumieniem błogosławił, i niechbym skonał przy nim i na jego ręku! A teraz co? ot ośmdziesięcioletni starzec wlokę się na świat szukać syna mego jedynego, i kiedy go znajdę, nie błogosławić mu, ale złorzeczyć jemu! oh ciężkoż mnie! ciężko!

— Jam go osypał dobrodziejstwami memi, rzekł starosta; lzy i słowa starca pohamowały go w impecie.

— Panie starosto, odpowiedział Wołkanowski, któremu głębokie wzruszenie sił wymowy dodało, panie starosto! bodajbyś tych dobrodziejstw nigdy jemu nie świadczył, bodajbyś go raczej do pracy i służby szlacheckiej nie do dworszczyzny sposobił, nie zbliżyłbyś go do twojej córki, nie ośmieliłbyś dwoje młodzieży do przywiązania, które ich obojgu zgubiło... ale niech

ei Bóg odpuści! bo i ty, panie starosto, nieszczęśliwy, ty nieszczęśliwszy odemnie, bo ty wielki pan; ty myślisz wyrzekać się swojej córki...

Starosta zdumiał się, bo nikomu tej myśli nie objawiał, z kądby Wołkanowski ją przeniknął?

— Ja zaś, mówił dalej starzec, ja zaś syna mego kocham, i nigdy się go nie wyrzeknę: kocham już i twoją córkę jak własne me dziecko... i ot wywlokłem moją starą głowę do nich... pożegnałem żonę, pożegnałem starych moich sąsiadów i przyjaciół; pożegnałem wszystkie kąty mojej chaty, tu mu łzy rzęsiściej płynęły; bo nie powrócę już do nich, nie powrócę, a mojej chaty ubogiej i za twe pałace, panie starosto, nie oddałbym. Tyle latek w niej przeżyłem spokojnie, i spokojnie w niej umrzeć chciałem... O Boże! Boże! czemuż mnie tego nie dozwoliłeś!

Słowa te starca, proste ale czułe i szczerze, widoczne na starości uczyniły wrażenie, i w niejakaś niespokojność go wprawiały. Chodził on wielkimi krokami po pokoju, tarł czoło, i nakoniec — gdzież ich szukać będziesz? zapytał.

— W Sandomierskim, u familii mojej, która ich przyjęła, i córkę twą panie starosto weneruje.

— I my wiemy gdzie są oni, odezwał się ks. Daniel.

Starosta obrócił się doń zdziwiony, i miał się zapytać, z kąd ta wiadomość, ale ksiądz wyszedł nagle... a przebiegłszy kilka pokojów, wszedł do starościnej.

— Pani, zawołał, Bóg zsyła chwilę przesilenia, bierz pani listy i idź do męża wnet, wnet, nie tracąc ani chwili czasu...

— Cóż to takiego? zapytała starościna, ale posłuszna machinalnie, wyjęła ze stolika listy Marji i szła za księdzem.

Weszli, właśnie Wołkanowski domawiał: Nie, panie starosto, nie! nie chce on twoich bogactw, wyrzeka się ich... daj im panie starosto błogosławieństwo rodzicielskie, bo bez tego córka twoja nieszczęśliwa... starościna rzuciła nań okiem, a starosta rzekł z przyeiskiem, ojciec Piotra! Wołkanowski.

Starzec wznioł oczy, i jakby widokiem tej szlachetnej a wynędzniałej twarzy natchniony, rzuca się do nóg starościnej, a jękiem i ciężkimi westchnieniami przerywanemi słowy, ledwo wymówić może. „Pani! Jaśnie wielmożna pani!... tak, jam ojciec Piotra, daruj dla miłości Boga! przebacz dziecku twemu rodzonemu, jam nieszczęśliwy, ja stary i słaby!... ja do nich jadę, przebacz!

— Jam jej dawno już przebaczyła, rzekła starościna, powstań staruszku.

— Jako przebaczyłaś? zawołał starosta.

— Tak, przebaczyłam, odpowiedziała żona, przebaczyłam! mogłam że i siebie i dziecko pchnąć do grobu! czytaj jej listy.

— Jej listy? starosta wyciągnął rękę... lecz wnet ją cofnął.

— Ja przeczytam, rzekł ks. Daniel, biorąc je z rąk starościnej, i nie czekając ażby się starosta opamiętał, czytał dokończenie drugiego listu Marji.

„Zaklinam was o moi najdrożsi rodzice, i u nóg waszych o życie moje błagam was! Mam być matką,

w tym trudnym razie mogę umrzeć. Ach! czyż mam umierać opuszczona od was, Boże! Boże! czemużem raczej w kolebce nie umarła... matko moja najmiłsza! tyś mi przebaczyła, o niech ci za to Bóg nagrodzi, tyś mię pobłogosławiła; błagaj ojca, ojczyzny mój miły! na kolanach żebrzę twego miłosierdzia, nie odpychaj twojej Marji!...

„Ja was kocham, czytał dalej ks. Daniel, ja was kocham z całej duszy; codzień z rana o godzinie dziesiątej, gdy wy Mszy św. słuchacie w kaplicy, ja modłę się za was“...

Staroscina nie mogąc dotrwać, usiadła na kanapie i rzewnie płakała; płacz ten przeniósł się na źrenice ks. Daniela, omroczył je, i czytać mu nie dozwalał; zaszedł na powieki Wołkanowskiego; jeden starosta suchem lecz osłupiałem okiem poglądał w około... nakoniec rzucił się obok żony na kanapę, i obu rękami twarz zakrył...

„Oh! serce mi pęknie, czytał znowu ksiądz, z miłości, tęsknoty i smutku! zlitujcie się nademną... zlitujcie się nad niewinnem dzieckiem mojem, które w sobie noszę... Rodzice moi! nie chcę dostatków“...

Odpadły ręce od twarzy starosty... i twarz ta we łzach się okazała! „Tak się widać Bogu podobało“, wyjąknął. Żona rzuciła się w jego objęcie, Wołkanowski całował mu ręce, a ksiądz Daniel jakby ogarnięty szczęściem, które w tych słowach starosty świtało, stał z podniesionymi rękami, błogosławiąc i polecając Bogu ten obraz.

Wnet wszystkie lica się rozpogodziły; starosta od-

jął rękę od ust Wołkanowskiego, a uściskał go. — No starcze, rzekł, dość! tak się Bogu podobało!... Na tem powtarzanem słowie, skończył on wyznanie swej wewnętrznej przemiany, która hamowana w wyrazach, widoczną była w jego rozrzewnieniu. Uściskał starosta pokilkakrotnie żonę i rękę ks. Daniela. Panie Wołkanowski, rzekł potem spokojniej: odpocznij sobie dni kilka u nas, a potem z moim dworskim pojedziesz wygodniej w twą podróż. Podobno przyjdzie mi pójść za przykładem hetmana Białego; mogłemże przewidzieć opowiadając niegdyś tobie tę historję, że ze mną coś podobnego się zdarzy, tak się Bogu podobało!...

Książd Daniel zabrał starca do własnej kwatery, aby mieć o nim pilne staranie; a po ich wyjściu pozostałe małżeństwo, jakby odnowione i odrodzone, jakby po długim oddaleniu znowu razem, poufnie wylewali sobie nawzajem tajnie swej duszy. Starosta wyznawał żonie swej udręczenia i walki; żona swoją miłość ku dziecku, i sposobność komunikowania się z niemi; tak wzajemnie leczyli rany swego serca. Odczytując nakoniec ze swobodniejszą myślą listy Marji — zkaż jej, rzekł starosta, ta czulość, ta łatwość wyrażenia się, ten rozum?... Dziecko takie, lat ośmnaście zaledwo zaczętych; zawsze w domu i pod naszym okiem?

— Ty nie znasz kobiet, odpowiedziała starościna, ty nie pojmujesz jak nadzwyczajnie rychło serce ich i umysł dojrzewa i rozwija się pod wpływem miłości i niedoli; to i Marję z dziecka zrobiło dojrzłą niewiastą. Oh mój progi! kogoż nieszczęście nie uczyni mędrszym i lepszym nawet; my sami mężu, my sami, czyż przez

ten czas krótki naszego umartwienia nie przeżyliśmy długiego wieku? czyż przez te kilka miesięcy nie myśleliśmy więcej o sobie, o Bogu, o zbawieniu naszym, aniżeli przez całe dotychczas życie?... Więc jesteśmy lepszymi; więc Bóg udręczenia nasze nagrodzi, więc wróci nam dziecko nasze kochane; więc, mój drogi, cieszyć się będziemy i pieścić nasze wnuki... nieprawdaż mój drogi?

Pocałowanie serdeczne zakończyło ten monolog, na który odpowiadając starosta: tak, rzekł, tak, widzę po twych słowach, że nieszczęście doskonali; lepszą cię jednak uczynić nie mogło, boś ty zawsze aniołem! więc będziemy pieścić nasze wnuki... ha! jeżeli będzie syn, to się będzie nazywał Sołohub; choćby mi przez sejm przejść trzeba było.

*

*

*

Uszczęśliwiony ks. Daniel tem co się stało, wymnął się wieczorem na saneczki, i do Abrahama, który przed kilku dniami wrócił ze swej podróży, pośpieszył. A był to znowu koniec szabasu; znalazł go więc jak przedtem w tej samej rześisto oświeconej izbie, i jak przedtem nad księgą. — Kłaniam uniżenie rzekł ks. Daniel, wchodząc.

— Sługa jegomości, odpowiedział powstając Abraham, i uprzejmie wskazując na krzesło przy stole.

— Z dobrymi nowinami, panie Abrahamie umyślnie przyjechałem do waćpana, rzekł ksiądz.

— A jakie nowiny? przepraszam godność pańską.

— Starosta chwala Bogu przebaczył córce; stary

Wołkanowski, ojciec Piotra, przyjechał tu gdzieś z daleka...

— Nie bardzo i z daleka, przerwał Abraham uśmiechając się, i zażywając podług zwyczaju poważnie ze swej srebrnej tabakierki tabakę, a patrząc w oczy księdzu, nie bardzo i z daleka, mil jakich dwadzieścia.

— A z kąd wiesz panie Abrahamie, gdzie on mieszka?

Abraham nie przestając gładzić swej tabakiery, z jednostajnym wzrokiem i uśmiechem — bo on mieszka, rzekł, w lasach Borysowskich, które ja dzierżawię.

Na te słowa ks. Daniel nagłym domysłem zgadł wyrazisty wzrok i uśmiech Abrahama — i tam jeździłeś teraz! zawołał powstając z krzesła.

Żyd pogładził poważnie brodę, i skinął głową potwierdzając domysł księdza.

— A mnie mówiono, żeś tam pojechał dla obejrzenia swojego towaru.

— Przepraszam godność pańską, obeszłoby się tam i bezemnie; ja tam szafarzów i wierników mam.

— A więc jeździłeś umyślnie, aby się widzieć z Wołkanowskim?

— No, jedno przy drugim, jedno przy drugim, mości księżu dobrodzieju.

— Więc poczywy panie Abrahamie tyś namówił starszka, aby tu przyjechał.

— Przepraszam mądrość pańską, odpowiedział kręcąc głową Abraham, nie, a czy ja prorok, czy ja mógł zgadnąć jak go tu przyjmą? Oh! ja jego nie namawiałem, nie, ja tylko jemu powiedziałem gdzie jego syn, co się z nim dzieje, i co się tu dzieje, a reszta...

— A reszta, przerwał ksiądz, resztę Bóg dokończył!

— No to i dobrze mości księżu dobrodzieju! to i dobrze, mówił Abraham podając rękę księdzu, cieszymy się i radujmy się!

*

*

*

W małej chatce, kominkiem tylko nad dach wywiedzionym, okienkami światlejszemi i schludnością wewnętrzną różniącej się od zwyczajnych włościańskich, na prostym tapczanie słomianą matą zasłanym, leżał człek schorzały, błydy i wynędzniały. Do trupa raczej, niż do żyjącego podobny, oczy miał zapadłe i zamknięte; oddychał jednak swobodnie i zdawał się uśpionym, a mimo choroby i wycieńczenia, łatwo było poznać, że nie był starym, i że pół wieku zaledwie dochodził. Czarna szata do habitu podobna przykrywała go, lecz i ta ciężć mu się zdawała, bo słabą ręką zrzucał ją z piersi. Czuwał nad nim siedzący przy stole z głową na rękę opartą, człek daleko odeń starszy, ale twarzy pełnej i zdrowej, chędogo po szlachecku ubrany; wpatrywał się on troskliwie w oblicze chorego i szeptał cichy pacierz...

Na stoliku stał krzyż drewniany z figurą Chrystusa, leżała gromnica, i kilka flaszek z lekarstwami czy tylko z napojem było tamże na stole, przy kilku prostych miskach glinianych i talerzach, składający cały sprzęt domowy mieszkańca tej chatki.

Dzień wrześniey pięknej jesieni miał się ku schyłkowi, i zachodzące słońce rzuciło przez okienko do izdebki jakby pożegnalne wejrzenie na oblicze umierającego tak, że opromienione oblicze to niewymownym

zajaśniało blaskiem, a omamiony czy przełękniiony czuwający starzec, przeżegnał się z trwogą. Chory zdawał się w tej chwili marzyć coś nadzwyczajnego... oczy miał zamknięte, ale wzrok duszy jego objawiający się częstokroć ciału przed opuszczeniem go na zawsze, snąc w tym promieniu słońca, błogosławione jakieś i miłe widział obrazy, bo konający kilkakrotnie wyciągał przed siebie ręce, i twarz jego cierpieniem zmęczoną, błoga jakaś spokojność i jakby uśmiech okrasily. Lecz powoli słońce ściągało swój promień, i jakby ostatki życia chorego szły za umykającym się tem światłem, lica jego bledniały, i czoło śmiertelnym oblało się potem. Zważający ze zdziwieniem na to wszystko starzec rozumiejąc, że nadeszła chwila skonania, brał się do zapalenia gromnicy; gdy w tem chory otworzył oczy.

* *

Gdzież to było? kto był umierający? i kto czuwający nad nim człowiek? zapytasz czytelniku.

Okolica jałowa i pusta, do której cię na pierwszej karcie tej powieści wprowadziłem, była natenczas gęstym zarosła lasem, a od gościńca, Czarnym nazwanego, mała jeszcze kołowinka zawracała się na prawo, i wiodła do kaplicy, której dach dla tego z traktu widzieć można było, że zbudowaną była na wzgórzu, a zatem przewyższała otaczające ją drzewa. O kilkadziesiąt zaś kroków od kaplicy, w głębi puszczy stała chatka przeznaczona z początku dla szpitalnika jakiego, mającego strzedz ścian kościółka, lecz zmieniona w domek pustelniczy, gdy się zdarzył człowiek z powołaniem

samotnego pustelnika, który go zająć pragnął. Umierającym teraz w tej chatce był właśnie pokutnik ten, a raczej pustelnik od lat pięciu w niej zamieszkały; a strzegący go starzec był pan Chojecki, właściciel tego miejsca, syn fundatora kaplicy, a ojciec dzisiejszego w niej zakrystjana, u którego gościłem.

— Spałeś bracie Danielu? rzekł Chojecki.

— Czy spałem?... nie wiem. Sen to był... czy też marzenie... albo też... ach o Boże! mamże być ofiarą na odkupienie grzechów całej mej rodziny... Tak! tyś o Jezus odkupił grzechy całego świata!... dziej się wola twoja, widziałem ich... widziałem rodziców moich, widziałem dziadów i pradziadów, wyciągałem ku nim ręce moje...

Chojecki niepewny czy chory majaczy, czy w rzeczy samej miał jakieś widzenie, w które wiara powszechniejszą natenczas była, i świadek zmian jakie się z nim działy, a więc rzekł:

— Bracie Danielu, miałeś objawienie jakie?

— Objawienie, tak, objawienie się tych z którymi się wkrótce połączę... Ja śmiem mniemać, że Bóg cud ten dla mnie niegodnego uczynić raczył... że zesłał na utwierdzenie nadziei moich, na pociechę ostatniej mej godziny duchy rodziców i przodków moich w światłości niezwyčajnej, wzywające mię do siebie po nagrodę za cierpienie i pokutę, na którą w tem życiu za nich ponieść byłem widać przeznaczony... Oh! i za własne grzechy!

Chojecki aż drzeć zaczął, myśląc że w promieniu słońca były duchy, których on tylko co nie widział.

Pochowaj mię ojeze, mówił dalej chory, boś mi był ojcem przez te lat kilka którem tu przebył, w bramie kościelnej; niech ludek Boży przechodząc przez nią na nabożeństwo, i depcząc kości moje, zmówi za duszę moją, wieczne odpocznienie.

— Ale mój bracie, rzekł Chojecki, jeżeli taka wola Boska abym cię pogrzebał, toć i na kamieniu grobowym wykuć zdaje mi się trzeba imię i nazwisko twoje, aby pobożni wiedzieli za kogo mają się modlić; a ja dotąd nie wiem jak się nazywałeś, ani kto jesteś? Jeżeli za życia miałeś może przyczyny dla których tałeś swe nazwanie i życie, toć jeżeli czujesz że cię Bóg rychło do swej chwały powoła, nie powinienes zostawić na ziemi jekiejś wątpliwości o sobie. Byłem świadkiem twojego świątobliwego żywota, twej pokuty, twych umartwień i maceracyj ciała, twej najgorliwszej codziennej pobożności. Pomimo ukrywania się twojego, pomimo zaparcia się samego siebie, i pokory twej pustelniczej i żebraczej, łatwo mi było poznać i dociec, żeś nie ubogo ani podło urodzony; że wychowanie twe brałeś po szlachecku, a może i po pańsku, bo skądżeby ci wielkie i głębokie wiadomości nauk, z którymi niekiedy mimowolnie się wydawałeś; wiek twój dalekim fest i teraz jeszcze, a tem bardziej gdy tu wchodziłeś, od tego w którym człek ucieka od świata: słowem, wszystko mię przekonywa, że cię w tę pustynię jakiś szczególniejszy los czy nieszczęście zagnało. Nie mam ja prawa do twych głębszych tajemnic, może na sumieniu twem leżących, bo sumienie każdego do Boga należy, a twoje otworzyłeś zapewne na spowiedzi przed

kapłanem; ale zdaje mi się bracie mój, że przynajmniej powiedzieć mi powinienbyś ktoś jest? Przemieszkawszy lat kilka prawie razem, razem i codziennie modląc się w naszym ubożuchnym kościółku, zjednoczyliśmy się w Bogu i serdecznie; ja stary, od ciebie tej posługi spodziewałem się do której ty mię teraz wzywasz. Zapłakał stary Chojecki i zamilkł.

Chory mileżał także przez czas niejaki; zdawał się rozmyślać nad tem czego z uwagą słuchał; łzy Chojeckiego wzruszyły go. Ojczy, rzekł nakoniec, prawda zjednoczyliśmy się w Bogu; przez cały czas pustelniczego mego tu życia, doświadczałem codziennie dobrodziejstw twoich, a w czystych chorobach moich i w tej ostatniej, nie odstępujesz łoża mego, Bóg ci niech nagrodi! Gdy przed nim stanę, błagać będę majestat jego za ciebie i za twoich... Chcesz koniecznie wiedzieć ktem jest? dobrze, niech żadna wątpliwość nie łączy się do wspomnienia twego o mnie, abyś mógł czystym sercem westchnąć za mną do Boga. Za życia wyznać tego nie chciałem, bom się lękał, aby się moje nie wydało i rozgłosiło schronienie, aby świat mi znowu nie zajrzał w oczy i do nowych nie pociągnął zawodów; lękałem się nawet nieprzyjaciół moich; nie dla złego od nich, ale aby ofiarami swemi, do których własne ich sumienie zmuszało i które mi nie raz ponawiali, nie pokuszali mnie. Dziś gdy stoję u progu wieczności, i gdy zaraz go przejdę, znika potrzeba tajemnicy, przed tobą zwłaszcza mój ojczy; na kamieniu jednak, którym grób mój nałożysz, imię me tylko wykuj, bo te mi chrzest święty nadał, a ludzie nie odjęli.

Nazywałem się Wołkanowski, ale od tego nazwiska mnie odsądzono.

— Wołkanowski! przerwał zdziwiony Chojecki, byłżeś tym, którego proces z Radziwiłłami był głośny po całej Litwie.

— Ten sam jestem.

— Zadawano ci bodaj imparitatem *).

— Nie; zadawano mi i dowiedziono nieprawość urodzenia

— Jak to? i dowiedziono?

— Tak, według sądu ludzkiego dowiedziono; ale jest sąd inny, przed którym stanęli świętą przed ołtarzem przysięgą złączeni rodzice moi, stanę i ja zaraz i czekać będziemy prześladowców naszych, a wtenczas Bóg nas rozsądzi... Oby im przebaczyć raczy!

Tu chory słabem głosem i powoli, ale rozmyślnie i jasno opowiadał Chojeckiemu dzieje pobrania się rodziców swoich, któreśmy na poprzedzających kartach przebiegli. Chojecki przerwał mu niekiedy, prosząc aby wypoczął, niekiedy i sam się on zastanawiał, folgując swej słabości; z kolei doszedł do kresu swej powieści, na którym my naszą zawiesiliśmy, i tak po rodzicielskich własne już dzieje kontynuował.

* * *

Gdy po przebaczeniu ojcowskiem rodzice moi wrócili do Illi, jam miał niespełna półtora roku. Z opowiadań więc tylko matki mojej, gdym był młodym chłopcem, księdza Daniela, na pamiątkę którego dano mi to imię,

*) Nierówność urodzenia, to jest nieszlachectwo.

i starych dworzan naszych, dowiedziałem się o tej czulej scenie, gdy przybywająca i spotkana w ganku przez rodziców córka z dzieckiem małym upadła im do nóg, a obok mąż jej; gdy rozrzewnieni dziadkowie wzięli na ręce wnuczka i błogosławili mu; gdy dumny starosta ustąpił zupełnie rodzicielskiemu swemu sercu i płakał jak dziecko, a starościna pieściła jak dawniej swą ulubioną Marję.

Ale wśród tych uniesień rzekł starosta, idźmyż teraz wszyscy razem do kaplicy, abyście w obliczu Boga i pod błogosławieństwem rodzicielskiem ponowili waszą małżeńską przysięgę.

Nie zważano na znaczenie słów tych; wszyscy ohotnie poszli za starostą do kaplicy pałacowej, tuż z sieni otwierającej się, tam ujrzeli księdza Daniela stojącego uroczyście w komży przed ołtarzem otwartym i oświeconym, a przed nim rozestany kobierzec.

— Ukochane dzieci! ozwał się on, ocierając łzą nabiegłe oczy! Ukochane dzieci! podług praw Boskich i ludzkich, podług praw świętej religii naszej, potrzeba jest, abyście ponowili ślub wasz; ja z mocy indultu, który oto trzymam w ręku, gotów jestem spełnić dla was ten święty sakrament, przystąpcie więc.

— Jak to? zawołał przerażony ojciec mój, czyliż jesteście bezślubni? a dziecię nasze?

Matka moja zbladła, chwyciła mię z rąk niańki, tuliła mocno do piersi, jaby się lękając, aby jej dziecka nie odebrano...

— Nie lękajcie się dzieci, mówił dalej ksiądz Daniel, nie lękajcie się! rodzice wasi, których sumiennie

jako kapłan piastuję, was i synka waszego za krew własną, za swego wnuka pierworodnego uznają i błogosławia.

Babka moja wzięła mię natenczas od matki na ręce i utwierdzając słowa kapłana, przycisnęła mię do piersi, oblała łzami i żegnała po głowie. Starosta także przeżegnał mię i ucałował czule, mówiąc: los jego i imię ja biore na siebie, a ojciec mój nie wiedział co począć?

Wtem ksiądz Daniel, przerywając tę wątpliwą chwilę, rzekł znowu uroczystym głosem: Dzieci moje! Jesteście spokojni wewnątrz siebie? Jesteście spokojni w najgłębszych tajniach myśli waszych i waszego sumienia? w najgłębszych modłach waszych? jesteście spokojni?...

Na te słowa rodzice moi podnieśli na siebie wzrok łzawy i głęboki... nagle podali sobie ręce i poszli na kobierzec.

* * *

Po niejakiem odpczynku chory znowu mówić zaczął.

— Akt ten spełniony przyniósł spokój, szczęście i spokojność w dom starosty, wszystko się rozweseliło i rozjaśniło na jego dworze. Stalewska była mi najtrojskliwszą niańką, poczciwy i mądry ksiądz Daniel nauczał mnie pacierza gdym dobrze wymawiać zaczął, stary nawet Abraham, pamiętam nawet jak mi przynosił obwarzanki. Rosłem na pieszczotach rodziców i dziadostwa moich, lata szczęśliwe! i tylko te szczęśliwe w mem życiu.

Tymczasem starosta przemyślał nieustannie nad

sposobem jakby mi swoje nadać nazwisko, a przynajmniej jakby wątpliwość mojego urodzenia zatrzcć można. Trudno to jednak było, nie dla tego aby mu król odmówił, jeżeliby dyplomu na to żądał, lecz że sama prośba o to i staranie jużby mnie piętnem nieprawego urodzenia plamiło, piętnem, które uprawnić łatwo, zetrzcć niepodobna, przestał więc bodaj na powszechniej bardzo myśli, że gdy jawne a codzienne uznawanie mnie wnukiem swoim utwierdzi jeszcze własnoręcznym testamentem, nikomu nie przyjdzie do głowy zaprzeczać mi tego i wznawiać dawno zapomniane dzieje. Z uczynieniem więc takowego testamentu nie ociągał się najmniej, napisał go kilka lat przed swoją śmiercią, lubo się jej tak rychło niespodziewał, i wszelką formą prawną utwierdził, a w nim córkę swoją, a moją matkę jedyną swą sukcesorką i mnie po niej dziedzicem, jako własnego wnuka, naznaczył.

Lat siedm nie miałem spełna, gdy Solohub życie zakończył. Została żona jego a babka moja, przywiązana do córki jak do własnego życia, a bodaj i bardziej jeszcze, a przez nią i do mnie najczulej. Stan i położenie nasze domowe nie zmieniło się prawie, ojciec mój, za życia jeszcze teścia i z woli jego zajmował się już wszelkim rzędem majątków i interesów; spokojniej tylko było u nas, bo starościna stan swój wdowi i wiek podeszły samotnie pędzić pragnąc, nie ściągała do siebie licznych odwiedzin, dość mając na domowym, księdza Daniela, dzieci, kilku sług wiernych i starych rezydentów, towarzystwie.

Matka moja od powrotu do rodziców, a podobno

od chwili odjazdu od nich, odwykła od wesołości, często owszem piękne swe czarne oko łą zaćmione na mnie zawieszała, przecucie czy żal... O! nigdy tego wejrzenia nie zapomnę, i dodał ciszej, niedawno tem samem okiem na mnie patrzyła! Ojciec mój oddany jej bez granic i wzajemnie kochany, zarażał się niekiedy od niej tym smutkiem i melancholią, ale częściej rozrywać ją, bawić i rozpędzać tę chmurę z jej pięknego czoła starał się.

Wychowanie moje i nauki szły pod okiem i dyrekcją księdza Daniela. Miałem rozmaitych nauczycieli, ale jemu tylko winienem najdroższą mądrość na świecie, to jest wiarę i ufność w Bogu, które mi pod brzemieniem nieszczęść upaść nie dały, i które mnie potem tu zawiodły, a ztąd teraz na sąd Boski spokojnie prowadzą. Jużem był dobrym wyrostkiem, gdy się zaczęły z kolei nieszczęścia i straty moje: najprzód poszła babka moja, Sołohubowa, i ona także podobny mężowi swemu zrobiła testament. Illię swą posagową i całą substancję córce swej i mnie po niej zapisując, potem w lat dwa ojciec mój młody jeszcze, bo ledwo czterdzieści kilka lat liczący sobie, nagle apopleksją uderzony, żyć przestał, że zaś matka moja tak srogie przeżyła ciosy, cud to był prawdziwy miłosierdzia Boskiego i dowód, że miłość macierzyńska pokonać może najsroższą rozpacz, a przywiązać do życia, gdy to życie jest ofiarą dla własnego dziecka. Matka moja tę ofiarę właśnie tylko dla mnie poniosła, a nawet, gdy siły jej osłabione długą po tych stronach chorobą wracać zaczęły, cała się dla mnie poświęciła, zajęła się rządem majątków i dokoń-

czeniu mego wychowania, zawsze przy pomocy i radach księdza Daniela, któremu Bóg na pomoc nam i opiekę życia przedłużał.

Pod jej więc czułym okiem wzrosłem na młodzieńca i na koniec dojrzałem wiekiem i umysłem, przeżyła ona bowiem o lat dwadzieścia męża swego.

Wspomnienie chwili gdy ją straciłem na koniec, ośladza mi tylko w tym momencie przekonanie, że się z nią wkrótce połączę, a nawet wzbudza we mnie żądanie, by się to jak najrychlej spełniło. Został mi więc tylko ks. Daniel, drugi mój ojciec...

— A cóż się stało z dziadkiem twym, Wołkanowskim, który wyprawiał się był po was w Sandomierskie? przerwał Chojecki.

— Ha, ja go nie pamiętam, ale wiem, że został on w wiecznym pokoju, tamże w gnieździe rodziny swojej i umarł pobłogosławiwszy rodziców moich, swoje dzieci i mnie niemowlę jeszcze.

— Ksiądz Daniel, mówił dalej stary, przeżył zda się wszystkich na to, aby pokrzepiał mnie w duchu, mężstwie i cierpliwości chrześcijańskiej, na smutne wypadki mojego żywota, których początku był świadkiem, i aby mi koniec onego przepowiedział: „Rozbratasz się synu mój, z ludźmi i ze światem, a skończysz w Bogu i z Bogiem“. Te były ostatnie jego słowa, które wymawiał żegnając mnie w ostatniej swej godzinie, nadeszłej w chwili, gdy mnie z ojczystego domu wypędzono.

Póki żyła matka moja, nikt jej praw jako jedynej dziedziczki nie zaprzeczał, ani się mieszał do jej ma-

jątków, ani do dóbr Sołohubowskich, których była dożywnicą, ale jak tylko ona oczy zawarła, wnet publiczne manifesta rzuciły na jej imie, czernidło, a na mnie wzgardę i hańbę. Rozżalony zmazą pamięci matki, bardziej niż własną krzywdą, rzuciłem się na mych nieprzyjaciół, zapamiętały, ale bezsilny, któż w Litwie pokonał Radziwiłłów? a z drugiej strony po dziadowskie majątki szli Sołohubowie.

Główna treść sprawy tej i procesu mego z krewnymi dziadów i matki mojej, dziś po kilkunastu latach zapomniana, głośną natenczas była po całej Litwie; sprawiedliwość, a nawet politowanie ludzi poczciwych, było po mojej stronie, ale prawność i przemożność były przeciw mnie. Wsparty dwoma testamentami, dziada i babki, broniłem mojego dziedzictwa i imienia, a tem samem i dobrej sławy rodziców, to jest usiłowałem powrócić, jako prawy dziedzic matki mojej i syn prawego jej małżeństwa z mym ojcem, do majątków, z których mię zaraz na początku siłą i przemocą wygnano. Proces to więc był razem duchowny i świecki, upadek mój w pierwszym, wiódł za sobą niewątpliwy upadek i w drugim, dowodzono nieprawność i nieformalność pierwszego ich ślubu, lecz mimo silne przeciwników moich wpływy, ważność dobrowolnej przysięgi przed ołtarzem, w obec liczego ludu spełnionej, możeby przez sumiennych kapłanów, rozbierających ten spór dotkliwy dla mnie, i uznaną była, ale ślub drugi uikczemnił powagę pierwszego i mnie tem samem odejmował imie, dziedzictwo, mienie i wszelkie prawa dobrego urodze-

nia i szlachectwa, słowem, to wszystko, co jest najdroższem człowiekowi żyjącemu wśród ludzi.

O jakżem był biedny natenczas! sam jeden, bez nikogo na świecie, któryby mi jakiegokolwiek przyniósł pocieszenie, żebrak z pana; do kogóż się udać i czyjiej wzywać mogłem opieki? Wszakże przeciwnicy moi, sumieniem, czy wspaniałością wzruszeni, ofiarowali mi znaczną sumę; mógłbym oddaliwszy się gdzieś w obce strony, spożywać kawałek chleba, ale chleba okupionego hańbą tych, którzy mi dali życie, nie przełknąłbym żadnego zeń kęsa bez gorzkiego przypomnienia, żem sprzedał sławę rodziców moich. Nie, odpowiedziałem zatem ofiarującym mi pieniądze, nie! precz! mnie nie skusicie! wyrok ostateczny nie zapadł jeszcze. Appeluję.

— Dokąd od nuncjatury i trybunału? zapytywali mnie z zadziwieniem.

— Tam! rzekłem i wskazałem ręką w niebiosą. Zostali w osłupieniu, ale, nie zapomną tej chwili.

Przestał znowu mówić Wolkanowski, jako i pierwiej kilkakrotnie odpoczywał wśród długiego opowiadania, siły mu ubywały, słabiał coraz widoczniej, ale się wzmagał, zatrzymując jakby w sobie ostatnie tchnienie do ostatniego słowa swej powieści.

Odwilżywszy usta kilku kroplami wody, znowu więc zaczął.

* * *

Tymczasem słowa mego opiekuńczego ducha, słowa ostatnie księdza Daniela, odzywały mi się nieustannie w duszy. „Rozbratasz się z ludźmi i światem, a skończysz z Bogiem i w Bogu“.

Słowa te naprowadziły mnie naturalnie na myśl ukrycia się w jakim klasztorze i przyjęcia ślubów zakonnych. Zaprobowałem, kilka miesięcy przebyłem pod przyswojonem imieniem w jednym z najsamotniejszych klasztorów, ukrytych w głębi lasów poleskich; ale nie, i tu mi było za ludno, i tu mnie ciekawość i domysły ludzkie ścigały, a udrećzała tęsknota za rodzinnem powietrzem i niebem, za mogiłami rodziców moich.

Został mi jeszcze mały zapas od znacznej gotówki, którą po matce znalazłem, a która wszystka po wygnaniu mojem z Illii, na długie procesa i podróże, na mieszkanie po miastach powiatowych i wojewodzkich, i na przeżycie wysypała się, kupiłem konia więc i zabrałem się na wózek, kierując bez celu, ale ku tym stronom.

Zachorowałem w drodze. Ty wiesz ojcze jako biednego, a prawie konającego podróżnego znalazłszy w tej chatce, do której ledwo się przywlokłem, na opiece staruszki kaleki, tu przy kościółku natenczas żyjącej, uratowałeś mi życie staraniem twojem, lecz się zadziwiłeś, gdy przyszedłszy do zdrowia, oświadczyłem ci postanowienie moje zostania tu pustelnikiem na resztę mego żywota. Przyczyny mego postanowienia i imię moje zataiłem przed tobą; tyś ojcze, ustępując mi chętnie tę chatkę, nie nalegał i zostawił czasowi i bliższemu poznaniu mnie, odkrycie mej tajemnicy i powodu mego pustelnicstwa, luboś się domyślał, że powód ten nie mógł być ani zwyczajnym ani pospolitym. Dzisiaj wiesz wszystko, mamże ci jeszcze wyznać przyczynę, która mnie do tej chatki przywiązała? dla czegożbym

jej nie powiedział... I po krótkim zastanowieniu mówił: Tyś człek pobożny i bogobojny; ty wierzysz w widome cuda, które niekiedy Bóg z miłosierdzia swego ludziom objawia, nie raz czytając razem żywoty świętych Pańskich, moc Boską i łaskę chwaliliśmy pokornie, a więc powiem ci, oto gdym tu leżał, w chwili zupełnego po gorączce osłabienia, ujrzałem przy sobie księdza Daniela...

— Możeś zasypiał i marzył, jako i teraz coś podobnego z tobą było, przerwał Chojecki.

— Może... alem go widział tak... jak widziałem teraz rodziców i przodków moich... jasność go natenczas, jako i ich teraz, otaczała, a czy własnymi słowy, czy wewnętrznem natchnieniem, bo tego nie pomnę ani pojmuję, jako i wtenczas nie pojmowałem, dał mi on posłyszeć czy poczuć w sobie znowu mój wyrok: „Rozbrataj się z ludźmi i ze światem, a skończ tu z Bogiem i w Bogu“ ... Dokonywam dziś i spełniam ten wyrok.

Jeszcze cię proszę, ojciec mój, mówił coraz ciszej i trudniej, jeszcze cię proszę... pisma i listy matki mojej do mnie, które znajdziesz w papierach moich, połóż mi na piersiach w trumnie...

Zamilkł...

— A cóż z innemi papierami mam zrobić? zapytał Chojecki.

Milczenie.

*

*

*

Wczesny zmrok jesienny zapadł, Chojecki zapalił lampkę i postawił ją na stoliku przy krucyfixie, płomyk jej niepewny nikał w ciemności izdebki, słabem swem

ogniskiem obejmując zaledwo krzyż Zbawiciela, twarz śmiertelną bladością obleczoną, ale spokojną usypiającego pustelnika, i martwiejącą a rozciągniętą na łożu postać jego. A kiedy niekiedy tylko żywiej błyskając, odsuwał dalej nieco pomrokę i wyjawiał oblicze starca, stojącego u łoża umierającego i ze złożonymi pobożnie rękami cichą szepeącego modlitwę... Tak przetrwał czas niejaki obraz ten, niewzruszony, milczący jakby na tle całunu ponurą fantazją malarza utworzony...

Nagle podjął on powieki, a w tem osłupiałem oku Chojecki z przerażeniem dostrzegł, śmierć, wyciągnął rękę, ujął krzyż ze stolika i do ust go swych przyciskając, zaledwo dosłyszonym głosem wymówił: „z Bogiem, i w Bogu!“ drugą zaś ręką chciał wiaść gromnicę, tuż pod krzyżem leżącą, lecz otrętwiała prawica upadła tylko na nią a ująć jej nie mogła.

Zrozumiał chęć tę Chojecki, zapalił więc gromnicę i trzymając ją razem z zimną ręką umierającego, litanie do Matki Boskiej głośno odmawiać począł... Gdy wyrzekł z głębokiem uczuciem... Patronko konających! i po razy kilka powtórzył. Patronko konających! zmiłuj się nad nami! lekkie westchnienie wzniosło pierś pustelnika.

Chojecki skończył litanie, dotknął jego czoła, zdmuchnął gromnicę... i wyszedł, w chatce została lampka, słabym pałająca płomieniem, godło życia ludzkiego, trup, godło końca człowieka na ziemi, i krzyż, godło wiecznej jego nieśmiertelności.

Część trzecia.

Votum chybione.

I.

W obszernej komnacie infułackiego domu w Olyce, ozdobionej z niejakim dostatkiem, który dziś konfortem nazwaćby można, siedział za stołem czarną aksamitną oponą zasłanym, na którym srebrny wielkiej miary stał krucyfiks, ksiądz Jerzy Laskaris infułat Olycki i patriarcha Jerozolimski, podeszły wiekiem, a urodzeniem, dostojnością i kapłańskimi cnotami znakomity. Trzymał on w ręku list, i wpatrywał się w młodzieńca stojącego przed nim, list ten był w takich wyrazach:

„Jaśnie wielmożny najprzewielebniejszy księże infułacie, a ukochany nasz kuzynie i dobrodzieju!

„Z najpokorniejszą rewerencją submitując się do stóp waszej Ekscellencji, posyłamy najukochańszego syna naszego Jana, i zalecamy go w szczególniejszą opiekę i świątobliwą manudukcję waszą.

„Straciwszy czworo dzieciąt naszych w małości, które teraz Bogu między aniołami służą, uczyniliśmy z żoną moją uroczyste przed ołtarzem pańskim votum, że jeżeli dalszem potomstwem Bóg nas obdarzyć raczy, pierwsze urodzone dziecko podług płci na służbę boską,

to jest do stanu duchownego pościęcimy, a nawet, że od dzieciństwa w habit zakonny obleczonej zostanie, i w nim do lat siedmiu hodować się będzie. Zatem przyszedł na świat oto ten syn nasz, którego jakoby anuncjatora przyszłego szczęścia naszego in patronatu Sancti Joannis ochrzciliśmy, na spełnienie naszego votum przeznaczamy, tem bardziej, że skutkiem widocznym błogosławieństwa boskiego cieszymy się odtąd życiem i zdrowiem trzech synów, z których Jan jest najstarszym, i jednej ich siostrzyczki.

„Edukację temu ukochanemu synowi naszemu, staraliśmy się dać przyzwoitą urodzeniu jego, i w nadziei, że kiedyś idąc drogą imieniem naszym w ojczyźnie dobrze utartą, stanie się luminarzem kościoła bożego i pożytecznym obywatelem, ku czemu wysokie przykłady waszej ekscellencji będą mu wzorem.

„Chciej więc najszanowniejszy księżę infułacie dobrodzieju, podług tego jakieś nam niegdyś obiecać raczył, wspierać młodocianne kroki jego do ołtarza boskiego, abyśmy wszyscy w tem doczesnem życiu naszym mieli zeń zaszczyt i pociechę, a w wieczności, gorliwego za duszę naszą bogomodlę.

„Afekt nasz zatem najszczerzy i dozgonną obligacją naszą zaręczając waszej ekscellencji, ojca i matki władzę, nad synem naszym Janem wam przelewamy, i oboje piszemy się i t. d. Jan Prosper Załuski, Klara z Laskarysów Załuska“.

— Cieszę się bardzo, rzekł infułat do młodzieńca, przeczytawszy list, witając cię tutaj, w rzeczy samej będąc niegdyś w domu rodziców twoich, a moich za-

nych krewnych, gdyś jeszcze był dzieckiem, i w bernardyńskim chodził habicie, przyrzekłem im, że jeżeli mi Bóg dożyć tego dozwoli, przyłożę się, ile będę mógł, do spełnienia pobożnego ich względem ciebie votum, a zatem chętnie obietnicy mej dotrzymam, ale czy masz waszmość prawdziwą vokację do stanu, do którego się zabierasz..

— Mam postanowienie, odpowiedział młodzieniec, spełnić wolę i uroczysty ślub rodziców moich.

— Prawda, mówił infułata, ślub to był uroczysty i ma jakoby sakramentalne znaczenie; rozwiązać go może tylko duchowna władza, wszakże przymuszonej ofiary Bóg nie wymaga, wiele lat wieku liczysz sobie?

— Kończę rok dwudziesty trzeci.

— No, to już jesteś dojrzały, i determinację twą nie tylko podług woli rodziców, ale i podług wewnętrznego natchnienia uczynić musiałeś.

Młodzieniec skromnie uchylił głowę, wrzekomo utwierdzając słowa infułata.

— Więc dobrze, rzekł ten, odpocznij teraz po tak długiej podróży, a nim się zalokujesz w seminarjum, tymczasem pomieszkasz u mnie. Jutro u nas wielka festyna i kościelna i funduszowa, dobrze trafiłeś, będziesz mój kochany kuzynie świadkiem, wspaniałej dobroczynności Radziwiłłowskiego domu, która corocznie z ich skarbów splywa na wsparcie biednych, niosąc najprzyjemniejszą zapewne Bogu ofiarę, a przykład bogaczom tego świata, jak swych dóbr używać mają.

Przywołał potem infułat swego kapelana ks. Idzego, i jego staraniu młodego gościa swego polecił.

* * *

Zanim pójdziemy za dalszym ciągiem naszego opowiadania, powiedzmy wprzód słów kilka o tej dobroczynnej fundacji Ołyckiej, którą ksiądz infułat na jutro obwieszczał.

Wiadome są z dziejów wielkie chrześcijańskie i obywatelskie cnoty Stanisława Albrechta Radziwiłła, księcia ordynata na Olyce i Nieświżu, kanclerza litewskiego, miał on dwie żony; pierwszą Rebekeę de Eysenrich znakomitego domu z Bawarji, wdowę po Michale Działyńskim; drugą, Krystynę Lubomirską, Stanisława wojewody krakowskiego córkę; ani z pierwszej, ani z drugiej, nie miał on z własnej krwi potomka; obie więc nie mając dzieci, dla których zwykle serca rodzicielskie wszelkie prace i dostatki zachowują, tem swobodniej szły za przykładami męża, rozdzielającego z hojnością nadzwyczajną, bogactwa swoje między kościół i ubóstwo.

W Olyce zatem, gdzie ksiązę kanclerz wznosił wspinały dom boży, gdzie fundował i szczerze uposażył kolegiatę czyli kapitułę, seminarjum, szkołę, szpitale, żona jego Krystyna z Lubomirskich, postanowiła uczynić fundusz, któryby jej imie i pamięć w ojczyźnie uwidoczniał i uświęcił, a z któregoby wspomagani biedni, w modłach za nią do Boga jej się wyplacali.

Przeznaczyła więc ona ze swej bogatej oprawy, i na dobrach męża swojego oparła kapitał, od którego

procentem wyposażać się miały corocznie dwanaście dziewięć szlacheckich, po złotych tysiąc każdej i dwanaście mieszczek po złotych pięćset, losem wybranych programat ku spełnieniu tego wsparcia był, że w wigilję uroczystości Nawiedzenia Panny Marji, to jest 2. lipca, zbierać się były powinny i zbierały się rzeczywiście ze stron blizkich i dalekich, ze swemi rodzicami lub opiekunami z klas obu kandydatki, to jest dziewięć mające prawo z ubóstwa swego do tego wyposażenia i po solennych nieszporach, zapisywały się u księdza infułata na osobne stosowne do urodzenia swego listy, nazajutrz zaś po uroczystem nabożeństwie, przystępowano w kościele do losowania, co już wejdzie w treść naszej powieści.

W dniu więc tym, kościół Ołycki napępiał się tłumami pobożnej i ciekawej wszelkiego stanu ludności. Przed kratkami klęczało kilkadziesiąt dziewięć oczekujących po odbytej spowiedzi, Mszy pontyfikalnej przez samego księdza infułata celebrować się mającej i przyjęcia z rąk jego św. Komunji. W zakrystji zaś infułat czekał na przybycie do kościoła ówczesnego ordynata Michała Kazimierza Radziwiła, hetmana polnego litewskiego, który znajdując się natenczas w Ołyce, obrzędowi temu obecnym być pragnął, znanym on jest w popularnych dziejach tego kraju z przysłowia Rybeńku, jak syn jego z panie Kochanku. Pierwszy on raz po otrzymaniu hetmańskiej buławy przybywał do Ołyki, z żoną swą Wiszniowiecką córką.

Pierwszy raz także tu towarzyszącej mężowi, słabość lekka, długą podróżą spowodowana, nie dozwoliła

być razem w kościele, więc w kaplicy zamkowej de-
wocję dnia tego pobożnie spełniała. Wkrótce ruch u
wejścia i rozstępujące się gromady, obwieściły przy-
bycie księcia; liczna go otaczała asystencja, wojsko-
wych jako około wodza i dworskich jako około wiel-
kiego pana, wsiadł on na przygotowanym dlań a bo-
gato przybranem krześle w prezbiterjum, a książdz in-
fułat w asystencji całego kleru, wyszedł ze Mszą.

Po skończonem nabożeństwie i uroczystem odśpie-
waniu hymnu wezwania Ducha św., odniesiono sancti-
simum do zakrystji i zaczęto robić przygotowania do
dzisiejszego obrzędu. Lecz nim się to uporządkowało,
infułat stawiając Załuskiego przed księciem, rzekł: „re-
komenduję waszej książęcej mości mojego kolligata
Jana Załuskiego, przybyłego tu z Litwy, z postanowie-
niem i ślubem rodzicielskim, a z własną pobożną wo-
kacją do stanu duchownego i zalecam go w łaskę twą
serenissime Princeps!

— Przystojny młodzieniec, rybeńku, rzekł książę zmie-
rzając poważnym wzrokiem prezentowanego: *formosus
adolescens!* ale wolałbym ks. infułacie, abyś go mnie
jako hetmanowi zalecał, bo zdaje mi się, że mu skła-
dniej do ręki przypadłaby szabla, niżeli kropidło.

— W rękach Załuskich, ozwał się żywo i śmiało mło-
dzieniec, bywały nieraz pastorały, pieczęcie i pióra
mądre, równego zda mi się waloru w ojczyźnie jako i
hetmańskie buławy.

Infułat się zaczerwienił, dworscy i wojskowi ota-
czający księcia spojrzeli surowo i przykręcali wąsów,
czekając może skinienia hetmańskiego do zaczepki, ale

się omylili wszyscy. Wprawdzie książę pokręcił także wąsa, ale uśmiechając się łagodnie, rzekł: podoba mi się twój animusz, panie Załuski, szlachecka to krew i młoda, nie gniewaj się jednak rybeńku, nie myślałem ubliżać szlachetnemu imieniowi twemu, znam wysokie merita w ojczyźnie Załuskich i życzę ci abyś exemplo znakomitego Jędrzeja Chryzostoma, trzymał kiedyś w twoim ręku i pastorał biskupi i pieczęć kanclerską i pióro mądre, znałem go w młodości mojej, to mówiąc podał rękę Załuskiemu.

Młodzieniec oczekując ostrej odpowiedzi, tem żywiej ujęty został dobrocią i łagodnością tak wysokiego i potężnego dostojnika, skwapliwie więc ujął podaną sobie rękę i z uszanowaniem ją ucałował. Ta duma rodowa i razem ta pokora młodzieńcza, podobała się księciu, podobała się wszystkim. Książę uścisnął go. Rybeńku niech cię Bóg błogosławi, rzekł. Za nim infulat także błogosławieństwo powtórzył, a dwór cały hetmana otoczył go gronem i witając uprzejmie jakby dawno znajomego, radami go choć nieproszonemi ale serdecznemi traktował.

— Porzuć rewerendę, odzywali się wojskowi, bądź z nami; obaczysz jak cię nasz hetman pokieruje.

— Trzymaj się infulata, mówili przeciwnie dworacy, będzie z ciebie całą gębą ksiądz, a może kiedyś i prymas naszej korony.

* * *

Tymczasem wyniesiono długi stół na środek kościoła i suknem go pąsowem okryto; postawiono na

nim urnę, do której wsypano kartki białe, w ilości równej liczbie kandydatek ze stanu szlacheckiego, (toż samo się potem i dla mieszczek powtórzyło), dwanaście z nich było szczęśliwych, reszta pustych; za stołem zasiadł książę, obok infułat, dalej kapituła, to jest sześciu kanoników. Z tych jeden wstąpił na ambonę i po stosownem przemówieniu, wołał z listy imiona wczoraj wpisanych dziewic...

Każda zbliżała się bojaźliwie do stołu, za każdą szła albo matka, szepcząc cichy paciorek na intencję szczęśliwego losu dla dziecka, albo stara ciotka i krewnie opiekujące się temi, które matek nie miały, sierotami! albo nakoniec wlokł się także za córką stary zgarbiony szlachetka, w wytartym kontuszu z szabelką u boku... przystępował on drżącym krokiem do hetmana swego... do wodza szlachty... przychodząc doń jakby po ostatni ordynans maszerunku... na tamten świat.

Teraz postaw się miły czytelniku myślą w przeszłość cofnijoną obecnym natenczas w kościele Ołyckim, przeprowadź okiem po tem całym zgromadzeniu, patrz na wszystkie oblicza i utwórz przed sobą obraz tej chwili wspaniałej, uroczystej i rzewnej razem, a obraz ten podług własnego twego serca utworzony trafniejszym i miłszym ci będzie, nad wszelkie moje opisy, a mnie od nich uwolni.

Już kilkanaście imion przewołano: Hanna Nagurska! ozwał się kaznodzieja.

Ilekróć zawołana dziewica przechodziła kościół i zbliżała się do stołu, tłumy ciekawe zwracały na nią oczy, a szczególnie dworscy księcia, przed którymi

kraśniały jagody, a spadały ku ziemi żrenice tych biednych, a niektórych ładnych dziewcząt i nie obeszłoby się bez żywszych wyrazów i komplementów, gdyby obecność księcia i respekt miejsca nie wiązał humoru dworskiego takim widokiem łatwo podbudzić się mogącego. Gdy się ukazała Hanna, nie przelotne wrażenie, ale powszechna admiracja powitała ją. Piękną ona była i bardzo piękna! Postawa składna, wdzięk jakiś skromny i miły, a razem dający domniemywać wyższe jej nad ubóstwo, które ją tu przywodziło, ukształcenie, spojrzenie swobodne, nielekliwe i niesromające się tego ubóstwa, ale łzawe i miękkie, jakby uczuciem chwili obecnej natchnięte, ubiór nakoniec i suknia prosta ale schludna i bez przesady, pod którą dzisiejsze jej towarzyszki niedostatek swój upstrzyć starały się, wszystko to złączone w Hannie, uderzyło i zajęło każdego.

Stary mężczyzna opierający się jedną ręką na kiju, prowadził ją drugą, a raczej ona go wspierała w trudnych jego krokach, był to jej ojciec. Szczególne jak dziś znamiona i znaki wojskowego zawodu, nie oznaczały natenczas widocznie zwłaszcza tych, którzy ten zawód już przeszli, to jest byłych wojskowych, wszakże zostawała im, wyrażając się po prostu, mina żołnierska, a ojcu Hanny zostało jeszcze i kalectwo, po jednej więc i po drugim, nikt się nie omylił, poznając w nim starego wojaka.

Hanna wyciągnęła los... szczęśliwy, wszystkim po sercu, bo wszystkich serca od razu sobie zjednała, jedno wszakże gwałtowniej biło od wszystkich. Za krzesłem infułata stał Załuski, młody ten człowiek nie poj-

mował co się z nim w tej chwili stało? widok Hanny jakby iskra elektryczna wstrząsł go, a to nagłe wstrząśnienie przewróciło w mgnieniu oka kartę w księdze przeznaczeń jego... Krew w nim żywiej krążyć poczęła i falami napływała do serca, stan ten jego wewnętrzny objawiał się na jego twarzy; drżał, bledniał, czerwieniał, lecz nikt na to nie zwracał uwagi, on sam tylko czuł w sobie rewolucję, do pierwszych symptomatów niebezpiecznej jakiej choroby podobną, i odszedłby z kościoła, lecz gdy ojciec i córka oddalali się od stołu, książe rzekł: „Mości panie Nagurski, proszę waszmości po tej całej ceremonji zostać w kościele, mam z waszmością do pomówienia“. Nagurski zatem uklonił się nisko księciu i odszedł do ławek, a Załuski jakby siłą niewidomą pchnięty, przecisnął się przez tłumy, i oka nie spuszczając z Hanny, stanął naprzeciw niej za filarem, nieporuszony jak marmur.

II.

Przeciągnięto wszystkie losy i dla szlachcianek i dla mieszczek, zapisano w księgę imiona szczęśliwych dziewic, osięgających przeznaczone posagi i kazano im przybywać na dzień 11 listopada, to jest na fest św. Marcina, patrona ubogich, dla odebrania znowu z rąk infułata pieniędzy, które administracja Ołycka, z dochodów zwykle już w tej porze do kasy ordynackiej wpływających, wcześniej mu wypłacała. Zawiedzionych pocieszano nadzieją, i wzywano na przyszłą rocznicę, a

wspaniały książe hetman chcąc ulżyć zmartwieniu tych, którym próba nie dopisała, powodem swej osobistej prezydencji w obrzędzie, rozkazał za koszta podróży, każdej rodzinie po parę dukatów z własnej szkatuły wyliczyć.

Zatem ks. infułat odszedł do zakrystji, i tam w żałobną kapę obleczony wyniósł najprzód Sanctissimum na ołtarz, a potem z całym duchowieństwem i zgromadzonym ludem, prowadzony przez księcia hetmana zstąpił procesjonalnie do kościoła podziemnego, to jest do sklepu gdzie spoczywały zwłoki tych dobroczyńców ludzkości.

Stoją tam trzy trumny, po środku samego księcia Stanisława Albrechta Radziwiłła, a po oburącz dwóch żon jego; naprzeciw jest ołtarz, przy którym codziennie Msza relikwialna się odprawia. Ołtarz gorzał rześistem światłem świec i lamp, które i po całym tym obszernym a przyémionym lochu rozrzucone po ścianach, grobowym płomieniem pały. Na górze w kościele ozwał się organ... Uroczyste a żałobne de profundis runęło zeń do sklepu, i drżącym brzmieniem napelniając podziemie, wzbudzało i tłumilo tam razem głębokie westchnienia wzruszonego ludu. Infułat ukląkł na stopniach ołtarza, przed figurą ukrzyżowanego Chrystusa, i głośno litanie za dusze zmarłe odmawiać począł.

Natenczas uposażone dziewice, ich matki, babki, ciotki, opiekunki, ojcowie i krewni, gwałtem się przecisnęli do trumn swych dobroczyńców, oblegli je, padali na nie, obejmowali je, płaczem rzewnym i łkaniem przerywając święte litaniałne wezwania infułata i własne

„módl się za nami“. Nagle parte ściskiem osuwają się wieka trumny, a Stanisław Albrecht Radziwiłł i córka Lubmirskich, Krystyna żona jego, stają się świadkami najczulszej wdzięczności ludzkiej za ich dobrodziejstwa, i jakby osobiście odbierają za nie modłami i łzami zapłatę.

To niespodziane odkrycie zwłok, zachowujących całym wiekiem nie starte jeszcze a zaschłe oblicza, a zatem uświęcone domniemaniem szczególnego błogosławieństwa i łaski Boskiej nad niemi, nie przeraziło nikogo, owszem oddzierano szmatki litej a zbutwiałej materji okrywającej trupy, na relikwie i pamiątki w szkaplerze potem zaszywane.

Klęczący książę hetman podczas litanji, i pobożnie ją z całym ludem odprawujący, po jej ukończeniu, stanął nad odkrytym grobem swego o sto lat w przeszłość oddalonego antenata, mileżał, a potem rzekł wzruszony: Obym mógł iść drogami twemi. Infułat pożegnał zwłoki, i trumny zakryć kazał.

*

*

*

Gdy wszyscy wyszli ze sklepów i z kościoła, infułat rzekł do księcia: Serenissime princeps! Pierwszy raz mieliśmy szczęście widzieć Radziwiłła, rozdzielającego dary Radziwiłłowskie; dotąd bywa tu zawsze którykolwiek ze sług ich pańskiego domu, zasiadający z nami ad hoc officium; dziś wasza ks. mość zastępujesz swojego zastępcę, więc musisz aż do końca spełnić reguły na ten dzień przepisane; to jest zjeść obiad w infułacji, ze wszystkimi przybyłemi tu gośćmi cujusvis

status et sexus, a szczególnie z uposażonemi dziewczynkami i rodzinami ich; zresztą obiad to nie mój, ale Radziwiłłowski, można powiedzieć, własny twój Serenissime princeps, bo fundusz na to przeznaczony jest w zapisie księcia kanclerza.

— Ja rybeńku, odpowiedział książę, chciałem właśnie ciebie Illustrissime z całą prześwietną kapitułą, do zamku na żołnierski traktament solennie zaprosić, ale gdy taka jest reguła funduszowa, chętnie jej ulegam.

— Za dozwoleciem zatem waszej ks. mości, proszę pokornie szanownego skarbnika, rzekł infulat obracając się do pana Faszczka, marszałka dworu księżęcego, aby przyjął na siebie dyrekcję dziś u mnie tej festyny, i księdzowski tam ład po swojemu naprawiał i dysponował...

Książę uchylił głowę, na znak zgody, a pan skarbnik odszedł do infulacji. — Gdzież jest pan Nagurski? zapytał książę oglądając się w około.

— Jestem na rozkaz jaśnie oświeconego szafarza krwi naszej, odezwał się Nagurski wychodząc z tłumu, i stając przed księciem, starzec czerstwy, i rzeźwy jeszcze, o ile mu kalectwo dozwalało.

— Waszmość widzę traktowałeś wojskowo, rzekł hetman.

— Tak, mości książę, od lat młodych, aż póki szwedzka kula łamiąc nogę, nie dała mnie abszytu.

— Gdzież to cię ona spotkała?

— Pod Zelborgiem, miłościwy książę, w Inflantach, gdzie służył z księciem Wiszniowieckim, hetmanem W. litewskim, który nam w tej bitwie kredensował.

— Podobno się wam natenczas nie powiodło: pole zostało tam przy Szwedach, rzekł Radziwiłł.

— A tak mości książe; z początku wzięliśmy górę, ale potem Pan Bóg nam nie poszczęścił.

— Gdzież to wasza córka? przerwał Laskaris.

— Poszła wraz z kościoła ze swemi towarzyszami do infuacji za księdzem kanonikiem, którego nazwiska nie świadom jestem, a który im wszystkim kazał iść za sobą na obiad.

— To i my pójdziemy tamże, rzekł książe, ale rybeńku, dodał zwracając się do Nagurskiego, a powiesz nam z łaski swojej, wszystkie cyrkumstancje tej potrzeby, jeżeli pamiętasz.

— O! pamiętam mości książe, i dobrze pamiętam; byłem namiestnikiem w chorągwi husarskiej księcia hetmana, której porucznikował pan Zaranek chorąży żmudzki, a plejzerowany zostałem pod koniec sprawy, w której przeciwnie nie próżnował.

To mówiąc doszli z przed kościoła do ganku infuackiego gmachu i tam siadając na ławce książe — usiadł mości panie towarzyszu, rzekł do Nagurskiego.

Nagurski stał.

— Usiadł waszmość, powtórzył książe.

— Jaśnie oświecony hetmanie, odpowiedział z niskim pokłonem Nagurski, znam respekt od żołnierza wodzowi powinny.

— Mości panie Nagurski, rzekł z powagą książe, żołnierz kaleka za ojczyznę, ante regem nawet usiąść może, jeżeli tego potrzeba, a powtarzam prośbę, abyś nam potrzebę kryzborską opowiedział.

— Postuszny więc jestem, rzekł usiadając Nagurski, i tak opowiadać zaczął:

III.

Bitwa pod Kryzborgiem.

„W roku 1704, 29 lipca, jak dziś pamiętam, bo mnie noga moja codzien tę datę przypomina, książę hetman Michał Wiszniowiecki, w pięć tysięcy wojska litewskiego, a w półtora tysiąca rosyjskiej piechoty, pułków Nieczaja i Protapopa atakował Zelborg, mały zameczek w Inflanciech polskich, w którym było Szwedów ze dwieście, a wprzód przed kilku dniami, w szańcu o milę od Rygi wycieli nasi Szwedów półtora-sta; komenderował polakami Nowosielski, a dragonją generał Siesicki. Szturmowaliśmy tedy do Zelborga przez dni sześć, w którym czasie, to jest 31 lipca, w dzień czwartkowy pokazał się straszny kometa na niebie, przed samym zachodem słońca, nakształt kuli ognistej, a leciał od wschodu na zachód, i przeleciawszy środkiem majdan wojska litewskiego, za Dźwiną we Szwecji zniknął, że ten dzień był trochę pochmurny, i obłoki przyciemne były, tedy zostawił za sobą szlak tak szeroki, jak jaki najszerszy gościniec kędy leciał, a jasny tak, jako miesiąc czysty. Z której drogi potem rozszerzonej (bo się coraz szerzyła), uczynił się potem smok wielki jasny, a od ogona stanął człowiek wielki uzbrojony, tego widoku było na godzinę, i lubo już słońce było zaszło, światło jednak takie było, jako bywa w po-

łudnie. potem w kwadrans uczynił się grzmot taki, jakby z armat dwóch burzących ognia dano. Od którego huku ziemia na kwadrans drżała, tak jakoby ją mina rwać miała, i ten huk szedł na zachód. Różni różne prognostyki i konjektury z tego wyciągali, ale nie było czasu o tem długo rozmyślać, bo nieprzyjaciel następował, i zaraz książę hetman odstąpił przededniem od Zelborgu, pod slobodę kryzborską, bo szwedzki generał Levenhaupt z Imci panami Sapiehami i Imé panem Zawiszą w siedm tysięcy na odsiecz swoim przyszedł.

Dnia 5. sierpnia we wtorek, tenże generał Levenhaupt szedł zaraz awanzując aż pod Kryzborg z temiż ichmościami, a do nas też sukurs Imé pan Hrehory Ogiński przyprowadził, Moskwy dwanaście kornetów dragonji z Suchotynem półkownikiem, a ośm kornetów szlachty smoleńskiej z generałem Korsakiem.

„I dał nam batalję Szwed na samym zachodzie słońca, gdzie nas właśnie pod słońce uszykowano, i żeśmy za blaskiem słonecznym i dojrzeć nie mogli nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel zaś upatrzywszy, iż nasze prawe skrzydło potężnie było uszykowane, bo było więcej pięciu tysięcy wojska w nim; wszystkie dragonje i rajtarje, petyhorja, pancerni i husarje, a w lewem ledwie ze dwadzieścia chorągwi naszyck, i to w bajrakach było uszykowanych; bo pola wcale nie było, jeno lasy drobne; zaczęm Szwedzi wszystką potencję swej kawalerji obrócili na lewe skrzydło, bo też znać im dał pewny zbiegły husarz Parko nomini, że tam bardzo szyk słaby był. JW Pan Zaranek chorąży żmuzki, a po-

rucznik husarski pana hetmana, przybiegł prosząc o pomoc lewemu skrzydłu.

„Książę tedy jegomość, wzięwszy swoją husarską chorągiew, także księcia kanclerza usarską, swoją petyhorską poruczeństwa W. Szyrwińskiego i dwie pancerne, i sam z temi chorągwiami szedł w sukurs lewemu skrzydłu pomiędzy piechotę, szwadronami w szyku stojącą; cośmy jeno wymknęli po koniu idąc, abyśmy szyków piechoty nie zmieszali, zarazemy się spotkali ze szwedzką rajtarią, skoro tedy Szwedzi dali ognia, ussarja księcia hetmana poszła z placu, niewytrzymawszy ognia, a byliśmy tak uszykowani: pachołcy z przodu a w tyle towarzystwo. To porucznik lub namiestnik szeregi zajeżdżał, a pierwszy towarzysz pachołkom przywodził, w której to chorągwi usarskiej księcia był namiestnikiem Franciszek Szujski, pachołkom zaś przywodził JW Pan Adam Sakowicz, za którą chorągwią i inne pierzechnęły. Porucznik zaś usarski księcia jego mości Radziwiłła kanclerza JW Pan Aleksander Unichowski sędzia ziemski miński, ten stanąwszy przed chorągwią, towarzystwo w pierwszym szeregu postawił, a pachołkom pocztowym w tył kazał, których to pachołków szeregi zajeżdżał pierwszy towarzysz JW Pan Józef Swida stolnik owrucki; tak tedy trzy ognie szwedzkie wytrzymał, nie strzelając, a po wydanym ogniu szwedzkim obces skoczył z chorągwią, tamże półkownika szwedzkiego przywodzącego z pistoletu zabił, gdzie i pod Imcią klacz postrzelono w nogę, na której do okazji siedział, i tak serdecznie się potykając dwie hufy Szwedów wygolili, tak że i jednego nie zostało; bo Szwedzi kornetów nie mieli, bo był to

lud komenderowany jedni z Polski od króla swego w sukurs Levenhauptowi przysyłani, a drudzy własnej Levenhaupta komendy, i pewnieby byli nas ogarnęli i znieśli, bo ich było więcej trzech tysięcy samej kawalerji, gdyby nam zaraz w sekundę nie przyszedł JW Pan Szyrwiński porucznik Petyhorski pana hetmana wielkiego z prawej strony, a z lewej znowu strony sekundował nas JW Pan Ważyński starosta Tyrszlewski porucznik Petyhorski pana hetmana polnego, i takeśmy spędzili dużą partję z pola. Przytem Imć pan Zaranek chorąży żmudzki z ussarją której porucznikował a w której i ja byłem namiestnikiem, uderzył na Szwedów, pancerne chorągwie, których było 23 obces w ogień skoczyły tłumem, i takeśmy byli znieśli wszystką kawalerję szwedzką i przerzynali aż za pół mili jak bydło pędząc przed sobą i lubego rąbiąc i strzelając, ażeśmy mieli w ręku wygranę, tak naszemu skrzydłu Pan Bóg poszczęścił.

„Jednak w tej tam okazji, porucznika chorągwi petyhorskiej pana Wołowicza, marszałka W. X. litewskiego, imci pana Horodeńskiego postrzelono, ten do godziny umarł z postrzału. Imci pana Matawskiego porucznika pancernego księcia jegomości kanclerza, postrzelono także, ten żyje. Imci pana Sorokę, porucznika chorągwi Grużewskiego stolnika W. X. L. zabito. Pod ussarją księcia jegomości kanclerza, towarzystwa, trzech zabito: Imci pana Stanisława Kmitę, imci pana Jakóba Kamińskiego, i imci pana Kazimierza Ptaka; tamże postrzelono w nogę imci pana Józefa Swidę, porucznika szeregowego pachołków, i konia pod nim dziewięć razy

postrzelono, a dziesiąty raz cięto szpadą w łeb, a przecież wyżył i wyleczony był. Pacholków wielu postrzelono i zabito, koni też naginęło gwałt.

„I takeśmy pędzili Szwedów aż na sam odwód ich, który do nich ognia dał, chcąc ich utrzymać, ale nie mógł, bo i ich zmieszali samiz Szwedzi uciekający, za któremi lewe skrzydło nasze już sine ordine z ochoty pędzili się. Na prawe skrzydło zaś tylko sześć kornetów uderzyło Szwedów, gdzie ani rajtarja nasza, ani dragonja, która była bardzo moderowana i liczna, nie tylko aby miała wytrzymać ogień, jako lud ognisty, ale nie wydawszy ognia poszła z placu, oto dla złej komendy nad niemi p. S... bo też to był szkolny żołnierz, a ordynansów hetmańskich nie spełniał; gdy tedy tak sromotnie uciekła dragonja i rajtarja, zaraz za nimi poszli panowie K... kieliszskowi żołnierze, którzy kowodowali polskimi chorągwiami: a także za nimi powędrował pan B... pułkownik piechoty. Natenczas na prawem skrzydle wojska naszego było samej rajtarji ośmset, dragonji dwanaście set, pancernych i petyhorskich chorągwi bardzo moderowanych i odkrytych trzydzieści. Dla czego przegrana z takim wojskiem okazja, łącno każdy konjekturować może: azaliż nie dla złego rozkazu i niezgody w komendzie? a tak przegrawszy, bo i uciekający Szwedzi wrócili i nasze lewe skrzydło już sine ordine będące rozpłoszyli; lubo ich jazda już była o milę uciekła, a Polacy przy nich będący aż za mil kilka i dalej ustąpili.

„Otóż w tem zamieszaniu i rejteradzie, nasza chorągiew lepszą jakąś kupką się trzymała, i kilka razy sal-

wowaliśmy się, wierząc sobie kopją drogę między Szwedami: strzelano ze wszystkich boków, i zdało mi się, że mnie ktoś kijem po nodze uderzył. Szwed nie gonił nas natarczywie, bo się miał z czego sam wylizywać a wkrótce i noc zapadła; ja dla srogiego bólu nie mogąc już na koniu dosiedzieć, prosiłem kolegów aby mię nie opuszczali, i w ręku tych bezbożnych lutrów nie zostawili; jakoż chowaj Boże, strzegli mię oni jak oka we łbie, i z obozem dostałem się do Birż, gdzie żydek cyrulik wziął mię w swoją opiekę, i choć mi nogę na ćwierć łokcia pokrócił, ale przecież życie darował“.

— Dziękuję waszmości, rzekł hetman, za tę narrację, bo z niej widzę że przecież jeden orzeł Radziwiłłowski nie pierzchnął przed Swedem; i gdyby wszyscy również dzielnie stawali, nieprzyjaciel wzięłby słuszny wstręt na pierwszym wstępie do ziemi naszej.

— Prawda mości księżę; i w tym właśnie postrzeżono różnicę moderunku Radziwiłłowskiego, że gdy w innych chorągwiach pacholikowie stawali w pierwszych szeregach, a panowie towarzystwo z tyłu, w czem był kontempt honorowi szlacheckiemu, to pan Unichowski porucznik husarji księcia Radziwiłła, jako mężny kawaler, sam stanąwszy na czele swego hufcu, towarzystwo na przodzie postawił, a pacholików w tył ordynował: bo to zwyczajnie mości księżę, pacholik salwuje życie, a towarzysz jako szlachcic salwuje honor: ztąd pacholik w okazji patrzy za siebie, a towarzysz przed siebie.

Słusznie mówisz rybeńku, rzekł księżę hetman, a w tym dano znać na obiad.

IV.

Budowniczy infułatskiego domu w Ołyce, musiał wiedzieć przeznaczenie onego, i dobroczynne myśli fundatora; bo w obszernym tym gmachu pomieścił nie tylko wygodne pomieszczenie dla infułata i jego duchownego dworu, ale też jeszcze i przestronnych sal kilka, na sessje kapitulne i na wszelkie liczniejsze zgromadzenia, jakim właśnie było i dzisiejsze; w nich zastawiono stoły, osobny nakryto nakilka osób, do którego Laskaris księcia tylko i kilku z dostojniejszych gości zaprosił, sam wśród nich miejsce gospodarza zastępując. Ale hetman wziął Nagurskiego za rękę i rzekł: „mości namiestniku, proszę trzymać się ze mną, bo mam jeszcze z waszmością ad conferendum“, jakoż posadził go przy sobie. Nagurski opierał się nieco, ale usiadł nakoniec bez wielkich ceremonij, bo wojskowość odzwyczajają żołnierza z wodzem, i wlewa weń niejakaś szlachetną śmiałość w postępowaniu z wyższemi, godną a przyzwoitą. Inne stoły obsiadł dwór książęcy, i cały korówod szlacht przybyłych; nakoniec stół oddzielny i w oddzielnej sali, otoczyły dziewice wyposażone i niewiasty, matki ich i opiekunki, a w każdym jeden z kanoników był gospodarzem. Załuski nie siadł do żadnego stołu, bo w rozmarzeniu jakie po pierwszym paroksyzmie objęło go, czuł on że na miejscu usiedzieć długo nie będzie mógł, tak przynajmniej siebie przed samym sobą tłumaczył, bo prawdziwej przyczyny zawracającej go ciągle do stołu za którym siedziała Hanna, sam się lękał, chociaż ją poznał i czuł w sobie, jakby świeżą ranę zadaną w serce.

Wśród tłumu i ścisłu gości i służby nikt nie uważał i nie postrzegł go snującego się po salach; ale nie mogło ujść oka pana skarbnika marszałkującego około stołów.

Człek sprawujący tę funkcję u wielkich panów, obowiązany czuwać codzien nad porządkiem licznego dworu z rozmaitych figur, wszelkiego stanu, obyczaju i kondycji złożonego, musiał być koniecznie roztropnym, baczny i wielce przenikliwym szczególnie z młodzieżą, dla której dwory były natenczas szkołą przedwstępną do życia publicznego; a w szkole ten pan marszałek bywał zwykle profesorem nauki moralnej. Takim był i pan Piotr Faszcz marszałek dworu księcia hetmana, skarbnik Rzeczycki, szlachcic dobrego imienia, ale podupadłej substancji; z pod jezuickiej feruły wyszły; człek przystojnej postaci, a poważnej dworskiej fantazji i manieri pełny; lubił go zatem książę, a szanował dwór cały; my go lepiej w dalszem opowiadaniu poznamy. Ten postrzegłszy Załuskiego przechodzącego się około stołów, zadziwił się i chciał się dowiedzieć przyczyny, dla czego on nie siedział przy żadnym stole, zwłaszcza, że kilka miejsc nie zajętych zostało; zbliżył się więc doń i zapytał:

— A czemuż mości panie nie usiadłeś do obiadu?

Nagle zagadniony Załuski zmieszał się i zaledwo wyjąknął bo... bo... głowa mi boli.

— A to dobrze czynisz, rzekł pan skarbnik pokrecając wąsa, ale spokojnie i jakby wierząc wymowie, której widoczna mitrega młodzieńca fałsz zadawała, dobrze czynisz, dyeta najlepsze lekarstwo, i odszedł. Ale

żaden jeszcze młodzik nie mógł się pochwalić, że oszukał pana Faszczę, nie spuszczał już on z oka kłamcę niepodejrzewającego najmniej, że jest śledzonym. Gdy więc Załuski wszedł do sali kobiecej, Faszcz po kilku chwilach wszedł tamże za służbą wnoszącą misy i półmiski; stanął on we drzwiach, do których tyłem stał Załuski, a naprzeciw których siedziała Hanna. Po rumieńcu żywym na twarzy dziewczycy, po wzroku jej to spuszczonego, to błyskającym nagle, poznał on choć nie widział, jakim wzrokiem patrzy za nią Załuski... Oho! pomyślał zatem, oho ptaszku, głowa cię boli... przyszedłbyś sacerdos bodaj do innego nowiejatu trafia... zaszedł potem na drugą stronę stołu; ujrawszy go Załuski chciał odejść, ale skarbnik rzekł: Poczekaj mości panie, musisz mnie tu zastąpić, ksiądz kanonik dobrodziej gospodaruje tu u stołu dla przynuki; bo skromne i nieśmiałe zwłaszcza dziewczeczki choćby głodne, półgębkiem zwykle dotykają się łyżek, potrzeba ich przymuszać i ośmielać; ale służba infułacka nieskładna, nie będzie tu porządku ani w daniach, ani w podaniach; racz więc tu przyjąć na siebie moje marszałkowskie officium, bo mnie dosyć roboty około książęcego i braci szlachty stołów; przecież waszmość kolligat księdza infułata, a zatem famulus jego domowy, więc i około przystojności domu jego dbać powinienes. Nie prawdaż księżę kanoniku dobrodziej?

— A prawda, prawda, odpowiedział ks. kanonik Jaworski, pracujący właśnie najgorliwiej, nad potężnym zrazem sarniny. Za moim przykładem babulki, za moim przykładem panienczki, gołabczki, suplikuję, suplikuję.

Trójniaczkę tylko infulackiego dostarcz nam panie skarbniku dobrodzieju; na potuszenie! na potuszenie!

— Oto jest mój zastępca, ks. kanoniku dobrodzieju, rzekł Faszcz wskazując na Załuskiego, jemu proszę rozkazywać, a do samego Załuskiego głośno: waszmość tu więc mości panie odpowiadasz za wszelki ład i nieład, wychodząc zaś i mijając go, cicho i ze znaczącym uśmiechem. A co? głowa cię boli... Oj, starego wróbla na plewy nie złapiesz, nie!

Załuski poznał, że ma nieproszonego konfidenta.

* * *

U stołu książęcego toczyła się najprzód potoczna rozmowa, lecz wkrótce zapytał książę: gdzie teraz mieszkasz panie Nagurski?

— W Łucku, jaśnie oświecony panie.

— Czy tam się i urodziłeś?

— Nie, urodziłem się w Sandomierskiem, tam jest gniazdo naszego imienia; odpowiadał zapytywany, a gniazdo to mości książę dobrodzieju nie było niegdyś ciasne... i Ostoja jaśniał tam nie na pustym kominie... ale potem... potem... i kiwnął głową Nagurski.

— Na Litwie są także Nagurscy, ozwał się któryś z gości, i dostatnich fortun obywatele.

— Tak, odrzekł namiestnik, wiem o tem rozdzieleniu się niegdyś domu naszego.

— Cóż cię rybeńku zatrzymuje w Łucku? zapytał znowu hetman.

— Grób żony mojej, mości książę dobrodzieju, i mały dworek z ogródkiem, który po niej i od niej nam

został; dziedzictwo kochanej niańki mojej starości i kalectwa, to jest córki mojej Hanny, jedynej na tym świecie pociechy mojej, a która dziś z łaski i munificencji Radziwiłłowskiej podwoiła swój posąg, bo i dworek nasz wart przecież złotych z tysiąc.

Książę zamyślił się nieco, a potem położywszy rękę na ramieniu Nagurskiego, rzekł: — Rybeńku, człek układa, a Bóg rozrządza.

Biesiada przedłużała się aż ku wieczorowi, po której odchodzący książę, infulata z całą kapitułą na obiad do zamku na dzień jutrzejszy zaprosił. I z waszym rezolutnym krewnym, dodał, którego tu nie widać, a ty stary żołnierzu, rzekł do Nagurskiego, musisz być posłuszny hetmanowi; przeto ordynuję cię na załogę do zamku ołyckiego, i to sine mora zaraz; kwatery przeznaczam ci u marszałka mojego dworu, a córka twoja znajdzie miejsce między respektowemi księżnej żony mojej. Proszę nie odmawiać tej gospody.

V.

Co to jest za powieścio-pisarz? kłamca. Pod jakimże więc warunkiem nie pisząc rzeczywistości, lub ją tylko między dowcipne zmyślenia mieszając, kłamstwa jednakże uniknąć może? Bo i cóż jest rzeczywistość w codziennym życiu ludzkim? czy tylko to co nam pod oko podpada? oh! błahe to i nader jałowe wypadki... gdzie nigdzie ła je opromieni, gdzie nigdzie śmieszność wykrzywi, a zwykle płyną one jednostajnem i odwie-

cznem korytem, którego nie zgłębiają ludzie pospolici; a przecież tu właśnie prawda na dnie, i tam jej szukać musi autor, jeżeli nie chce być kłamcą w obec ludzkości, której nauczycielem i lekarzem się obrał. Szczęśliwa wyobraźnia da mu świetny koloryt malowidła; umiejętność mowy da mu powab i piękność stylu, ale jedynie prawda z serca i z duszy wyjęta da prawdziwą wartość jego dziełu, i potomności imię jego zaleci.

Objawy uczuć wewnętrznych na zewnątrz są rozmaite, stosownie do powierzchownych szat, w które się wiek każdy obleka; ale Bóg dwa razy człowieka nie stworzył, i gdyby był autor współczesny Adamowi i Ewie, któryby ich romans, ich rajskie rozkosze, ich potem wygnanie i biedy, w sztuczną dzisiejszego pokroju powieść układał. ten sameby w ich sercach, w ich naturze człowieczej znalazł materiały, co i terażniejszy pisarz w salonach, z tą tylko różnicą, że tam szatan w postaci węża zarażał i psuł błogie przymioty i dary w duszę ich od Boga wlane; a tu węże w postaci ludzkiej, też samą w towarzystwie podejmują robotę.

Myśl poprzedza się uczuciem, czyn poprzedza się myślą, słowo zaś objawia lub tai jedno i drugie, wyrazy więc autora powieścio-pisarza, leją się z pióra jego po uczuciach i myślach postaci, w praktykę i w rozmaite kombinacje życia przezeń popchniętych; a tak on, całe duchowe jestestwo i naturę ludzką, mieć w sobie, że tak powiem, umieć ją, i znać głęboko musi, „rerum cognoscere causas“, talent zaś zależy tylko na umiejętnem użyciu materiałów z tej znajomości nagro-

madzonych, bez nich na nic się on nie przyda, ludzi tylko będzie brzmieniem słów bez treści, i bez celu, a zatem i bez pożytku. Uczucie, które najczęściej służy główną osnową powieściom, jest miłość, i bardzo naturalnie. Ona bowiem rozpoczyna historję życia prawie każdego człowieka, ona pierwsza wita młodzieńca wchodzącego w świat, i drogę mu kwiatami ściele; ona mu rozjaśnia jak piękna jutrzienka, cały szeroki horyzont przed nim otwarty i ideałami one napełnia... pierwsza miłość, to pierwsze szczęście, druga, to pierwsze cierpienie, trzecia... trzecia niestety, to najczęściej pierwszy rachunek!

Te rozmaite fazy, wrażenia, stopniowania i żądze miłości, stawiając człowieka w rozmaitych także położeniach i przygodach, wpływając częstokroć potężnie na cały los jego, obudzając nakoniec w nim inne znowu namiętności i wiążąc się z niemi, dać mogą i dają treść obfitą dziejopisom życia i serca ludzkiego, ale pierwsza tylko miłość prawdziwie czystym goreje płomieniem; dorzucane doń potem obce paliwa kopcą go, lub rozżarzają w ogień piekielny, w których się topi i niszczy częstokroć cała istność męczennika tej wewnętrznej i namiętnej pożogi.

To więc uczucie w pierwotnej czystości, weszło nagle, jakeśmy to widzieli w serce Załuskiego na widok Hanny. Żart dworski pana skarbnika Faszczu, umieszczający go marszałkiem przy stole niewieścim, zaambarasował go w prawdzie, ale dogodził gorącemu pragnieniu jego, wpatrywania się w anielską twarz dziewicy, do której przystąpić nie śmiał i przemówić nie

umiał, a która także wzroku nań podnieść nie mogła, bo za każdym spotkaniem się ich oczu, czuła mimowolne a gwałtowniejsze uderzenie swego serca, i jakąś sympatyczną przepowiednię, plątającą się po jej trwożliwych myślach...

Hanna rok dwudziesty życia zaczęła. Przed laty dwoma straciła matkę, wziętą niegdyś przez Nagurskiego z grona panien respektowych na Wołyniu domu Olizarów; niewiasta pełna pobożności i cnót chrześcijańskich, która wszystko cokolwiek dobrego, świętego i szlachetnego miała w sobie, w serce córki przelać wrazić starała się, razem z polorem obyczajów u Olizarów nabytym, wyższym nad swą szlachecką chudobę, a jednakowoż godzącym się z tą chudobą roztropnie.

Za życia jeszcze matki, piękność dziewicy, zjednała kilku pretendentów do jej ręki, ale żaden nie trafił serca Hanny, drżącego na samą myśl opuszczenia tej matki i rodzinnego domku, w którym każdy kątek pieczęcią zda się i rozkoszą na niej powiewał... Rekuzę w takim zdarzeniu brał zwykle na siebie sam pan namiestnik husarskiej chorągwi, i pokręcając siwego wąsa wręcz bez ogródki, odpowiadał konkurentowi: „Córka moja nie ma inklinacji do waszmość pana; a zatem vade in pace.“

Śmierć matki uderzyła dziewicę najdotkliwszym i najsroższym ciosem; nie mogła ona podolać boleści... upadła na łóżko, i byłaby zeń nie powstała, gdyby ojciec widząc drugą przepaść otwierającą się przed sobą, i ostatnią toń, w którąby śmierć jedynego dziecka pograżyła go, nie rzekł nad osłupiałą: „Córko! daj mi umrzeć przed sobą, bo bez ciebie, któż mię kalekę

starca przytuli, kto mię nakarmi? i kto na mogile rodziców twoich modlić się będzie?"

Na te słowa Hanna powstała z łóżka i rzuciła się w objęcia ojca, zmieszali oboje łzy rzewne, i Hanna na grobie matki czerpała codziennie siły do usługi ojcu. Tak więc dniejący ten kwiatek polny, piękny a skromny, odchodzić i ożywiać się zaczął powoli, a właśnie w owym czasie Nagurski myślący jedynie o tem, co się stanie z córką po śmierci jego własnej i o jej losie, postanowił aby poprobowała ona szczęścia w Olyce; niechęca i wzbraniająca się długo, uległa ona nakoniec woli ojcowskiej, i oto ją tam widzimy.

* * *

Całe zebranie obcych gości rozeszło się z infuacją na gospody i noclegi do miasteczka; domowe duchowne towarzystwo uraczone i syte, gwarzyło jeszcze czas niejaki na ganku, lecz i temu nakoniec infułat rzekł: dobranoc, a tak każdy oddalił się na spoczynek. Ale Załuski użyć go nie mógł. Potrzebował on chwili samotnej... potrzebował zebrać się w siebie... pomówić i rozsądzić się z sobą... słowem, potrzebował ochłonąć z pomieszania, w którym serce jego i głowa tonęły.

Nie zachodząc więc do swej kwatery, u ks. kapłana, wszedł do ogrodu za domem infułackim rozlegającego się, i tam po szerokich lipowych szpalerach, blaskiem księżyca oświeconych, przechadzać się zaczął.

Nie był to już dzieciak młody, który goni za pięknym motylem bez względu i rozwagi gdzie go ta gonka zaprowadzi, w dwudziestym trzecim roku życia,

umysł sam przez się dojrzewa. Wychowanie jego, w którem uspasabiano go do przyszłego przeznaczonego dlań stanu, nazwalibyśmy dziś duchowo-racjonalnem, połączenie na pozór trudne, a przecież jednoczące się w tem, że zwracając myśli i ducha jego na religijną i kontemplacyjną jedynie drogę, ostrożności razem względem świata i jego sideł, racjonalnie mu dowieść usiłowano; trudne to było zagadnienie, nad którem suszył codziennie i sobie i uczniowi głowę, nauczyciel jego, wybrany z wielu przez Załuskich, ksiądz, mądry teolog, pod dyrekcją którego szła edukacja tego ich poślubieńca, natura jednak, jakby na przekór tym ślubom rodzicielskim, obdarzyła młodziana tem wszystkiem, co mu na świecie i wśród ludzi, powodzenie i powszechną skłonność zjednać mogło. Postać piękna a mężna, pojęcie żywe, umysł szlachetny i wzniosły, którego w obec Radziwiłła na pierwszym wstępie dał dowody, a razem serce czułe i gorące, które także i w tejże samej chwili, w pokornem uczeniu starszego widocznie się objawiło, wszystkie te zacne przymioty, jeżeli tłumionemi w nim nie były, to wszakże rozwijać się w nim nie mogły, pod wpływem nauk i przestróg, zbawiennych zapewne, ale ku osamotnieniu ducha, ku hamowaniu wszelkich wewnętrznych porywów, ku tanienu wszelkich światowych wrażeń, ku zastanawianiu się nad każdym krokiem życia, a nawet ku zewnętrznej codziennej kapłańskiej powadze, wiodły.

VI.

Onego czasu niektóry rolnik, nie zważając, że ziemia jego na zimę pszenicą zasianą była, postanowił koniecznie mieć na niej jęczmień, na wiosnę więc zorał ją na nowo, zawrócił głęboko w ziemię pszenicę, a posiał po wierzchu jęczmień. Zeszedł więc jęczmień, ale słabo i niedołąźnie, bo pszenica, choć głębiej leżąca w ziemi, odciągała z niej w siebie pożywne soki, już jednak powoli jęczmień podnosił się... gdy nadeszła burza i ulewa, mdłe źdźbła jęczmienia wyłamała i zniszczyła zupełnie, a przemaczając głęboko ziemię, ożywiła pszenicę, która wyszła wnet na jaw i gęsto a bujnie pokryła ziemię.

* * *

Krótki ten apolog, wyrozumie łatwo czytelnik i łatwo go do stanu i walk wewnętrznych Załuskiego zastosuje. Burzą tą była miłość, która gwałtownie nań padła i mdły zasiew ascetycznych nauk, na jego sercu obeszłych, zniweczyła mgnieniem oka pięknej dziewczicy. W domu rodzicielskim strzeżony on był od wszelkich zręczności niebezpiecznych spokojowi serca, strzeżono siarkę od iskry. Ks. teolog powtarzał mu codzień sentencję: „Mulier est viri naufragium, quietis impedimentum, vitae captivitas, quotidianum damnum, voluntaria et sumptuosa pugna“. Czem znudzony uczeń a pełny sentencji pisma św., nad którym go tenże nauczyciel pilnie zasadzał, odpowiedział mu raz: „Mulier fortis oblectat virum suum, et annos vitae illius, in

pace implebit“. Jegomością sentencja świecka, dodał jeszcze uczeń, a moja, powiedział mędrzec pański, gdzież prawda?

Zarwany tak nagle i niespodzianie teolog, skrobał się w głowę, zażywał tabakę, a Zaluski patrzył mu w oczy i uśmiechał się z ambarasu swego mądrego nauczyciela.

— No, no, odpowiedział ten nakoniec: „Nulla regula sine exceptione“. Tak, odrzekł znowu młodzik, któremu z wiekiem żywości, energii i inteligencji przybywało, ale naprzeciw powagi pisma, sentencja chyba jegomością dobrodzieja jest ekscepcją, moja zaś powszechną regułą.

Nie dysputował dalej ksiądz, ale tegoż dnia wieczorem na consilium domowem ostrzeżeni przezeń rodzice, postanowili wraz wysłać poślubionego syna do Ołyki, aby tam w seminarjum i pod okiem infułata wszedł już na przeznaczoną mu drogę.

* * *

Tak skoro tylko młodzieniec uwolnił się z pod takiej klauzury i feruły, a odetchnął całą piersią wolnem powietrzem, zdało mu się, że się odrodził, że świat inny, piękniejszy otworzył mu się przed oczyma, że więcej pojął i dojrzał w dni kilka, niżeli w całym dotychczasowem życiu... zszedł mu z myśli cel, do którego dążył, wrócił on mu wprawdzie na myśl, gdy ujrzał Ołykę i zachmurzyło się natenczas czoło jego, ale myśl i serce nie dały się jeszcze ściągnąć z krainy młodzieńczych uniesień i omamień w których tonęły,

i w których przygotowywały się mimowolnie do przyjęcia nowych wrażeń jakby czekających nań właśnie tam, gdzie się ich miał zarzec na zawsze.

I dla tego też iskra z oczu Hanny tak gwałtowny i nagły wzbudziła w nim płomień, dla tego w nocnej po ogrodzie wędrowce, nie walczył on już z uczuciem, którego pokonaćby nie mógł i pokonywać nie chciał, ale w pomieszanych myślach swych układał raz krnąbrne, to pokorne sposoby, to złamania, to przejednania przeciwności i przeszkód przedzielających go od Hanny, na gromadę których jak na widma nocne jawiące się przed nim, z bojaźnią poglądał. Wśród nich najstraszniejszym jednak stawiało się votum rodzicielskie, bo obudzało w nim jeżeli nie zgryzoty, to przynajmniej skrupuły sumienia, czcig i miłością jego dla rodziców zwiększone. Infułat rozwiąże śluby, myślał on, a rodzice przebaczą... przebaczą rozwiązanie ślubów pierwszych... ale czy zezwolą na drugie?... Czy szeroko i znamienicie spokrewnieni po całej Polsce Załuscy, pobłogosławiają związek z ubogą szlachcianką?... a taż szlachcianka, czy podzieli co natchnęła?... i jakże się do niej dostać, i to odkryć jej... a tenże stary żołnierz, czujący nieuniżoną ubóstwem godność swojego rodu i własną osobistą, czyliż zniesie choć myśl nawet upokorzenia, jakieby go w córce spotkać mogło?... gdzież znaleźć radę i pomoc? Takie walki miotające biednym młodzieńcem do jednego tylko czystego doprowadzały go wniosku, to jest: że księdzem być nie chce i nie może, a reszta wszystko mieszało się przed nim jak

we mgle, z po za której obraz uroczy Hanny przeświecał.

Wschód już goreć zaczynał, gdy Załuski wrócił do celi ks. kapelana, którego wejściem swem obudził.

— Kara boska, rzekł ten, mieć lokatorem lunatyka. Ale mospanie, ostrzegam, z seminarjum tak absentować się nie będziesz mógł, ani wychodzić nawet bez pozwolenia księdza regensa.

— Kto wie czy tam wejdę? pomruknął Załuski.

— Jak to? zapytał ks. Idzy, ale odpowiedzi jużby nie słyszał, gdyby i była jaka, bo chrapał na nowo. Załuski także rzucił się na łóżko i wnet zasnął, bo sen nigdy nie odmówi ulgi młodym, w cierpieniach duszy, starym nigdy jej nie da.

VII.

Nazajutrz dzień piękny zaświtał, księżę hetman w którymkolwiek ze swych wspaniałych zamków przebywał, każdy ranek, zwłaszcza latem, wojskowym swym funkcejom poświęcał; to jest po wysłuchaniu Mszy ranej w kaplicy, wychodził na obszerny zamkowy dziedziniec; bito natenczas werble w kotły i bębny na przywitanie jego, a on usiadał na krześle i przypatrywał się zmianie warty na hauptwachcie także w każdym zamku urządzonej, która niemieckiem manierem musztrę odbywała. Był to bowiem czas przejścia z dawnej naszej komendy. Nabij! Zabij! na tempowy pruski moderunek. Z kilku dziesiątków żołnierzy odbywających

tę paradę, widz obcy i nieświadomy, nie wielkiego by mógł nabrać wyobrażenia o stopniu i znaczeniu ich wodza, ale to lekceważenie wnetby się w cześć i przeciwne przekonanie o wielkości i potędze jego zmieniło, gdyby razem ujrzał świetność rycerskiego dworu, który go otaczał. Więcej około hetmana było jakby generałów złotem i stałą jaśniejących, niżeli żołnierzy na hauptwachcie, a wszyscy w tej obrzędowej reprezentacji wojskowego trybu i wojskowej subordynacji, zdawali się być gotowymi na skinienie wodza i w milczeniu oczekiwać jego ordynansów. Ale po przejściu tej żołnierskiej ceremonii, hetman stawał się obywatelem popularnym, a dostatkami i bogactwem o tyle tylko zjednywał dla siebie cześć, miłość i powolne służby braci, o ile ich dobrodziejstwami swemi, dobrocią i wspaniałością zniewalał; i w tem był cały sekret arystokratycznej przewagi i przewodnictwa naszych dawnych panów nad szlachtą; jak ta przewaga użyta bywała, to inna materja, do dziejów należąca.

Po ukończonym więc obluzie, korzystając z pięknej pogody, Radziwiłł nie wracał jeszcze na pokoje, a zabawiał się rozhoworem z dworskimi i gośćmi swemi, tłumem go otaczającymi. Była to chwila dobrego humoru dla samego pana i dla wszystkich; z takich chwil, wiele zapewne już zapomniano, ale wiele jeszcze i zostało anegdot, zdarzeń i przymówisk, dowcipnych a charakterystycznych, które w naszych nawet czasach, gdy dowcip i wesołość umarły, budzą ją jednak, a szczerą, i przy niej miłe wspomnienia.

*

*

*

— A zatem zgoda rybeńku, rzekł książę, obracając się do blisko stojącego Nagurskiego, wchodzisz znowu w komplet wojsk Rzeczypospolitej, jakem to wczoraj ci proponował? Postanowię cię komendantem tutejszego zamku, abyś lafę, z mojego skarbu pobierał, bo nasz skarb publiczny częstokroć vacat, i asygnacje hetmańskie idą per non sunt, dam ci tam na załogę zamkową dwudziestu gimejnow...

— Bylem nie musiał mości książę dobrodzieju uczyć tych sztuk niemieckich, na które tylko co się patrzałem, stary i kulawy nie zdam się do nowych modereków, przerwał Nagurski.

— Nie, nie rybeńku, mówił uśmiechając się książę, wybiorę ci inwalidów, z którymi zamiast eksercycji wojskowych, różaniec będziesz mógł odprawiać, bo chwała Bogu, tańców tatarskich już nie będzie, bramy zamku ołyckiego mogą stać otworem. Córkę zaś waszmości księżna żona moja z ukontentowaniem przyjmuje w swoje respekta, a zatem może ona swój wczorajszy los szczęśliwy darować jakiej biednej dziewczynie, której spes fefellit, bo wiano respektowej Radziwiłłowskiej, zaręczam cię rybeńku warte przecież będzie i dwudziestu twoich dworków łuckich.

— Każde W. X. mość gotować to wiano, odezwał się z uśmiechem Faszcz, bo podług moich obserwacji ausus sum twierdzić, że ten gładki ptaszek niedługo na respektach księżnej hodować się będzie.

— A to dla czego? zapytał książę.

— Albo co? zapytał skwapliwie Nagurski, z kąd to i jakie obserwacje, panie skarbniku dobrodzieju?

W tem pokojowiec stanął przed księciem i rzekł — księżna imość na sali.

Faszcz na te słowa pomknął najpierwszy, bo i tak chybił swemu marszałkowskiemu obowiązkowi, zabawiając się między kompanją, gdy w pokojach ład prowadzić był powinien i nie dał odpowiedzi ani księciu, ani zainteresowanemu tem bardziej ojcu Hanny.

Wszyscy zatem za hetmanem ruszyli do środka zamku.

Zamek ten dziś w ruinie, zewnętrzną potęgą swoją, twierdzą feudalnego możnowładcy przedstawiał; wewnątrz zaś wspaniałością i dostatkiem dowodził nadzwyczajnego bogactwa Radziwiłłowskiego domu; a lubo Ołyka nie była zwykłą rezydencją książęcą, wszakże komnaty pańskie nie ogołoczone z żadnych starożytnych a nader kosztownych sprzętów, za każdym przybyciem ordynatów, w świąteczne, że tak powiem, stroiły się suknie; tem bardziej teraz, gdy księżna pierwszy raz nawiedzała Ołykę, a książę pierwszy raz także po otrzymaniu niedawno hetmańskiej buławy, przybywał.

Kilka więc tygodni pierwej, zajechał na dziedzińiec zamkowy, cały obóz naładowany wszelkimi ornamentami, ku ozdobie i wygodzie służyć mogącemi; a za obozem pan Faszcz marszałek dworu, pod dyrekcją którego wszystko się tam porządkować i układać miało. Rozścielano zatem sajety na podłogach, zawieszano makaty i bogate zapy po ścianach, oczyszczano ogromne weneckie zwierciadła, okrywano stoły wschodniemi kobiercami, i zastawiano je srebrnem i złotem naczyniem, wytwornością sztuki złotniczej lub wagą

metaluu znakomitem i kosztownem; słowem, monarszy przepych jaśniał w gmachu, oczekującym na przybycie dostojnych gospodarzy.

Wszedłszy teraz książe do pokojów, ucieszył się, widząc żonę na której twarzy ślady wczorajszej słabości znikły zupełnie, otaczało ją niemniej liczne, jak rycerska meża jej kalwakata, grono kobiece; wśród którego Nagurski ledwo poznać mógł córkę swą, tak ją odmienił strój piękny, w który nową swą respektową pannę, księżna ubrała. Rzuciła się ona ku ojcu, i bez względu na tę gromadę widzów, z tkliwym płaczem całowała mu ręce; rozrzewniony starzec, przytulił ją do serca, i ocierając także zwilżone oczy — chodź, rzekł, Hanno, chodź, upadnijmy do nóg dobroczyńcom naszym, ale księstwo nie dozwoliło tej pokornej manifestacji, do której wiódł córkę Nagurski.

— Rybeńku, mówił książe, pod fortunną widać konstellacją, zaczyna się moje hetmaństwo, gdy za łaską Bożą, na pierwszym kroku zdarza mi się zřeczność dania opieki cnotliwemu żołnierzowi, a księżna dając rękę do ucałowania Hannie: — dziękuję, rzekła dobrotliwie do jej ojca, dziękuję waszmości, za tę piękną ozdobę mego fraucymeru, proszę być o los córki swej spokojnym.

Głośny dank tej wspaniałej dobroczynności książecej brzmiał jeszcze po sali, gdy niespodziany odgłos trąb dał się słyszeć na dziedzińcu zamkowym.

VIII

— Co to za trąby? zdziwieni zapytali wszyscy, i rzucili się do okien. Patrzcie, patrzcie! wołano co za parada? Oho! i odwacht stanął do broni.

— Jak to? przed kim? pytał również zdziwiony hetman, któremu powaga nie dozwalała cisnąć się do okien.

— A przed księdzem infułatem, odpowiedział ktoś, postępującym tu procesjonalnie na czele całej kapituły.

— Cóż to u licha, odezwał się Nagurski, czy oni papieżcy żołnierze?

Ksiązę się zmarszczył.

— Będzie kuso z panem oficerem, rzekł z cicha Faszcz.

W rzeczy samej, ksiądz infułat i kapituła Ołycka pragnąc z jak największą uroczystością powitać księcia, który jakieś niedawno powiedzieli, pierwszy raz po otrzymaniu hetmańskiego dostojęstwa tu przybył, przygotowali się do tego pilnie, i ze stosowną podług swych wyobrażeń ostentacją, weszli na dziedziniec zamkowy.

Jakoż postępywali na przodzie dwaj trębacze, którzy przy kolegjiac Ołyckiej funduszem postanowieni, spełniali funkcję owego w monachomachji wspomnianego trębacza „co w post i wielkanoc z kościelnej wieży trąbił na dobranoc.“ Za nimi szedł sam w swojej osobie ks. infułat Ołycki i patryarcha Jerozolimski Laskarys z pastorałem w ręku. Nie wiem czy przy świeckiej tej ceremonji właściwie użył on godła pasterskiej

swej godności, ale nikt mu tego zaprzeczyć nie mógł, a szło mu o jak największą wytworność obrzędu tego i własnego dostojenstwa.

Tuż za nim szło sześciu kanoników, a jeden z nich JX. Jaworski wiekiem i samą peryferją poważniejszy od kolegów, niósł na aksamitnej poduszce roztwarty pargaminowy foliał, potem asystujących kilku kapłanów i kilkunastu seminarzystów, a za nimi na koniec cechy miasta Ołyki, z rozwiniętymi chorągwiami.

Ostrzeżony o takiej kalwakacie przez widzów z okna przypatrujących się, książę: — Panie marszałku, rzekł do Faszcz, spotkaj waszmość z dworskimi ks. infulata i prześwietną kapitułę u wschodów, przynoszą oni zapewne wota swej dla nas słynnej rekongnicji.

— Czy mam ich powitać perorą exabrupto w imieniu JO. księcia pana? zapytał Faszcz, gotów jestem.

— Nie, nie, odpowiedział książę, respectuose tylko wprowadź ich tutaj, i śpiesz się. Pan skarbnik wyszedł wnet z kilką dworskimi, nie bez żalu jednak, że nie mógł dać woli potokowi swej elokwencji przed tak świetnym orszakiem, i przekonać ks. infulata, że posiada niepospolitą gratiam oris. A wszakże mimo zakazu księcia nie mógł dotrzymać, bo pomyślił w sobie, toć Laskarys i kanonicy rozumieć będą, że ja tylko liżę pańskie półmiski, a pro honore domu pańskiego i dwóch słów skleić nie potrafię. Piękny mi marszałek! piękny lumen dworu hetmańskiego! A więc zszedłszy ze schodów na ganek, uszykował za sobą dworskich i liczną służbę, pokreślił węża i stanął jak do perory.

Tymczasem zbliżał się infulat, może umyślnie po-

wolnym krokiem dla tego, aby na głos trąb jego obudziło się dłań spotkanie; na pozór opóźniony w marszu nieustannem błogosławieństwem i żegnaniem licznych sług zamkowych, wybiegających z rozmaitych kątów i klękających przed pastorałem.

Z boku, i nie łącząc się ściśle do orszaku, ale i nie odłączając się odeń zupełnie, szedł Załuski, rażny, młody, przystojny, i pięknie, a nawet z pańska przyodziany młodzieniec.

Przed wyjściem kalwakaty z infulacją rzekł doń Laskarys: — Waszmość panie Janie, ponieważ proszonym jesteś razem z nami dziś na obiad do zamku, więc pójdziesz w kupie z akolitami kapituły, to jest z klerem, jako wkrótce ich soeyusz.

— Darujesz ojczy, odpowiedział Załuski, że rozkazu waszego nie spełnię, księżę hetman zaprosić raczył nie kleryka Załuskiego, ale świeckiego szlachcica, syna znajomej mu dobrze familji; więc stanę przed nim takim jakim dotąd jestem.

Infułat spojrział nań przenikliwie, a Załuski uklonił się i odszedł.

Zabrał z domu swą strojną garderobę, którą po obleczeniu się w duchowną sukienkę, miał biednym rozdać, ale tymczasem posłużyła mu do wystąpienia galowo.

*

*

*

Gdy ujrzał Laskarys Faszczę z asystencją na ganku, skinął na trębaczy, aby brzmieć przestali, i śpieszniej idąc stanął przed nim:

— Witaj najszanowniejszy ojcze! zawołał głosem oratorskim Faszcz, witaj i wejdz w progi najłaskawszego księcia naszego, którego dom i serce stoją zawsze otworem dla waszej przewielebności.

— Dziękuję i błogosławię cię, rzekł infułat zegnając Faszczą, który wziął go pod ramię, i w górę po szerokich wschodach prowadził.

Na sali wszystko uroczystą przybrało powagę; grono damskie stanęło za księżną, męzka kompanja za księciem, a oboje państwo na czele, uniżonym pokłonem przywitali wchodzących.

Infułat znowu krzyżem świętym pobłogosławiwszy zgromadzenie, i uchylając czoło, rzekł: — Serenissime princeps! Pobożną hojnością na chwałę Boską, wielkich przodków twoich zafundowana, daj Boże in aeternum, kapituła Ołycka, stawa tu dziś, składając powinne homagium przed tobą, przed najwonnejszym litewskim kwiatem, żoną twoją. Kwiat ten śliczny oplata twoją hetmańską buławę, i w takim połączeniu, jedno z drugim pierwszy raz jaśniejają tu dziś tak okazale na basztach starożytnego domu waszego. Dozwólcie więc JO. książę dobrodzieju, aby in memoriam szczęśliwego dnia tego, odgłos chwały i wspaniałości waszej, przez usta i pisma in typis bogomodlców waszych, rozległ się po sarmackim świecie i trwał w potomności.

Tu wskazał ręką na ks. kanonika Jaworskiego, który oddając poduszkę jednemu z akkolitów, wziął z niej pargaminową księgę, i odchrząknawszy, a włożywszy okulary z pierwszej karty, na której złożonemi farbami połączone herby Radziwiłłów i Wiszniowieckich, Orzeł

i księżyc, wymalowanemi były, z kaznodziejskim ferworem czytał:

Na skoligowane obojgu jaśnie oświeconych domów herbowne ozdoby.

* * *

W paragon wiecznej sławy księżyc z orłem leci,
Czy skrzydła ma planeta? czy ptak w biegu świeci?
W równym honoru punkcie, choć innej figury,
Książęcy z orłem księżyc, jednej są natury,
Kres tej lotnej gonitwy. cel złotego runa,
W skoligowanym niebie, publiczna fortuna.

Tu deklamator zebrawszy huczne oklaski, i ukłonił przedzieliwszy ten wstępny dystykt od samej książki, czytał znowu jej tytuł:

„Pospolite ruszenie
Hołdujących książęcemu honorowi
APPLAUZÓW
Pod królewskie Korybutów berło:
Na pierwszy odgłos
Konferowanej buławy
Tryumfalnym dziełem

Jaśnie oświeconego księcia jego mości na Nieświżu i Olyce,
Hrabi na Mirze, Szydłowcu, Krózach i Białej.

MICHAŁA KAZIMIERZA RADZIWIŁŁA,

kasztelana Trockiego hetmana polnego
wielkiego księcia litewskiego,

Przemyskiego, Człuchowskiego i td Starosty wielkiej zaś tego
hektora Heroinie,

JW. na Zbarażu i Wiśniowcu księżnie:

FRANCISZCE RADZIWIŁŁOWEJ,

kasztelanowej Trockiej, hetmanowej polnej W. X L Człucho-

wskiej, Przemyskiej i td.
staroście.

Z żółdem gratulacyjnych okrzyków
Pod znakiem

Zniewolonej fundatorskiemu imieniowi wdzięczności stawione
A w szczupłych wiersza polskiego linjach
Na publiczny ojczystemu światu widok
wyprowadzone.

Od wiecznie obligowanej pańskim łaskom
kapituły Ołyckiej.

* * *

Ponieważ za jednym prawie tchem cały ten tytuł
zaczyn ks. kanonik odczytał, musiał więc odpocząć. Faszcz
tymczasem podniósł krzesła obojgu księztwu i księdzu
infułatowi, a orator tarłszy pot z czoła, zaczął na nowo:

Dyvizja pierwsza

SARMACKIEGO ORŁA!

Wysokim, a najwyższych godnym honorów
przymiotom

Jaśnie oświeconej księżnie Imości
applaudującego.

Dalej następuje poezja, w porównaniu której Sfinksy
i Feniksy Krasickiego straciłyby zaletę niezrozumianej
głębokości i erudycji, na którą cała mądrość ówczes-
nych uczonych wysilała się; ale my nie będziemy tu
przeprowadzać przed czytelnikiem pięciu dywizjów tego
pospolitego ruszenia, które poeta i deklamator wywo-
łał i przeprowadził na przegląd przed hetmanem i jego
żoną; pozwoliliśmy zaś tylko sobie tej małej epizody,
gwoli obrazu dnia tego, wchodzącego w treść naszego
opowiadania.

Załoski zdziwił się, postrzegłszy Hannę w orszaku księżnej, Hanna nie zapomniała wczorajszych jego ognistych wejrzeń, które dziś ponawiane, tem bardziej ją przenikały, że i wczorajszej skromnej postaci, i skromnego ubioru młodzieniec, dziś był przystojnym i bogato strojnym paniezem; wzajemnie wzrok Załoskiego padłszy na Hannę, oślepił się blaskiem nowych wdzięków, któremi jaśniała wczorajsza uboga szlachcianeczka, dziś wytwornie odziana dziewczica!... Niebezpiecznym jest dla młodego serca mężczyzny, widok niewinnej prostej i nieszczęśliwej piękności, ale jakże się zwiększa to niebezpieczeństwo, gdy ta niewinność i piękność opromieni się nagle jasnym obliczem wewnętrznego szczęścia i zewnętrznej ozdoby, a wzniesiona w wyższą towarzystwa sferę, zamiast pokornego wzroku sieroty, tkliwym a uroczym okiem madonny nań pogląda.

Długiego i więcej godziny trwającego panegiryku słuchano w milczeniu, ale nie jeden z tylnych szeregów asystencji, nie mogąc ani zrozumieć wysokiej ks. Jaworskiego poezji, ani dotrwać na nogach, zmykał cicho do drugich pokojów. Nagurski idąc za tym przykładem pociągnął za wylot od kontusza Faszca, oba odeszli, a gdy byli sami spytał Nagurski:

— Powiedz mi panie skarbniku dobrodzieju, zkąd masz tę suspicję, którą przed księciem objawiłeś, że moja Hanna nie długo u księżnej pogości, i hetmanowi zapowiedziałeś, aby jej posag gotował. Faszcz uśmiechnął się, pokręcił węża i rzekł: Ot tak panie namiestniku, obserwacje moje wczorajsze przy obiedzie infułackim ten mi presentyment natchnęły; a te obserwacje zdaje

mi się, że będziesz mógł sam dziś powtórzyć i sprawdzić; uważaj tylko pilnie na tego tak pięknie wymoderowanego młodzika Załuskiego, i na swoją Hannę; przybył on tu na księdza, ale ja wczoraj poznałem, że bliżej mu do kobierca, niżeli do ołtarza; bo strzelił cię patrzył na córkę waszmości, a ona jak róża płonęła. Czemużby i nie? chłopiec jak malina, zacnego imienia, i bodaj bogatych rodziców na Litwie, krewny naszego infułata.

— Cóż się waszmości uroiło, panie skarbniku do brodzieju? odpowiedział kiwając głową Nagurski, że młody chłopiec patrzy na gładką dziewczynę, to zaraz już i swaęba, i mają się żenić! on jakiś panicz, a moja Hanna... A twoja Hanna, przerwał Faszcz, bogatsza od całego fraucymeru księżnej, bo między niemi wszystkiemi ona „jak lilja między cierniem.“ Obaczmy co Bóg da? ja mam szczęśliwą rękę na swata, i eksperjencja moja w takich konnubialnych cyrkumstancjach doświadczona. Gdybym miał tyle aniołów przy śmierci, ile już małżeństw poswatałem, toby mię oni żywcem do nieba unieśli; a tymczasem obiecuję się waszmości marszałkiem na weselu: będzie huczne bo jej księżna wyprawi.

Tymczasem ostatnią dywizję pospolitego ruszenia przeprowadziwszy ks. Orator, złożył napowrót swą księgę na aksamitnej poduszce, i oddał infułatowi; a ten z pokorną rewerencją ofiarował ją księstwu od całej kapituły.

— Dziękujemy, rzekł książę, tobie illustrissime i całej kapitule, za ten dowód affektu waszego dla nas, a przyjmując tę od was pamiątkę, postararamy się z księżną

żoną swoją, abyście wzajemną od nas mieli i zachowali. Rozpoczęły się więc huczne pochwały, sypane pocie opływającemu w upojeniu uwieńczonego talentu, i cała kompania wychodząc z przymusowego nastroju, pomieszała się razem.

Natenczas Załuski przystąpił do księcia i powitał go unizieniem. Książę, przyjmując go uprzejmie, zarekomendował żonie, dodając: Przybył tu kawaler ten z Litwy do koligata swego ks. infułata, ze ślubem wstąpienia w stan duchowny, lecz spojrzawszy nań wczoraj, a tembardziej dziś, nie chce mi się wierzyć, aby się ten ślub miał spełnić. Ej młodzieńcze nie gniewaj się, ale rybeńku, nie chciałbym cię widzieć w rewerendzie, gdy ci tak pięknie i przystojnie w kontuszu i przy szabli... namysł się.

— Właśnie namysłam się, mości książę dobrodzieju, odrzekł Załuski, a rady i łaska W. X. Mości nie scho-
dzą mi z pamięci.

— Czy słyszysz waszmość, rzekł z cicha Faszcz do Nagurskiego, czy słyszysz? patrzajże teraz na jego oczy, a zrozumiesz gdzie on tych namysłów szuka.

Nagurski zbliżył się do Załuskiego.

Infułat stojący tuż i rozmawiający z księżną, słyszał to, ale zaledwo nieznacznym przestankiem, jakby komą w swej konwersacji, zdradził i ukrył swe podziwienie.

Wkrótce nadchodzi czas obiadu, Faszcz nieustający w swych swatowskich zamiarach, bo widać miał jakiś namiętny i nałogowy do tego pociąg, półgłosem rzekł, przystąpiwszy do Załuskiego:

— Jakże mości panie mam cię umieścić u stołu: naprzeciw? czy obok?...

Załuski zmieszał się po wczorajszemu, spojrzął w oczy Faszczowi, zarumienił się i milczał.

— Biedny, biedny z ciebie chłopak... rzekł ten, ale chodź za mną, rozmówimy się na czysto.

Machinalnie Załuski spełniał rozkaz Faszcza, i wyszedł za nim do odległego samotnego pokoju.

Tam posadziwszy go pan skarbnik przy sobie, rzekł poważniej:

— Czy nie jesteś mości panie synem Jana Prospera Załuskiego?

— Tak jest, to imię mojego ojca.

— Miłyż Boże! zawołał Faszcz, więc twój ojciec był mój kondysecypuł w konwicie jezuickim Wileńskim, nie dziwię się teraz tej sympatji, jaką od razu do ciebie poczułem, on wprawdzie był panicz, a ja chudy pacholek, ale jednakże razem alwar gryźć musieliśmy i jakoś on mnie polubił, a ja jego; ale potem świat nas rozłączył; wszakże przypomnij mu waszmość Michała Faszcza, a pewny jestem, że miłem mu będzie to przypomnienie, tak ja i mnie miło na sercu, gdy na jego syna patrzę. To mówiąc, ujął rękę Załuskiego, i wstrząsając nią, dodał: No młodzieńcze, masz we mnie teraz affidowanego przyjaciela. Polegaj na mnie jak na Zawiszy!

— Dziękuję, mówi do łez prawie rozrzewniony Załuski, dziękuję za tę serdeczność i łaskę pańską; obcym tu jestem, nie mam komubym otwarcie mógł wy-

znać co się ze mną dzieje, i od kogobym mógł się spodziewać szczerzej rady i opieki.

— A co to mości panie? przerwał serjo Faszcz, czyś się między Tatary dostał? wszyscyśmy dzieci jednej matki... co się z tobą dzieje, ja wiem i bez twojej odpowiedzi, przybyłeś tu zostać księdzem, podobno tam *ex voto* twoich rodziców, a tymczasem panna Hanna Nagurska wpadła ci do serca... nie prawdaż?

— A gdy i tak jest, cóż mi poradzisz? rzekł smutno Załuski.

— Tak prędko i *ex promptu* nie, bo co nagle to djabła warto. Nikt nie jest rozumny, kto nie cierpliwy, a tymczasem mniej nadzieję w Bogu, którego w każdym stanie chwalić można, nie koniecznie być na to księdzem; ja mniemam, że i twój pan ojciec nie chciałby cię gwałtem oblekać w rewerendę, której tak ci nie życzy nasz książę hetman.

— Ale! rzekł nakoniec, jakby przypominając rzecz ważną, jaką publiczną funkcję sprawuje pan ojciec waszmości? w konwikkie zwano go, pamiętam, panem starościcem, ale dotąd musiał już wyrość na starostę całego.

— Mój ojciec... mój ojciec... a na cóż ta wiadomość potrzebna panu?

— Jak-to na co potrzebna? obruszył się Faszcz, właśnie *hic et nunc* potrzebna, przecież książę powinien wiedzieć kogo ma u swojego stołu, a ja powinien wiedzieć *praeminencją* każdego, abym podstolego wyżej od stolnika nie posadził.

— Widzisz bo panie skarbniku dobrodzieju, że cel,

za którym tu przybyłem, pokorę i zaparcie się wszelkich zaszczytów światowych zaleca, więc...

— Stój młodzieńcze, stój, przerwał Faszcz, chcesz znowu mnie starego w pole puścić, a to w nagrodę mego dla cię życzliwego affektu, to niewdzięczność, to hipokryzja! Co mi prawisz o celu, dla którego tu przybyłeś, gdyś go zmienił zupełnie; prawda, że w twojej głowie i teraz ślub, ale bodaj małżeński nie duchowny; więc to fałszwa przyczyna, twej tajemnicy; masz inną za mądrą, i tę mi wyznasz szczerze, jeżeli chcesz, abym ci w twoich imprezach wiernie sekundował.

— Ha! rzekł znowu Załuski gdy mię tak swoją dobrocią i łaską do otwartości ośmielasz i zniewalasz, panie skarbniku dobrodzieju, to wyznam że zdaje mi się, iż objawienie dostojności ojca mojego może mi utrudnić drogę do celu innego... który odgadłeś.

Faszcz zamyślił się chwilę, a potem: — Rozumiem, rzekł, rozumiem, o teraz to vera veritas, z ust twoich wyszła, tak, Nagurski i Hanna przelekną się wielkiego pana, ale gorzej przelekliby się jakiegoś samozwańca, znajdą się może, da Bóg, sposoby skonwinkowania ich, mówił zawsze z namysłem i przestankami skarbnik, wszakże to rzeczy późniejsze... et caetera alia... tymczasem proszę o tytuł ojca waćpana.

— Kuchmistrz litewski i starosta zawichostski, odpowiedział skromnie i z cicha Załuski.

— Oho, oho! zawołał Faszcz, dygnitarski syn! a jakże cię obok pana namiestnika posadzić?... no, ależ ten namiestnik jest bardzo konsyderowany od hetmana, i

wczoraj obok z nim siedział u stołu infułackiego, więc ujdzie... Teraz pójdźmy do kompanji i cyt!

IX.

Gdy weszli na salę, Faszcz upatrzył chwilę przyzwoitą i zbliżył się do księcia, z miną okazującą potrzebę rozmówienia się. Książę postrzegłszy życzenie jego, odosobnił się z tłumem.

— Mości książę, rzekł nateczas Faszcz. młody Załuski jest synem Jana Prospera Załuskiego kuchmistrza litewskiego i starosty zawichostskiego.

— Jak to? dla czegoż mi infułat tego nie powiedział, gdy mi go rekomendował, ja znam starostę.

— Nie powiedział dla tego zapewne, że wysokie tytuły nie dobrze się może zgadzały z zamiarem, dla którego przybył tu młodzieniec, lecz gdy te zamiary spełznąć mogą na niczem, jak to uważać można było z responsu jego księciu panu, i jak ja wiem skąd inąd.

— Zkądże waszmości te zkąd inąd przyszło? zapytał książę.

— Własnych ust wyznanie JO. panie, ale o tem i o innych rozmaitościach, pozwolisz W. X. Mość pomówić z sobą na osobności, a tymczasem niech książę pan obserwuje u obiadu Załuskiego, nową respektową pannę księżnej, i jej ojca pana namiestnika.

— Czy tak? to tu jest widzę jakaś konjunkcja okoliczności, czy dla tego kazałeś mi posag dla panny Nagurskiej mieć na pogotowiu? Faszcz kiwnął głową.

— No to dobrze, skończył książkę, jutro więc bardzo rano, przyjdiesz waszmość do mego gabinetu.

Najgłówniejsza heraldyczna, że tak powiem, nauka i zręczność w owych czasach marszałka dworu wielkiego pana, zależała na tem, aby nie ubliżając broń Boże nikomu, a szykując około biesiadniczych stołów gości, umiał oddać każdemu co należy i zachować cieniowanie że tak powiem stopni, urodzenia, urzędów i godności każdego.

Faszcz mógłby zajmować katedrę tej nauki, i dla tego zaordynowawszy akuratnie duchowne, wojskowe i cywilne stalla, zastanowił się nad tem, jak umieścić Załuskiego i Nagurskiego razem, gdy jeden do cywilnej partji należał? a przypuściwszy ich nawet obok, którego pierwszym, a którego za nim posadzić?

Po krótkim jednak namyśle, zdeterminował się nie uważać Nagurskiego wojskowym, patent na komendanta zamku Ołyckiego nie podpisany jeszcze, szeptał on sam w sobie, jak student powtarzający lekcje, które wkrótce recytować mu przyjdzie, więc jest gościem cywilnym, a siądzie po Załuskim, bo toż przecież dygnitarski syn, kuchmistrziewicz litewski, tam do licha! kuchmistrziewicz! nazywać go tak nie wypada; mógłby kto powiedzieć, że kuchmistrziewicz to kuchcik litewski... i uśmiechnął się Faszcz z własnego konceptu; ależ staroście Zawichostski, jednakże pan staroście najmłodszy wiekiem, i osobistego prawa do preferencji przed starszemi nie ma, a zatem będzie przedostatnim w ordyńku, a pan futurus komendant nasz, ostatnim z gości, i wypaść może dobrze; bo z drugiej strony obsiądą stół

damy respektowe, a panna Hanna jako najmłodsza i najpóźniejsza na dworze, będzie również ostatnią w paragonie, i znajdzie się znowu naprzeciw swego adoratora...

Nie wszystko jednak poszło po myśli i planach pana marszałka, układanych w sali jadalnej, w przechadzkach około długiego stołu, uginającego się pod ciężarem srebrnych waz, mis i półmisek; bo gdy tam zaproszona przezeń cała kompanja weszła i szykować zaczęła, po zajęciu pierwszych miejsc przez oboje księstwo, a przy nich infułata i kapituły, i gdy na dalsze to giestem, to wzywaniem rozprawdzał gości marszałek, zaczęły się osobiste między nimi przy każdym prawie krześle ceremonje i układy, modyfikujące jego porządek, a którym jako dobrowolnym, nikt nie miał prawa położyć veto.

— Waszmość tu, a waszmość tu, rzekł Faszcz do Załuskiego i Nagurskiego, sadowiąc ich obok. Ale Załuski usuwając się tam od wyznaczonego mu taburetu, posunął przed się starego żołnierza.

— Proszę, mości starościcu, akkomodować się tu moim układom, rzekł Faszcz.

— Nie, nie, żywo odpowiedział Załuski, nie zasłużyłem jeszcze w ojczyźnie na to, abym mógł uchybić staremu żołnierzowi, który krwią swoją jej się wypłacił.

— Centum laudes mości panie! centum laudes! zawołał Faszcz, zapomniawszy się w uniesieniu tak głośno, że wszyscy zwrócili ku nim oczy, a ksiązę zapytał: Co to jest rybeńku? za co i komu sypiesz takie laudesy?

— Panu starościcowi Zawichostskiemu, odpowiedział

skarbnik, który uszanował wiek i waleczną zasługę pana namiestnika, alias komendanta zamku Ołyckiego.

— Co krok spotykamy się, rzekł książę, z dowodami szlachetnych sentymentów, i pięknej edukacji pana starościca, dajże Boże jemu sukces szczęśliwy, we wszelkich jego zamiarach, czy duchownych czy świeckich, i uśmiechnął się.

Księżna hetmanowa, pomieszała także szyki pana skarbnika, rzekła bowiem usiadając do stołu: Panna Nagurska jest dziś jeszcze gościem u nas, więc proszę aby tu przy mnie usiadła, poznamy się bliżej.

Księżna nie wiedziała jeszcze o tajemnicy nurtującej się powoli po jej dworze, inaczej możeby nie odwołała Hanny i nie zmusiła Załuskiego, zwracać bezustannie oczu ku niej, co nie mogło ujść uwagi Nagurskiego, uprzedzonego już, jakieśmy to widzieli, przez Faszczę.

Wśród wspaniałego obiadu tego i tłumnego gwaru, który podbudzany kielichami coraz się powiększał, dwie tylko ciszej prowadzone rozmowy wchodzą w treść naszej powieści. Księżna wypytywała się Hanny o całą jej przeszłość, i dowiedziała się z zadziwieniem i ukontentowaniem, że szkoła w której się nowa jej respektowa wychowała, to jest szkoła bogobojnej i roztropnej matki, lepszą była od wszelkiej dworskiej i światowej, coby i dziś nieraz sprawdzić się dało... Nie mogła jednak księżna domyślić się przyczyny, dla której wśród spokojnej rozmowy nagły rumieniec oblewał często twarz dziewczycy, i niejakiś roztargnienie w mgnieniu oka naprawiane dawało się postrzegać w jej sło-

wach: był to zaś skutek spojrzeń to płomienistych kochanka, to śledczych ojca, ciskanych na nią z drugiego końca stołu. Między temi zaś dwoma druga toczyła się rozmowa, ale trudniejsza, ostrożniejsza, a podsłuchiwana z lekka przez Faszczę, i gdy rwać się zdawała, związana przezeń i podbudzana interesowańszą treścią.

— Dziękuję pokornie panu starościcowi dobrodziejowi, rzekł Nagurski, za respekt który mi wyświadczyłeś, dowiadując się teraz o godności pańskiej, nie inaczej to uważać mogę, jak za wczesne usposobienie się przez pokorę do stanu duchownego, do którego jak słyszałem zabierasz się mości starościcu.

— Powód mojego uszanowania dla pana wymówiłem szczerze, odpowiedział Załuski, a przyszłość moja nierozwiązana jeszcze, i lubo posłuszny woli i ślubowi rodziców moich, przybyłem tu w zamiarze wstąpienia do seminarjum, pod opieką krewnego mego ks. infułata, wszakże... wszakże... nie umiał skończyć.

— Wszakże przybywszy tu, kończył z cicha Faszczę, głowę swą między nich przychyliwszy, przybywszy tu, ujrzałem pannę Hannę Nagurską, i straciłem wokację do stanu duchownego, a nabyłem wokacji do stanu małżeńskiego.

Jakby z pistoletu między uszami im palnął, tak się oba wzruszyli. Szczęście, że toczyła się żwawa powszechna rozmowa, circa majestatem króla, et potestatem hetmana, więc nie zważano ani słyszano tej obszernej szeptaniny... Ależ insperate panie skarbniku, insperate! mruknął Nagurski kręcąc głową.

— Niechże zaprzeczy pan staroście, rzekł Faszczę

odchodząc, i mówiąc podług zwyczaju sam do siebie, no! pierwsze lody złamane.

Lecz i Załuski poczuł stanowczą chwilę...

— Zaprzeczyć temu... nie mogę, rzekł więc podnosząc nieśmiało oczy na Nagurskiego. Stary spotkał to wejrzenie własnem przenikliwem, opuścił głowę, podumał i rzekł po niejakiem chwili, zawsze z cicha ale wyraziście... Panie starościcu, podług mego starego rozumu nie tu miejsce rozbierać kwestję tę, którą nam skarbnik tak niewczesnie i niespodzianie wrzucił, a jeżeli to nie jest żart...

— Żart? jak to żart? przerwał żywo Załuski, niech mię Bóg skarże, jeżeli to żart.

— Uspokój się panie starościcu, mówił Nagurski, znajdziemy porę stosowniejszą... W rzeczy samej uspokoił się Załuski i wolniej mu się zrobiło na sercu, bo cały ciężar tajemnicy spadł zeń niespodzianie. Wyznanie i przysięga!... O gdyby jeszcze, myślał on, i ten ślub duchowny tak łatwo odpadł mi z serca...

Tymczasem szumne rozprawy statystów skonkludowały się na zwyczajnym wówczas i znajomym komunalnie, że władza hetmańska jako środkująca i równoważąca intra majestatem et libertatem, jest koniecznie potrzebną w narodzie... A więc zdrowie naszego hetmana! zawołano chórem, i zaczęły się gęste kielichy, na cześć księcia i samej księżnej hetmanowej, i rycerstwa i duchowieństwa, i tam dalej i tam dalej.

Książę traktował gości po Radziwiłłowsku, sercem i słowem uprzejmem a braterskiem, ale nie przykładem: dla miłości braci nigdy się sam nie upił, jak zawsze

więc tak i teraz traktament prowadził sam skarbnik i ściśle pilnował kolei, dolewał szczerze panu namiestnikowi, a nie przymuszał Załuskiego, ale rzekł znowu między nich: Non licet panie starościcu tak nieustannie kosić oczy i patrzeć na księżną hetmanową; ostrzegam, że ksiązę zazdrośny, i bardzo coś pogląda na waćpana.

— A mój panie skarbniku, rzekł uśmiechając się Załuski, cóż się to panu roi?

— Może i pomyliłem się, mówił Faszcz spokojnie, może to obok... któż tam zgadnie dyrekcję skoszonych oczu?

Uczta się ukończyła aż pod wieczór. Wszyscy potrzebowali wypoczynku, a szczególnie ci, których ochota do kielicha większą była niż ich siły; cała więc kompanja rozwlekła się po komnatach gościnnych obszer nego Ołyckiego zamku.

Książdz infułat z kapitułą swoją pożegnał także księstwo. Kanonikowi poecie ks. Jaworskiemu nogi wprowadzie nie rymowały jakoś, ale duch zmuszał ciało do posłuszeństwa...

Załuskiemu, wybierającemu się za infułatem i zegnającemu księstwo, rzekł uprzejmie hetman: — Mości starościcu, nim tam cokolwiek o sobie postanowisz, miej dom mój za własny, a mnie za życzliwego przyjaciela.

— Dziękuję najczulej księciu, rzekł młodzieniec, łasce się i opiece W. X. M. polecam.

— Bądź dobrej myśli rybeńku, i ciszej dodał, wiem

mniej więcej, co się święci... i u stołu zważałem na was wszystkich.

Szukał potem Załuski Faszcza, i znalazł go w żywej rozmowie z Nagurskim.

— O wilku mowa, a wilk tuż, rzekł skarbnik.

— Na miłość Boga, przerwał Nagurski, dość na dziś.

— Niechże sobie będzie i dość na dziś, kiedy tak mię zaklinasz, rzekł Faszcza, ale nie na jutro...

Jakoby na treść całonocnych dumań i wniosków, te tylko słowa dosłyszał Załuski wchodzący natenczas do pokoju, gdzie oni certowali.

Uścisnął ręce obu, a we wzajemnem serdecznieszem uściśnieniu własnej dłoni przez Nagurskiego, zdało mu się widzieć dobrą dla siebie nadzieję, dopędził potem infułata.

X.

Nazajutrz dwie sceny, mające stanowczo wpłynąć na los bohatera naszej powieści, odbyły się w jednym prawie czasie w dwóch osobnych miejscach: w infułacji i w zamku; opiszemy je po kolei, bo dwóch chwil jednoczesnych a oddzielnych, ani autor ani czytelnik razem w myślach i wyobrażeniu, pomieścić nie mogą.

Cały wieczór i wielką część nocy, Załuski przebył znowu na samotnem dumaniu w ogrodzie.

Umysł każdego człowieka, a tem bardziej młodego i niezahartowanego wypadkami życia, im bliższym jest rozwiązania jakiegoś ważnego dlań faktu, tem się go

bardziej lęka, a jeżeli jeszcze na to rozwiązanie sam swemi siły i swą determinacją ma wpłynąć, drżączka natenczas opanowuje myśli, zwątpienie wolę... i jeżeli przemożniejsza władza charakteru, uczucia lub okoliczności nie poprze nas gwałtem naprzód, często uwięźli w trwodze i niepewności, dajemy przejść stanowczej minucie, i tracimy cel całego życia, lub owoc długich usiłowań, prac i zabiegów.

Na wszelkich stopniach społeczeństwa stojący ludzie, potężni czyli mali, publiczni czy prywatni, żelaznego uporu czy umiarkowanej roztropności, nie wyprą się tego hołdu wyplaconego słabości rozumu ludzkiego. Czuł i Załuski, że zbliża się chwila otwartej rozmowy z infułatem: radby ją odwlekt, i radby ją przyspieszył; właśnie był to paroksyzm drżenia myśli i zwątpienia woli... ale skrócił ten paroksyzm sam infułat, bo rano wezwał do siebie Załuskiego.

Bładość młodzieńca uderzyła Laskarysa, przenikliwy kapłan odgadł od pierwszego wejrzenia walkę jego wewnętrzną, zgłębił więc duszę jego do dna i osądził go po ojcowsku i po chrześcijańsku, nieubliżając jednak prawom duchownym; postanowił.

— A cóż panie Janie, rzekł on, czas pomyśleć o seminarjum.

Załuski milczał ze spuszczonemi ku ziemi oczyma.

Po niejakiem oczekiwaniu odpowiedzi, infułat rzekł znowu. Jakże mam tłumaczyć to milczenie? a raczej jak mam tłumaczyć słowa waćpana wczoraj księciu powiedziane, które ja zanotowałem dobrze w pamięci, choć zdałem się nieuważać; powiedziałaś, że się na-

myślasz między kontuszem i sukienką duchowną... cóż to miało znaczyć? Trzeba się było namyślić nim tu przybyłeś; sądzić inaczej nie mogę, jak że tu jakaś na miejscu wynikła przyczyna...

— Ojcie! przerwał mu Załuski, masz władzę nade mną: i rodzicielską zlaną na ciebie przez rodziców moich, i pasterską, której ulegać powinienem; ale ojcie sam mi powiedziałeś, że przymuszonej ofiary Bóg nie wymaga...

— Tak, rzekł poważnie kapłan, ale raz uczynionej i sponiewieranej potem nie przepuszcza.

— A więc... a więc... zawołał głosem rozpaczy i żalu Załuski, niech się spełnia ślub ten! niech się spełnia, choćby mię życie miał kosztować... wnet się przeniosę do seminarjum!

— Stój! stój! ja na to nie pozwolę, rzekł znowu infułat uroczyście. Brniesz ze złego w gorsze. Rozpacz i ofiara na świecie możeby się zgodziły, ale rozpacz i religia nigdy! bo religia to uspokojenie, to pocieszenie, to łaska; a więc religia ani obudzi rozpaczy, ani ofiary z rozpaczy nie przyjmie ani uświęci.

— Na miłość Boga, cóż mam robić? rzekł Załuski, rzewnym wyrazem, składając ręce przed infułatem, jak do modlitwy. Cóż mam robić ojcie? rządź mną, hamuj i ratuj mnie!

Wzruszony i załęczony o stan młodzieńca Laskarys, ujął go dobrotliwie za głowę, ucałował w czoło: — Uspokój się Janie, rzekł, wszystko się za pomocą Bożą da ułożyć, wymagam tylko, abys mi najszczerzej i najotwarciej wyznał przyczynę, która cię do tak nagłej

zmiany skłoniła: ślub za ciebie rodziców twoich, może być wprawdzie władzą moją duchowną rozwiązany, podjęty lub zamieniony, ale potrzeba na to ważnych powodów.

— Ojciec, rzekł Załuski, wychowany samotnie prawie, strzeżony od świata i ludzi...

— Nie, przerwał infułat, nie, inną myśl Bóg mi podaje, gdzie idzie o sumienie, tam z sumieniem rozmawiać należy. Jutro rano będziesz u mnie w spowiedzi, a to z całego twojego życia, z całego twego wychowania, ze wszystkich twych myśli i uczuć przeszłych i terażniejszych; dzisiejszy więc dzień poświęć pobożnym medytacjom i modlitwom, wezwij Ducha świętego, i jutro z czystym sercem, stań przed trybunałem Boga, który błogosławi człowieka równie za spełnienie dobra, jak i za usiłowanie ku dobru.

W zamku, podług zalecenia księcia, Faszcz wszedł rano do jego gabinetu, a niespodzianie znajdując tam księżnę, nalewającą właśnie kawę dla siebie i dla męża:

— I jaśnie oświecona pani tu! zawołał zdziwiony. Deus me adjuvat, w samą porę.

— Czy tak? to chwała Bogu, odezwała się księżna, z miłym uśmiechem, bo rozumiałam mój skarbnisiu, że będziesz mię gdyrał za moją ciekawość kobiecą, która mię dziś tak rano pobudziła; wczoraj mąż mi powiedział, że masz z nim mówić o mojej nowej respektowej pannie; oto przyszłam posłuchać, wszakże to mnie szczególniej interesować może, bo polubiłam tę dziewczynę.

— A przecież JO. pani, to dziewczyna nie dobrego.

— Jak to? żywo zapytała księżna

— Nastaje na duchowieństwo, przybierając minę serjo, odpowiedział Faszcz, ot i teraz pozbawiła nasze Ołyckie seminarjum jednego kleryka.

Rozśmieli się oboje księstwo, a pani podając Faszczowi filiżankę kawy, za którą on najuniżeńszym ukłonem podziękował: — Opowiedz nam skarbnisiu wszystko, rzekła, prawdaż to, że ten wcale przystojny i wcale grzeczny chłopiec, ten pan Załuski, tak się zakochał w Hannie, że się dla niej odrzeka stanu duchownego, do którego przeznaczonym i poślubionym jest przez rodziców?

— Prawda mościa księżno, prawda.

— A Hanna czyliż wie o tem?

— Wie, jeżeli rozumie elokwencją oczu, bo ta elokwencja ma to do siebie, że excitat virginalem pudorem do rumieńca, to jest podbudza skromność dziewiczą...

— Niepotrzebnie, mój skarbnisiu, przerwała księżna, łamiesz sobie głowę nad tem tłumaczeniem; wszak wiesz, że ja umiem po łacinie lepiej bardzo od ciebie*).

*) Księżna Teofila z Wiszniowieckich Radziwiłłowa, była jedyną córką Janusza Wiszniowieckiego i Teofili Leszczyńskiej Ojciec jej kasztelan Krakowski, był ostatnim swojego rodu. Urodziła się na początku XVIII wieku, i otrzymała najstaranniejsze wychowanie, klasyczne nawet pod względem starożytnych języków i głębszych historycznych pojęć i wiadomości. Mając lat 18, wydana za księcia Michała Kazimierza Radziwiłła obdarzyła go licznem potomstwem. Kilku synów umarło w małości. Janusz i Karol urodzeni w r. 1730, byli bliźniętami: Janusza uważano za starszego; lecz i ten w 19 roku życia zszedł ze świata. Z córek, których dwie czy trzy w dzieciństwie umarło, wychowały się dwie tylko: Katarzyna, wydana później za Stanisława Rzewuskiego cho-

— Mea culpa, mościa księżno pani dobrodziejko. Mea culpa! zapomniałem, otóż z tych rumieńców panienki wnoszę...

— A gdzież i kiedy te rumieńce tak pilnie obserwo-
wałeś skarbniku? zapytała znowu księżna.

Tu już Faszcz musiał opowiedzieć wszystkie szczegóły, począwszy od obiadu infułackiego, aż do dziejów całego dnia wczorajszego, a które my opisaliśmy; gdy skończył opowiadanie, rzekła księżna: — No, teraz się domyślam, przyczyny roztargnień i rumieńców Hanny, gdy obok mnie siedziała u stołu.

— Jakaż z tego wszystkiego konkluzja? zapytał hetman.

— A jakaż inna mości książe być może, jak że trzeba ich pożenić, a to głównie zależeć będzie od łaski i względów W. X. Mości, którym się starościec po kilkakrotnie a szczerze polecał.

Uśmiechnął się książe i rzekł: Dobryś waszmość na swata, o tem wiem dawno, ale wybaczaj rybeńku, nie na dyplomata. Czy pomyślałeś jakby mi podziękował

rażego W. X. L., i Teofila która dobrze już po śmierci matki wyszła za Morawskiego. Księżna Urszula była troskliwą i oświeconą matką, a w czułem zajęciu się około wychowania swych dzieci, miała najzdrowsze pojęcia o tem, na czem prawdziwa instrukcja zależy; zostawiła ona w tej mierze swoje wyznanie wiary, napisane wierszem (które w archiwum Nieświżskim znajdować się musi), pełne rozumu i prawdziwej macierzyńskiej miłości. Z teatru, drukiem po jej śmierci ogłoszonego, nie należy brać miary ani o zdolnościach, ani o smaku literackim tej pani, były to na prędce rzucane na papier raczej obrazy niż dramata, które młodzież dworska na improwizowanym teatrze reprezentowała. Ale w listach, których ogrom w archiwum dotąd się przechował; w wyżej wspomnianej instrukcji wychowania, wszędzie daje się poznać umysł szlachetny, rozum dojrzały, i najlepsze serce.

pan kuchmistrz litewski, gdybym syna jego, którego on tu wysłał na księdza, ożenił.

— Żenić jego, mości książe dobrodzieju, nie potrzeba, on sam ożeni się, a na dowód zem liznął nieco i dyplomacji dworskiej, bez której nie tylko na marszałka dworu W. X. mości, ale i na prostego swata bym się nie zdał, powiem jasnie oświeconemu państwu, że żenić cudzego syna, bez woli i jakby na przekór jego rodzicom, księciu nie wypada; ale księżnej pani naszej i dobrodziejce, wydać swą respektową sierotę za męża, gdy się pomyślnie i szczęśliwie zdarza, to nie tylko wypada, ale to sława przed ludźmi a zasługa przed Bogiem.

— Nie mam co powiedzieć, rzekł książe śmiejąc się, submittuję się, dowiodłeś, żeś liznął dworskiej dyplomacji, rozróżniłeś subtelnie ożenienie od wydania za męża.

— Ale co tam pomogą te subtelności i swańby, odezwała się księżna, gdy niewiadome sentymenta panny, bo to że niewinna i skromna dziewczyna rumieni się przed wzrokiem pałającym młodzieńca, nie dowodzi jeszcze że go kocha.

— Właśnież dla tego, rzekł Faszcz, ujrzawszy tu księżną panię, powiedziałem, że w samą porę przycho-dzę, bo do stóp waszej książecej mości przypadając, prosimy abyś raczyła wyinkwirować pannę Nagurską.

— Ale mój skarbniszu, przerwała księżna, co znaczy taka gorąca swańba twoja?

— A już to JO. pani, kto w moje ręce wpadł, to nie wykreści się, musi bez ceremonji ożenić się, a księcia pana dobrodzieja błagamy, abyś in casu necessitatis

dał admonicję infułatowi jeżeliby chciał za to votum duchowne mocno się trzymać, bo tu znowu distinguo mości książe: ożenienie się Załuskiego to rzecz późniejsza, i do tego W. X. mość nie mieszasz się wcale, lecz wyzwolenie jego od stanu, do którego on nie ma najmniejszego powołania, to jest wyzwolenie go jakby z niewoli, przystojnem jest dla W. X. mości, który strzeżesz wolności obywateli w Rzeczypospolitej, a zatem gwałtów i przymusów zwłaszcza pod własnem pańskiem okiem ścierpieć nie możesz.

Rozśmiał się książe z całego serca. — Wybornie, wysmienicie, mój kochany skarbniku, rzekł: będę cię promowował posłem na pierwszy sejm; boś jak widzę i orator tęgi i potrafisz in casu necessitatis, jak sam powiadasz bicz z piasku ukręcić; do infułata wszakże przemówię, bo jakem to nieraz oświadczył, nie chętniebym widział tak udatnego i z ciała i z duszy młodzieńca ujętego świata; jednakże potrzeba, aby mi on sam wyznał swą niezwycięzoną niechęć do stanu duchownego.

— Nie sprawiedliwszego książe panie, rzekł Faszcz, i nie łatwiejszego.

— A mnie, odezwała się księżna, aby wyznał swoje uczucia dla Hanny i swe zamiary.

— Nie sprawiedliwszego księżna pani, i nie łatwiejszego, powtarzał Faszcz, ale...

— Jakież ale? zapytała księżna, patrząc mu w oczy, jakież ale?

— Ale gdy vota starościca... nie trafią do serca panny Nagurskiej?...

— To weźmiecie po staremu kosz na grzyby, rzekła śmiejąc się księżna.

— Otóż wolelibyśmy z łaski księżnej pani wiedzieć pierwej...

— To jest mieć odpowiedź przed zapytaniem, rzekła księżna.

— Nie, mościa księżno, czyż wszystko to co mówię nie jest zapytaniem?

— A jeżeli swatany wyprze się swata? rzekła znowu księżna.

— Jak to JO. pani, jak to być może? O, natenczas na prawdę musiałby zostać księdzem, i to kapucynem; bo ze świata wypędziłbym go gdzie pieprz rośnie. Ale nie, mościa księżno nie! To szlachetne dziecko, szlachetnego ojca... taka krew nie zmyli honorowi!... Przed ojcem Hanny wyznał ku niej swą miłość i zaklął się, jakem to opowiedział księstwu: przedemną jak przed przyjacielem otworzył swe serce. O nie, mościa księżno dobrodziejko, nie! on się ożeni z Hanną, albo...

— Cóż albo? przerwała niespokojnie księżna.

— Albo pójdzie w świat gdzie go oczy poniosą, na Zaporozie naprzykład... i rodzice jego zamiast księdza, mogą mieć syna kozaka.

— A niechże Bóg ich broni od takiego smutku! rzekła hetmanowa.

— Nie dójdzie do tej fatalnej katastrofy, jeżeli księstwo dobrodzieje będziecie nań łaskawi, rzekł Faszcz.

— No, no, mówił nakoniec książę, upewnij go o mojej szczerej dlań życzliwości.

— A odemnie powiedz mu, dodała księżna, że sta-

rać się będę, aby od Hanny wziął koszyk z różą, a nie z grzybami. Faszcz odszedł zatem w najlepszym humorze, i w ten moment rozmowę tę z księstwem, powtórzył Nagurskiemu.

XI.

Infułat przez cały dzień rozmyślał i zastanawiał się głęboko, jakby miał sobie w tem nadzwyczajnem zdarzeniu postąpić? a lubo prawdziwej przyczyny odstręczającej Załuskiego od stanu duchownego nie wiedział, ani się domyślał; wszelako uznał, że zmuszać go do spełnienia rodzicielskiego ślubu nie może ani powinien; nie przyjmował on w sumieniu swoim jezuickiej maksymy i dowolne tylko a ohotne votum uznawał godnym ołtarza pańskiego. Mając on w infułackiej swej i patryarchalnej dostojności pełną władzę „rozwiązania na ziemi, co rozwiązaniem miało być w niebie“, łatwo wprawdzie mógł użyć teraz tej władzy, i otworzyć młodzieńcowi przywarte przed nim wrota na świat; pewnym był także, że perswazja jego listowna, a w potrzebie osobista nawet, potrafi ułagodzić rodziców w gniewie na syna, jeżeliby gniew ten był nadto surowym i upartym, ale mądry kapłan znał dobrze serca ludzkie; wiedział zatem, że niespokojność z jakiejbykolwiek przyczyny, skoro raz wejdzie w nie, i w niem się zagnieżdzi, staje się chorobą chroniczną, udręczającą bez ustanku, czepiającą się do wszelkich myśli człowieka, wążłając wszelkie jego zamiary; a cóż do-

piero gdy niespokojność ta i trwoga, łączy się z religijnem uczuciem, i grozi nam palcem gniewu Bożego!

Od takiej więc niespokojności i trwogi, chciał infułat uwolnić i ślubujących i poślubionego, i rodziców i syna; konkludując podług zasad ówczesnej pobożności, że tego prostem słowem dokazać nie zdoła; że bez ofiary za ofiarę, zostanie zawsze dług nie wyłacony, i bojaźń aby się óń srogo nie dopomniano, tem większa w sercu poślubionego, że każdej niepomyślności, a broń Boże śmierci w rodzeństwie, on siebie winnym sądząc, zgryzocie i rozpaczy mógłby na końcu uledez, osobistego tu więc trzeba było okupu nie łatwego i pozornego tylko, i nie tylko zadość czyniącego kościołowi, ale uspakajającego własne okupującego się sumienie. Nakoniec ostateczną determinację niepewnych myśli swych i projektów, zawiesił infułat do jutrzejszej spowiedzi Załuskiego.

* * *

Nazajutrz była niedziela, i z rana zasiadł Laskarys do konfesjonału, zwróciło to szczególniejszą uwagę duchowieństwa, bo infułat penitencjarjusz rzymski, wtenczas tylko siadał do spowiadania, gdy ktoś z szczególniejszych potrzebował indulgencij; a jeszcze bardziej się zadziwiono, gdy przystąpił do konfesjonału sam jeden tylko Załuski: zkdźeby w młodzieńcu tak ciężkie grzechy? zdziwienie to się zdwoiło, gdy spostrzeżono, że po dość długiej spowiedzi infułat wstał, i kilka słów przemówiwszy do penitenta, odszedł z konfesjonału, nie dał absolucji. Szeptano po kościele... nie dał abso-

lucji. W rzeczy zaś samej, infułat posłyszawszy z ust Załuskiego niespodziane dla się wyznanie miłości jego dla Nagurskiej, i osądziwszy, że to główna przyczyna niepodobieństwa spełnienia przezeń rodzicielskiego ślubu, uczuł wnet potrzebę i nowego dla się namysłu względem warunków, pod którymi mógłby ten ślub rozwiązać, i świeckiego rozmówienia się z nim; dla tego zawieszając spowiedź rzekł mu: „dokończysz spowiedzi na nieszpórach“. Zadziwił się Załuski, i wysłuchawszy w samotnej ławce Mszy rannej, odszedł do swej celi.

* * *

Troska dzienna, noc bezsenna, jedna idzie za drugą! i zawsze prawie są razem, gdy los prześladowający człowieka weźmie ich obie ku pomocy, sen, litościwy przyjaciel biednych, błąka się natenczas około nich, i rzuca im od czasu do czasu ukradkiem garstkę maku na oczy, te się kleją na chwilę, to chwila ulgi... to kropla ze źródła zapomnienia... tak, jeżeli i w tę chwilę nie wcieli się rozpacz i nie zapełni jej fantastycznymi marami, przedstawiającemi dręczącą jawę w karykaturze. Daruj czytelniku, jest to jęk boleści samego autora, nie stosowny wcale do stanu opisywanego przezeń młodzieńca. Wprawdzie kilka nocy przeszło mu bezsennie, troski i walki wewnętrzne zmordowały go, więc potrzebował on odpoczynku, i gdy na twardej kanapce ks. Idzego przyległ, wnet mimowolnie usnął głęboko.

Przebudziło go wykrzyknienie. — Ty spisz a twoja dola rośnie! — zbudzony ujrzał przed sobą Faszczę. — Rozumiałem, że cię znajdę w kościele, mówił on dalej,

a ty panie bracie przespałeś tu całe nabożeństwo, ks. Jaworski powiedział mnie gdym się o ciebie zapytał, żeś ty był w spowiedzi u infułata, i że on tobie nie dał rozgrzeszenia, co to znaczy?

Załoski powitawszy skarbnika, uśmiechnął się — infułat, rzekł on, kazał mnie być u siebie dziś rano w spowiedzi, a wśród spowiedzi sam ją nie wiem dla czego przerwał, ukończenie i absolicję odkładając na nieszpory.

— Gdym tu wszedł, rzekł Faszcz, poznałem po śnie twoim głębokim, że to fałsz; grzesznik bez absolicji nie zasypiałby tak spokojnie. No, jeżeliby wszakże infułat bałamucił, mamy na niego hetmana. Interesa twoje idą wyśmienicie, Hanna będzie twoją.

— Zkąd ta pewnoś panie skarbniku dobrodzieju? żywo zapytał Załoski, zkąd ta pewnoś, gdy ona nie wie dotąd zapewne, że ją tak serdecznie pokochałem.

— Otóż to, że już wie, bo prócz twoich strzelistych spojrzeń na nią, postarałem się ja, że jeszcze ktoś inny jej o tobie mówił.

— Któż, panie skarbniku, kto?

— Ej mój kochany starościcu, długoby o tem gadać, a ja nie mam czasu, i zabiegłem tylko do ciebie, abym ci dobre nowiny summatim zwiastował. Księżna ubłagana wczoraj przezemnie, przyrzekła, że wyinkwi-ruje sentymenta swojej respektowej względem waszmości...

— Ach! ach! zawołał Załoski.

— A co? przedłużał Faszcz, musiałbyś nieboże przebyć wiele manowców, nimbyś się dobił do tej cnoty,

do której ja jednym susem doskoczyłem, i ciebie doniosłem. Dziś najlaskawsza nasza księżna pani, przechodząc około mnie, rzekła z uśmiechem: „No skarbnisiu, zbieramy kwiatki nie grzyby do kosza, który nam przynieść macie“ i spojrzała na idącą w jej niewieścim orszaku Hannę; alluzję tę tylko ja jeden rozumiałem, a więc najuniżeniej kłaniając się, zapytałem. Możemyż JO. pani po te kwiatki śmiało sięgnąć? księżna uchyliła głowę, a więc dziś wieczorem staw się waszmość u mnie. Nagurski ze mną mieszka, więc...

— Ale zapominasz kochany skarbniku, a prawdziwy mój dobrodzieju, przerwał Załuski, o najważniejszej okoliczności...

— Chcesz mówić, przerwał wzajemnie Faszcz, o twoim ślubie duchownym.

— A tak, rzekł Załuski, rozmawiałem już o tem z infułatem; wie on, że ślubu tego spełnić nie mogę, a zatem że go rozwiązać musi, ale pod jakimi warunkami? to przewidzieć trudno; domyślać się jednak łatwo, że spowiedź wczoraj mi przezeń nakazana, i dzisiejsze jej przerwanie, należy jakoś do jego determinacji i myśli.

— Nie zapomniałem i o tem, rzekł Faszcz, i mamy słowo hetmańskie, że in casu necessitatis, on się wda w tę sprawę, ale jedynie tylko co do twoich ślubów, i na infułata wpłynie per viam persuasionis.

— Cóż na to wszystko, mości panie? zapytał nakoniec skarbnik, patrząc przenikliwie w oczy milczącemu Załuskiemu, możesz się jeszcze cofnąć, wstąpi do seminarjum. Nagurski ujrzawszy Załuskiego kleryka, zapo-

mni co zaprzysięgał Załuski staroście Zawichostski; tylko ostrzegam, nie waż się natenczas patrzeć na jego Hanę okiem bazyliuszka; bo stary żołnierz...

— Co to znaczy panie skarbniku, przerwał żywo Załuski, probujesz mnie? przez com dał panu prawo wątpienia o moim honorze, sumieniu i sercu?

— Brawo! zawołał ukontentowany Faszcz, ściskając rękę Załuskiego, brawo! Swatany nie wyprze się swata!

— Dla Boga skarbniku, rzekł Załuski, nie rozumiem pana, mówisz pod figurą w jakichś alluzjach to do kwiatów, to do swatów.

— Zrozumiesz, zrozumiesz wszystko, i o wszystkim się dowiesz, tymczasem bądź zdrów, a czekam wieczorem, czekam, i spiesznie odszedł.

* * *

Nie miał jeszcze czasu Załuski rozważyć dokładnie, co mu Faszcz powiedział, gdy infułat wezwał go na powtórna rozmowę. Zadumany, z opartą głową na rękę, siedział Laskarys za tym samym stołem, za którym przy pierwszym wstępie przyjmował Załuskiego; gdy ten wszedł, wskazał mu krzesło i gdy z przemówieniem zdawał się czekać, aż Załuski usiadzie, przeto on usiadł.

Po niejakiem jeszcze milezeniu, jakby namyśle, rzekł infułat: — Nie przełożyłem jeszcze panie Janie sakramentowej pieczęci do twej spowiedzi, bo po tem coś mi wyznał, po objawieniu nagłych twych zapałów do panny Nagurskiej, uczułem wnet, że mi wprzód koniecznie potrzeba świeckiej z tobą rozmowy, nim duchowną ja-

kaś weźmiemy da Bóg determinację, zresztą, rozmowę tę naszą samotną, za dalszy ciąg spowiedzi uważać możemy, dla tego jednostajnej od ciebie szczerości jak przy konfesjonale wymagam.

Załuski uchylił pokornie głowę.

— Powiedz mi zatem, mówił dalej infułat, czy to miłość dla Hanny, jest jedynym powodem odrazy twej od duchownego stanu? czy bez niej ochotniebyś spełnił ślub twych rodziców?

— Ojcze, odpowiedział młodzieniec, gdym był w domu, codzień mając przed oczami przeznaczony mi stan mój przyszły, i codzień doń usposobiany, nie pomyślałem o innym, nie pomyślałem, że może być dla mnie inny, a zatem nie miałem przyczyny, badać siebie, czy mam rzeczywistą wokację i ochotę do tego stanu? jam natenczas już był księdzem, tylko bez święceń. Ale gdym za bramę rodzicielską wyjechał, świat mnie objął nowy, potonałem w nim ojcze myślą, sercem i duszą, dojrzałem od razu, i z trudnością przyszłoby mi wracać do celu, dla którego tu dążyłem; a uczułem, że zostanie mi w duszy tęsknota za światem, którego nie poznałem wprawdzie, ale który mi choć krótko, ale tak jasno i mile zaświecił.

— Czemużeś mnie tego wnet po przybyciu tu nie objawił, owszem powiedziałaś mi...

— Powiedziałem, mówił Załuski, że mam postanowienie spełnić ślub rodziców moich, i rzeczywiście miałem to postanowienie, bo chwilowe wrażenie nie mogło przeważyć we mnie obowiązku od dzieciństwa wpajanego. Ale ojcze! inne uczucie, inne wrażenie o-

czekiwało na mnie widać z przeznaczenia Bożego, widać z woli Bożej, bo oczekiwało mnie w domu Bożym.

Zamilkł.

— Cóż więc? rzekł infułat.

— Cóż! oto przedtem oblekłbym suknię duchowną bez powołania wprawdzie, bez ochoty, z żalem może, ale bez wstępu i z wewnętrzną nadzieją, że z czasem pozbywszy się marnych pochopów do świata... będę mógł bliźnich moich nauką i przykładem, a z własnego doświadczenia, naprzeciw tym pochopom ubezpieczać, ale ojcze, jakże tego kiedykolwiek dokazać potrafię, gdy czuję, że jest szczęście na świecie, do którego nigdy już nie przestanie tęsknić dusza moja, jeżeli go posiadać nie będzie?

— A przecież osiągnięcie tego mniemanego szczęścia nie łatwym ci będzie, bo naprzód czy jesteś gotów na wszelkie ofiary, któremi niejako odkupić musiałbyś ślub rodziców twoich, tak, aby zadosyć uczynienie kościołowi, pokój wewnętrzny i tobie samemu i im przyniosło.

— Jestem gotów, odpowiedział Załuski, byleby te ofiary...

— Nie pozbawiły cię, przerwał Laskarys, nadziei, którą teraz w duszy twej pieścisz, rozumiem.

Przeszedłszy potem kilka razy swój pokój w zamyśleniu, obrócił się nagle do Załuskiego ocierającego łzy, bujnemi kroplami spadające mu po twarzy; położył mu rękę na ramieniu i uroczyście rzekł: Czekam cię u konfessjonalu...

Wieczorem tegoż dnia zaproszony przez księcia he-

tmana infułat, udał się do zamku, niezgadując przyczyny tak późnego wezwania i ledwo po północy wrócił do siebie. Tuż za nim wszedł Załuski.

Młodzieniec był blady i znękany, chwil kilka milczenia, potem ukląkł on przed infułatem i pokornie uchyłając głowę, błogosławił ojciec! rzekł.

— Tak, odpowiedział infułat, tak, podnosząc obie ręce w górę, błogosławię cię! boś uległy głosowi wiary, wracasz na świat przez pokorę i ofiarę, wstań! A jeżeli jest w przeznaczeniu twojem, aby się ziściły zamiary twoje, tak uroczyście dziś przez ciebie objawione, tak szczęśliwie do serca poczciwej i skromnej dziewicy przyjęte, i tak wysoką opieką obojga księstwa usakryfikowane, jeżeli Bóg skłoni ku temu wolę i rodziców twoich, natenczas ja, który ci ślub duchowny rozwiązałem, zwiążę cię ślubem, który śmiercią tylko się rozwiązuje.

— Moi rodzice ojciec! moi rodzice wiedzieć o mnie nie będą, rzekł Załuski żałośliwie.

— Bądź o nich spokojny, a oni przezemnie o ciebie spokojnemi będą.

Załuski rzucił się zatem jeszcze raz w objęcia kapłana, i jeszcze raz przezeń przeżegnany, wyszedł.

XII.

Świt ranny zaledwo się na wschodzie czerwienił, gdy bryka tak nazwana Brodzka, czterema końmi zaprzężona, z woźnicą tatarem ordynackim, wyszła z zamku

i stanęła na drodze z Ołyki do Litwy wiodącej, wnet zbliżyły się do niej trzy osoby, byli to: Faszcz, Nagurski i Załuski, trzymający w rękę małe zawiniątko.

— No, niechże cię Bóg szczęśliwie prowadzi, kochany nasz starościcu, rzekł Faszcz, bądź dobrej myśli! co się przewlecze, to nie uciecze. Książę rozkazał, abym cię zapytał, czy masz zapas na drogę; oto jest sto dukatów, które on ci pożycza. Tatar zaś ma rozkaz wieść cię dokąd każesz i póki każesz.

— Oh! stokroć i najczulej dziękuję księciu panu za wszelkie jego a raczej ich obojga dobrodziejstwa dla mnie, pieniędzy nie potrzebuję, mam ich dosyć, a nawet nadto w mojem dzisiejszem położeniu... Ty zaś panie skarbniku, który mi tu najpierwszym stałeś się przyjacielem, który najpierwszy zgadłeś co się w mem sercu stało; który wczoraj wieczorem gdy upadający pod ciężarem naznaczonego mnie odkupienia przywłókł się do zamku, podźwignąłeś mnie i zjednałeś chwilę najszcześniejszą w mem życiu, w której wszelkie me nadzieje złożyłem w opiekę opiekunów ukochanej Hanny, w której ty ojeze miłość mą czystą i prawdziwą ku niej swem rodzicielskiem przyzwoleniem pobłogosławiłeś.

— Tak, przerwał Nagurski, pobłogosławiłem, a serca córki mej nie przyniewalałem, ono się samo ku waszmości skłoniło; jeżeli więc dotrwasz w swoim ku niej affekcie przez ten czas próby, a mnie da Bóg tego dożyć, oddam ci Hannę! a jeżeli nie dożyję, to i sam ją wezmiesz z rąk jaśnie oświeconych naszych benefaktorów.

— Daj pokój stary żołnierzu, rzekł Faszcz, żyć bę-

dziesz matuzalowe lata, i obaczysz jak honeste udysponują ich wesele.

— Ubierz się natenczas, panie skarbniku dobrodzieju, rzekł Załuski rozwijając zawiniątko, w ten pas, który racz przyjąć odemnie na pamiątkę dobra, któreś mi tu sprawił.

— Oho! pańskoje dziecia! wykrzyknął Faszcz, lito i bogato! akceptuję i dar i warunek: to zwyczajne dworskie akcydensa, a ten podwójnie mnie miły, i z ojca i z syna. A zatem Deus te benedicat, ducat, et reducat!

Załuski uściskał z rozrzewnieniem przysłego swego teścia i poczciwego dworaka przyjaciela swego, siadł do bryki, a w tem promienie wschodzącego słońca oblały szlak drogi blaskiem, w który się wglębił powóz i myśl jadącego tą światłością ożywiona, pogrążyła się w słodkich wróżbach i marzeniach nadziei.

*

*

*

Powieść nasza rozpoczęła się listem Załuskich do infulata, kończy się odpowiedzią nań infulata, którą Załuskim oczekującym na wiadomość od syna, przywiózł umyślny goniec z Ołyki, była zaś ona w takich wyrazach.

„Jaśnie wielmożny a. Rochany kuzynie i osobliwy dobrodzieju!

„Syn wasz Jan przybył w zdrowiu i szczęśliwie do Ołyki, z postanowieniem spełnienia pobożnego votum waszego, lecz serca ludzkie są w sercu boskiem, i podług jego woli idą przeznaczenia nasze, więc ulegać tej woli z pokorą powinniśmy. Jan uznał tu siebie nie-

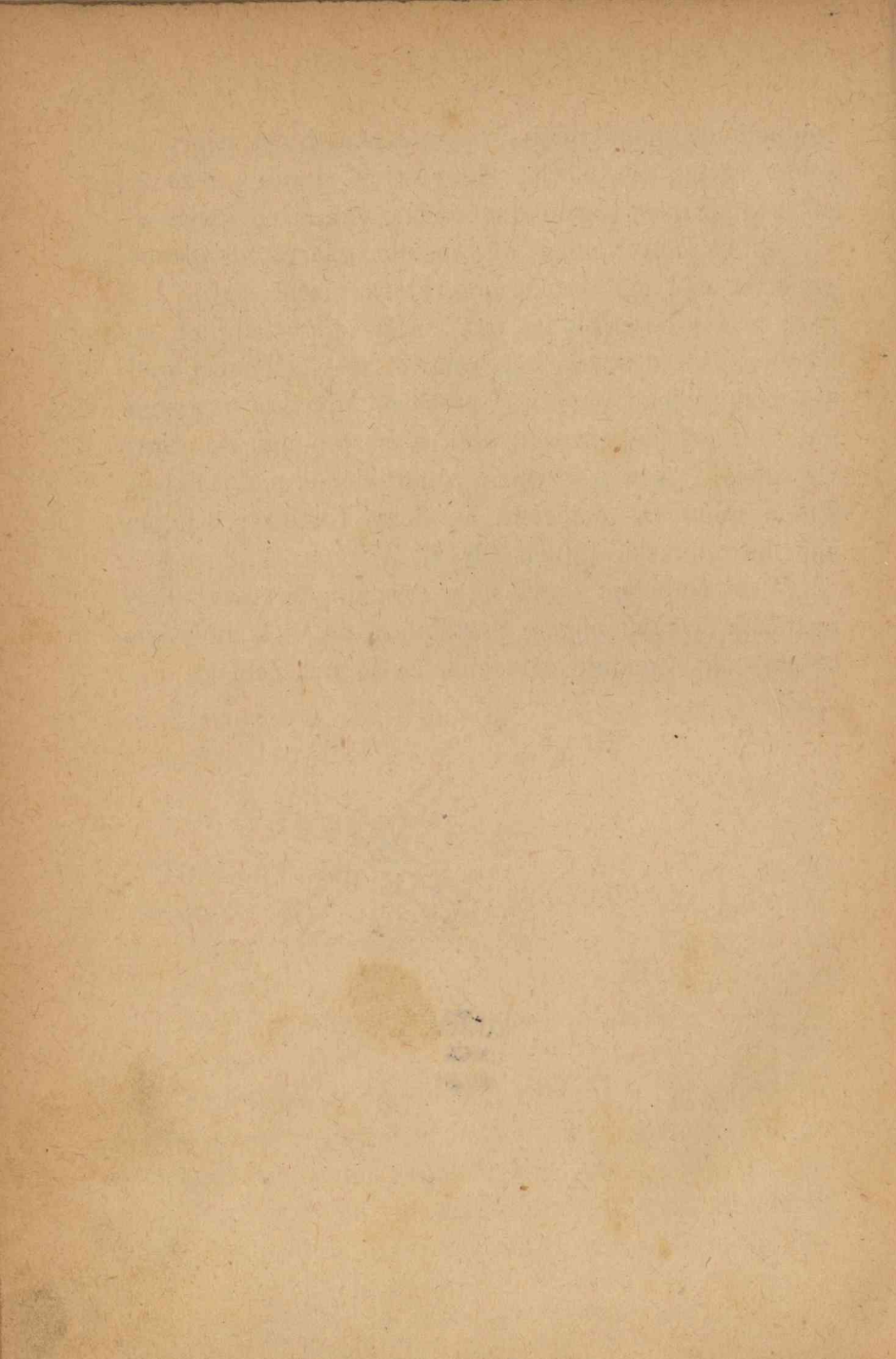
zdolnym do stanu duchownego, a zmuszonej ofiary kościół przyjąć nie może; śluby więc wasze i jego są przezemnie rozwiązane duchownie. Ale niżeli świat ujrzy go na nowo, musi on spełnić ofiarę odkupienia, przez kościół mu naznaczoną, która razem będzie i ofiarą waszą, bo przez lat trzy, on życie pustelnicze, wy nieobecność jego zupełną, a nawet niewiadomość miejsca pokuty jego przenieść musicie. Wszakże uspokojenie rodzicielskiej troskliwości waszej o nim ja biorę na siebie, i serc waszych w zmartwieniu nie zostawię. Zatem Bogu was polecam. Ks. Jerzy Laskarys, patrijarcha Jerozolimski, Infułat Ołycki“.

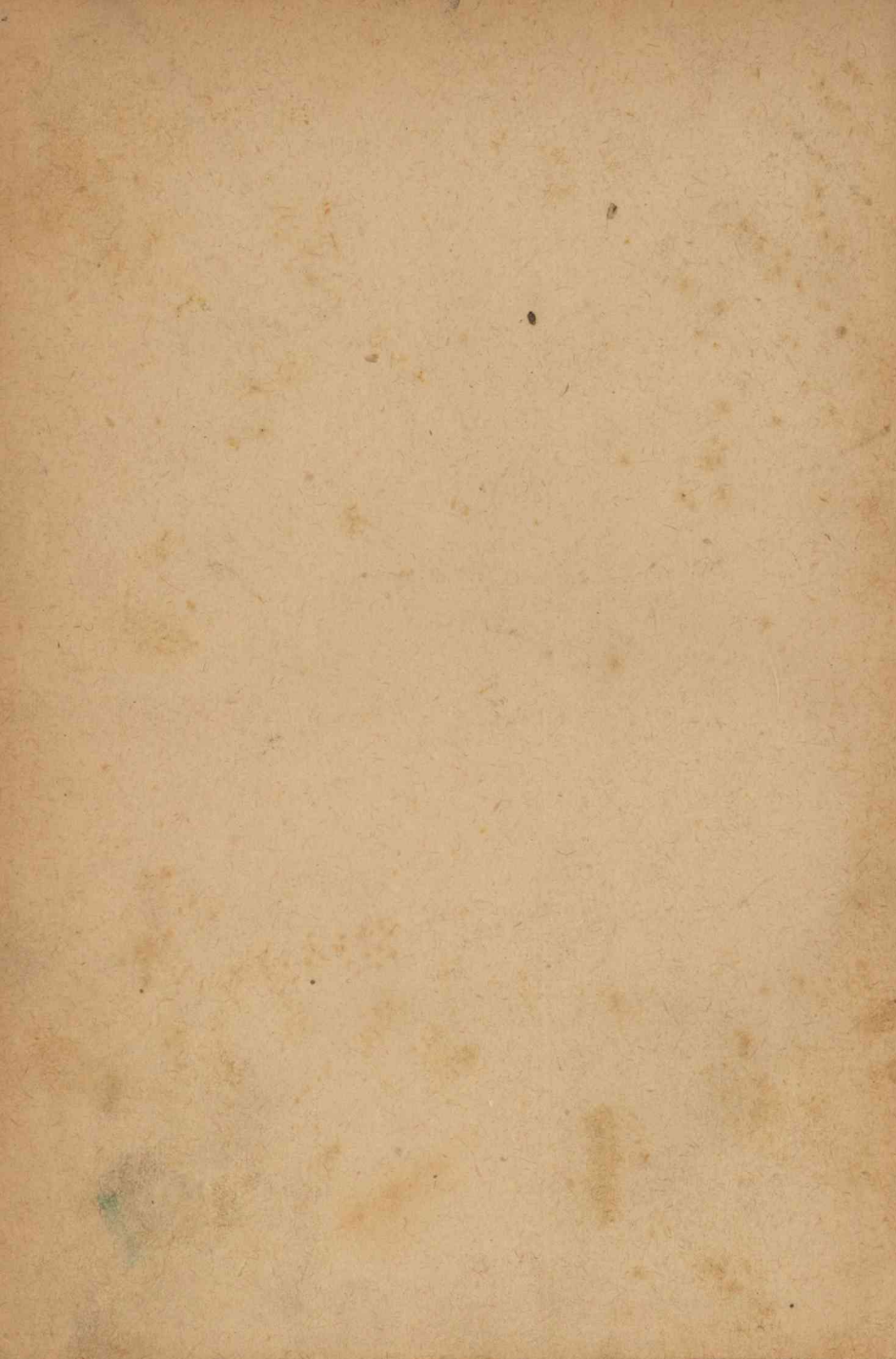
Wkrótce potem zjawił się w Proniunach nowy młody pustelnik, i zajął chatkę pustelniczą po Wołkanowskim opustoszałą. Zgaduje czytelnik, że to był Załuski.

K O N I E C

~~BIBLIOTEKA~~
 URZEDN: TOW. WLAJ: UB: w KRAKOWIE

BIBLIOTEKA
 UMCS
 LUBLIN





Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18659



1000174202